

Tom CLXXXVI.

Zeszyt 556.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

ROK CZTERDZIESTY SZÓSTY.

KWIECIEŃ.

1887.

WARSZAWA.

Adres Redakcyi: NOWY-ŚWIAT Nr. 41.

1887.

TREŚĆ.


	stron.
† Ś. p. J. I. Kraszewski (ur. 28 lipca 1812 r. † 19 marca 1887 r.).	
I. „Recepta na to, abysmy się długo w oyczystej ziemi osiedzeli. A. 1682.” (Dokument historyczny do dziejów polskich w wie- XVII-ym) dał J. K. Plebański.	1
II. wona. Pogląd na jej zabytki przedhistoryczne i po- mnik przez A. Czołowskiego.	23
III. obroczynności publicznej Warszawy 1870—1885	
Skreś. kowski. (C. d.).	39
Na lecie. Powieść. (C. d.). Napisał Sewer.	60
. Sielanka. Przez Romana Zawilińskiego.	80
. j. Przez St. M. Rzętkowskiego. 1) Deoty- nda. Warsz. 1887, str. 286. 2) J.	
Gs. motywów dziejowych. Warsz. 1886.	
3) J. , dramat historyczny w 5-iu aktach z prologiem 4) Zenobiusz Drakuli (pseudonym): Domna Rozanda. Dra. historyczny w 5-iu aktach. Kraków 1886.	91
VII. PRZEGLĄD PIŚMIENICTWA KRAJOWEGO I ZAGRANICZNEGO.	
Towarzystwo kredytowe ziemskie w Królestwie Polskiem i Kredyt rolny. Napisał J. Kirsztot-Prawnicki. Warsz. 1887. Nakładem S. Lewentala. Str. 340, t. II, 8-o m. Przez J. K. Ple- bańskiego.	102
Frederic Seebohm, Die englische Dorfgemeinde in ihren Be- ziehungen zur Gutsberrlichkeit, zu der ursprünglichen Stammesverfas- sung, zur Flureintheilung und Feldgemeinschaft. Ein Boitrag zur Volkswirtschaft. Nach der 3-ten Auflage aus dem Englischen uebertragen von Theodor Bunsen, Mit 14 Taf. Heidelberg 1885. (str. XII, 320, 8-a m.).	117
VIII. Kronika miesięczna.— Rzut oka na stosunki polityczne w Eu- ropie. — Pokój zbrojny: gonitwa za równowagą sił militarych i poli- tycznych.—Ruch umysłowy: I. Odczyty w sali ratuszowej na dochód Osad rolnych: a) K. dr. Zagórski: „Oko i malarstwo;” b) Winc. Ra- packi: „Trzy doby naszej sceny;” c) Jul. Adolf Święcicki: „O teatrze hiszpańskim;” d) Kucharzewski: „Słynni garncarze.“ — II. Odczyty w sali Muzeum rolnictwa i przemysłu na dochód kasy imienia Mia-	

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 186.

**BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.**

1887.



Tom drugi.

WARSZAWA.

Adres Redakcyi: NOWY-ŚWIAT Nr. 41.

—
1887.

WARSZAWA

BIBLIOTEKA

WARSZAWSKA



№ 111

Дозволено Цензурою.
Варшава, 23 Марта 1887 г.

1887



JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI,

URODZONY DNIA 28 LIPCA 1812 R. W WARSZAWIE,

UMARŁ W GENEWIE DNIA 19 MARCA R. B.

Samo obwieszczenie tego faktu żałobnego, wymowniejsze od wszelkich wspomnień nekrologii, głosi stratę wielką, stratę nieobliczoną obywatela-pisarza, któremu nowszy wzrost literatury zawdzięcza swoje początki żywotniejsze niemal we wszystkich kierunkach pracy umysłu ludzkiego. S. p. Kraszewski wystawił sobie trwałe pomnik na całej obszerniej niwie najnowszej literatury polskiej. Zadaniem naszym jest przypatrzeć się ze wszystkich stron temu pomnikowi, ocenić doniosłość charakterystycznych jego momentów — i wskazać skarbnicę ducha obywatelskiego, jaką w sobie zamyka dla przyszłości. Zadaniu temu pragniemy uczynić zadość w najbliższych zeszytach Biblioteki Warszawskiej. W tej chwili, łącząc się nad świeżą mogiłą z całą społecznością polską, w rzewnym do Boga westchnieniem powtarzamy: Wieczny odpoczynek racz mu dać Panie!

ZAPROSZENIE DO PRZEDPŁATY

NA ROK

1 8 8 7.

Biblioteka Warszawska, pismo miesięczne, poświęcone naukom, literaturze, sztukom pięknym i sprawom ekonomicznym, rozpoczęła z rokiem 1887-ym czterdziesty szósty rok swojej działalności naukowo-literackiej, i wychodzić będzie, jak dotychczas, na początku każdego miesiąca w zeszytach 10 arkuszowych.

Usilne staranie „Biblioteki Warszawskiej“ o utrzymanie peryodyczności naukowej w literaturze polskiej; rozbiór spraw nie tylko swoich, ale i obcych, obchodzących żywo społeczeństwo nasze; pilna uwaga na postęp w rozmaitych gałęziach nauk, z uwzględnieniem zadania naszej cywilizacji i oświaty narodowej we wszystkich kierunkach pracy umysłu ludzkiego; sprawozdania krytyczne z dzieł naukowych i literackich, wreszcie ogłaszanie utworów literatury pięknej, zajmujących nie tylko fantazją, ale całą umysłowość naszą—to są ideały, które Redakcja „Biblioteki Warszawskiej“ od lat 46-ciu urzeczywistnić pragnie. Za podstawę działalności na polu piśmiennictwa, stanowiącego jeden z najsilniejszych puklerzy indywidualności narodowej w jej przyrodzonym, historycznym charakterze, uznajemy: utrzymanie w czystości języka ojczystego, wzmacnianie ogniw tradycji narodowej przy świetle postępu nauki i krytyki. Obok dóbr duchowych zwracamy uwagę również i na interesa dóbr materialnych w dziedzinie spraw ekonomicznych. Zasady te połączyły „Bibliotekę Warszawską“ solidarnym powiązaniem z osobami poważniejszymi poglądającymi na literaturę ojczystą, a obok tego nastęrczyły inteligencji krajowej możliwość objawiania i szerzenia światła naukowego, jakie z postępowaniem powszechnym i naszemu przyświecać powinno narodowi. W ten sposób stała się „Biblioteka Warszawska,“ nie tylko organem piśmiennictwa naukowego, ale i szkołą dla występujących na polu literatury ojczystej coraz nowych zapaśników. Nie ma bowiem pomiędzy poważniejszymi pisa-

rzami naszymi prawie żadnego, któryby się przy wstępie do świątyni nauk nie był dał poznać na kartach Biblioteki, a wielu współpracowników „Biblioteki“ przynosi jeszcze dziś zaszczyt literaturze polskiej.

W miarę wszakże powstawania i u nas coraz więcej pism specjalnych, można dzisiaj trzymać się ściślej granic właściwych przeglądom miesięcznym, nie pomijając atoli względu na interes ogólny przy badaniach naukowych, występujących w nowym świetle dzisiejszej nauki i krytyki.

Pisma peryodyczne, trzymające pośrednie miejsce między literaturą książkową i dziennikarską, stanowią we wszystkich społeczeństwach oświeconych coraz bardziej potrzebne organa zasad i dążności, przekonań i teorii, poglądów i doktryn, które się z sobą ścierać powinny dla szerzenia zdrowych pojęć i ugruntowanych naukowo przekonań we wszystkich kierunkach życia ludzkiego.

Program z tych myśli wysnuty będzie i nadal celem, który Redakcja „Biblioteki Warszawskiej“ osiągnąć zamierza, a to w następujących działach:

I. Z dziedziny **filozofii**: rozbiór nie tylko systemów filozoficznych, ale i najnowszych kierunków badań filozoficznych.

II. W zakresie **historii i geografii**: obok dziejów powszechnych, dzieje własnego narodu, oraz innych narodów słowiańskich, w ich indywidualnym rozwoju z uwzględnieniem warunków geograficznych.

III. Z nauki **statystyki**, ważniejsze kwestye społeczne i ekonomiczne.

IV. **Nauki przyrodzone** w ich rozwoju i praktycznym zastosowaniu.

V. **Pedagogia i filologia** wraz z **lingwistyką**, ze szczególną uwagą na sprawy szkolne.

VI. **Literatura i sztuki piękne**: poezya i proza (powieść, dramat, poemata)

VII. Korespondencye w szczegółowych kwestiach naukowych.

VIII. Sprawozdania i **krytyki** z piśmiennictwa polskiego i obcego.

IX. Kronika z kraju i z zagranicy.

X. Kronika miesięczna o sprawach bieżących, społecznych, naukowych, artystycznych i ekonomicznych.

XI. Wiadomości bibliograficzne.

XII. Nekrologia.

XIII. Ogłoszenia.



WARUNKI PRENUMERATY.



Redakcja **Biblioteki Warszawskiej**, dając wytrwale do zaspakajania potrzeb naukowych społeczeństwa naszego, pragnącego utrzymać swój związek z postępem oświaty europejskiej, nie spuszcza także z oka trudnych warunków ekonomicznych danej chwili; dlatego obniża prenumeratę dotychczasową „Biblioteki Warszawskiej” na rok 1887-y w sposób następujący:

W guberniach Królestwa i Cesarstwa, oraz we wszystkich krajach, należących do związku pocztowego:

III

Rocznie	rs. 10 kop. —
Półrocznie	„ 5 „ —
w Warszawie zaś:	
Rocznie	„ 9 „ —
Półrocznie	„ 4 „ 50
Kwartalnie	„ 2 „ 25

Upraszamy o nadsyłanie prenumeraty wprost do **Redakcji Biblioteki Warszawskiej, Nowy-Swiat Nr. 41**, gdyż to zapewnia najlepiej akuratańską ekspedycją pisma. Równocześnie upraszamy o wcześnie nadsyłanie prenumeraty, ponieważ do tego stosować będziemy ilość drukujących się egzemplarzy.

Przyjmują także prenumeratę wszystkie księgarnie w Królestwie i Cesarstwie.

Opłata za ogłoszenia w „Bibliotece Warszawskiej” wynosi:

Za ogłoszenie, zapewniające	1 całą stronę	formatu Bibl. Warsz.	rs. 5
„	1/2	„	„ 3
„	1/4	„	„ 2

Redakcja.

ENCYKLOPEDIA WYCHOWAWCZA.

Pod redakcją J. T. Lubomirskiego, E. Stawiskiego, S. Przystańskiego i J. K. Plebańskiego, wychodzi w zeszytach 5-arkuszowych. Prenumerata wynosi kop. 40, z przesyłką kop. 50 za zeszyt. Można także wносить przedpłatę po rs. 3 kop. 20 za tom, złożony z ośmiu zeszytów z przesyłką rs. 4.

Skład główny i ekspedycja „Encyklopedyi Wychowawczej” znajduje się w Warszawie w księgarni Gebethnera i Wolffa, Krakowskie-Przedmieście, Nr. 415.

KRAJ, N-ra 5, 6, 7, 8 i 9.

Artykuły wstępne: Źródła naszej twórczości duchowej. — Właściwe znaczenie noty kardynała Jacobiniego. — Z powodu świeżo wydanego programu działalności Banku ratunkowego w Poznańskim. — Cechy i żydzi. — Bezpośrednie następstwa zwycięstw ks. Bismarcka na wyborach. — Zadania banku ziemskiego ratunkowego w Poznaniu. — Listy otwarte do redaktora „Kraju.” *Korespondencye:* Z Fi-

lipopola—St. Biernackiego; z Galicyi—J. Rogosza; z Gniezna—Wiarusa (dwie); z Ruszczuku—B. S.; ze Lwowa—I. Franko; z Torunia—Z. Z.; z nad ujść Wieprza—Rolnika; z Kamieńca—Hrchorego; z Kijowa—Prawnika; z Merwu—ks. J. Dobkiewicza; ze Lwowa—Veraxa; z Mińska—C.; z Londynu—Latarnika; z Wiednia—Atanazego; z Kijowa—M. Trzaski (dwie). Sprawy bieżące.—Z sądów.—Dział polityczny.—Z tygodnia.—Dział ekonomiczny.—Ogłoszenia.

Przegląd literacki: A. Puszkina, Wł. Spasowicza. — „Pomnik,” wiersz, A. Puszkina (w przekł. A. Gomulickiego). — „Do poety“ i „Do **,” wiersze A. Puszkina (w przekł. Wł. Sabowskiego). — „Demon,” wiersz A. Puszkina (w przekł. W. Zagórskiego). — Polskie przekłady Puszkina, J. Tretiaka. — Z pośmiertnych papierów wieszczka, J. Tokarzewicza. — Na zgon poety, Krajowca. — Mickiewicz i Trembecki, J. Tretiaka. — O znaczeniu energii w nauce dzisiejszej, St. Kramsztyka. — „Potop“ Sienkiewicza, W. hr. Dzieduszyckiego. — Idylla, I. Franko. — Nasi powieściopisarze w oświeceniu p. Chmielowskiego, Wł. Prokescha (dok.). — Konrad Deubler, J. Karłowicza. — Kilka myśli o roku 1836, Ant. Prochaski. — Z pod Dogali, wiersz, M. Konopnickiej. — Zjazdy lekarskie w Moskwie, N. Beneda. — Konkurs na r. 1889, Kr. — W rocznicę śmierci autora Irydyona, wiersz, M. Konopnickiej. — Listy o literaturach słowiańskich, Br. Grabowskiego. — Za i przeciw, replika, J. Wł. Dawida. — Odpowiedź Ad. Mahrburga. — Sprawozdania literackie. — Kronika nauk, liter. i artystyczna. — Nowe książki. — Treść pism. — Bibliografia. **Odcinek:** „Poczalter,” nowela Al. Puszkina. — „Pan burmistrz z Pipidówki,” powieść M. Bałuckiego (dok.). — „Pożar we wsi,” N. Szczedryna. — „Przewoźnik,” szkic z niedawnych wspomnień, Ad. Szymanowskiego.

Cena w Cesarstwie i Królestwie 10 rs., zagranicą 12 rs. rocznie.

Adres: Petersburg, plac W. Teatru, 10.

„PRZEGLĄD KATOLICKI.”

Nr. 12-ty z dnia 24 marca zawiera artykuły następujące: Papię i Anatomia. — Asceta polski z XVII-go wieku, ksiądz Mikołaj Łęczycki (dok.). — Stosunek wolnej woli do rozumu. — **Notatki z prasy peryodycznej:** Ubolewanie nad pedagogicznem zaniedbaniem dzieci Littré’go. — Czy potępienie p. Władysława Kiersza przez postępowców jest zasadne? — Świt. — **Kronika krajowa kościelna.** — **Kronika kościelna zagraniczna.** — **Bibliografia:** Koniec świata, przez Erazma Majewskiego. — Biblioteka Rodzinna. — Pamiętka pierwszej Komunii, przez ks. Jana Siedleckiego.

Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca **J. K. Plebański.**

„RECEPTA NA TO, ABYŚMY SIĘ DŁUGO W OYCZYSTÉJ Ziemi osiedzieli. A. 1682.”

(DOKUMENT HISTORYCZNY DO DZIEJÓW POLSKICH WIEKU XVII-GO).

Objaśnienie wstępne. W bibliotece Braci Czeskich w Lesznie w Wielkiem Księstwie Poznańskiem, głośnem ognisku żarliwego ruchu dysydenckiego w Wielkopolsce wieku XVII-go, znajduje się pięć grubych woluminów foliowanych w trwałej oprawie, mieszczących w sobie bardzo wiele ważnych, często zkadinańd nieznanych pism, broszur, obwieszczeń i korespondencyi bieżących doniosłego znaczenia historycznego, z czasów mianowicie panowania Władysława IV-go, Jana Kazimierza, Michała Wiśniowieckiego i Jana Sobieskiego. Folianty te zapisane są w katalogu biblioteki Zboru pod nazwą „Acta Oniana,” ponieważ powstały ze zbiorów, gromadzonych przez Pawła Onijasza, uczonego ministra Braci Czeskich (1671—1686) przy Zborze w Parcicach, w dawnéj Ziemi wieluńskiéj. Gdy w r. 1686 Zbór parcicki z winy Onijasza zniszczony został, przeniósł się Oniasz do Kłajpedy (niem. Memel), gdzie umarł d. 5 października 1697 roku. Niepodobna stanowczo orzec, czy pisma, między któremi i druki się znajdują (niekiedy nawet w dwóch egzemplarzach), tworzące tak zwane „Akta Onijasza,” zgromadził sam Oniasz w czasie swojego urzędowania w Parcicach, ponieważ spotykamy tu rzeczy sięgające poza rok 1686 a nawet 1697-y, mianowicie: 1) Zdanie pana Grzybowskiiego o świeżo przeszłych radach lwowskich z dnia 10-go stycznia 1687 r. (Vol. V, fol. 490); 2) Relacya dla czego Compania angielska przez lata 1691 i 1692 żadnych czynności handlowych w Malborgu nie odbywała (fol. 494—

501); 3) Uniwersał Jana III-go. W Jaworowie 12 czerwca 1692 (fol. 502—503); 4) List do króla od elektora brandenburskiego. Kolonia nad Spreą (Berlin) d. 7 (17) października 1693 r. (fol. 504 i 505); 5) List elektora do arcybiskupa gnieźnieńskiego i do innych senatorów kor. i lit. Kolonia nad Spreą d. 7 (17) paźdz. 1698 (fol. 505; 506); 6) Reprezentacya prawa, za którego powodem godzi się elektorowi objąć posesyą Zastawu na mieście Elblągu ustanowioną. R. 168 (fol. 507—531); 7) Votum pana Stanisława Lubomirskiego, marszałka w. kor. na walnem zgromadzeniu senatu miane, 28 maja 1700 r. (fol. 502 — 537). Z lat zaś poprzedzających panowanie Władysława IV-go znajdujemy tu tylko 17-cie dokumentów mniejszej doniosłości, między innemi najdawniejszy z r. 1379-go pod tyt. „Rokosz Gliniański” (Vol. I, fol. 379—386), którego historyczność obalił Józef Jędrzej Załuski, wykazując, że rokosz ten ulągł się w fantazyi rokoszan Zebrzydowskiego, którzy go jednak odnosili do r. 1381-go. Spotykamy też w zbiorze Onijasa kilka pism, znajdujących się w Załuskiego „Litterae historico-familiares.” Dla przykładu wskazujemy: Załuski, t. I, p. 713=Onijasz V, fol. 17—22; Załuski, 427—434=Onijasz, IV, 477—482; Zał., I, 428=On., IV, 449; Zał., I, 439=On., IV, 497—504 i in.

Charakter pisma oraz styl i język memoryału, powołanego dosłownie w nagłówku niniejszego artykułu, znajdującego się w piątym voluminie fol. 242 — 253, odpowiadają pod każdym względem tradycyi wieku XVII-go. Memoryał niniejszy zdaje się być przygotowaną do druku broszurą polityczną, jakie rozrzucono z wielu stron po całej Rzeczypospolitej, po zawarciu, przez Sobieskiego pokoju Żurawińskiego (1676), odrzuconego niebawem wraz z przymierzem francuzkiem na sejmie 1678-go r. W ten sposób starano się za pomocą silnie zorganizowanej agitacyi, przysposobić umysły szlachty przychylnie dla upragnionego przez Habsburgów związku Rzeczypospolitej z Austryą przeciwko nawale tureckiej, która coraz niebezpieczniej podkopywała stanowisko państwowe monarchii Austryackiej, a przez to zagrażała i reszcie krajów chrześcijańskich w Europie wschodniej i środkowej. W tym samym zbiorze Onijasa (Vol. V, fol. 234—241) znajdujemy manifest z dnia 10 lutego 1681 r. pod tyt. „Tuba, czyli proklamacya przeciwko turkom.”

Ideę tę popierała najzarliwiej i najwytrwalej w wieku XVI-ym i XVII-ym Stolica apostolska, uważając od czasów kłeski warneńskiej Polskę za najodpowiedniejsze ramię do wykonania tej myśli i za najwidniejszą chorągiew w tej walce krzyża przeciw półksiężycowi, za chorągiew, około której starała się zgromadzić resztę państw chrześcijańskich. Za Zygmunta III-go i za Władysława IV-go były chwile, w których się zdawało, że Polska gotowa stanąć na czele tej nowoczesnej krucyaty; ale małoduszna i nawskroś dynastyczna polityka dworu

habsburskiego, ociągająca się z uznaniem traktatu hendzińskiego, a później także i antagonizm Burbonów, wszystko to udaremniało wszelkie starania i marnowało znaczne ofiary materyalne kurii rzymskiej. Przemowny w w. XVII wpływ polityki francuskiej obezwładniał wszelkie roboty dyplomatyczne w tym kierunku, z czego wynikała obojętność innych książąt i panów chrześcijańskich. W piersi ich nie można już było wskrzesić iskry, któraby w świecie chrześcijańskim potrafiła obudzić taki zapał dla idei wydarcia Konstantynopola z rąk niewiernych, jaka zagrzewała zastępy wojen krzyżowych, spieszących do Jerozolimy dla oswobodzenia grobu Chrystusowego, a kończących na wznoszeniu wśród islamu nowych księstw udzielnych, z feodalnymi urządzeniami Europy zachodniej.

Memoryał, który niniejszém ogłaszamy, nie potrąca ani słowem o ten antagonizm, przenikający dzieje wieku XVII-go; ale stara się przekonać Rzeczpospolitą, że najżywotniejsze sprawy jęj terażniejszości i przyszłości, że nawoływanie Stolicy apostolskiej, równie jak przekonania i głosy najznakomitszych senatorów duchownych i świeckich różnych epok, wskazują Polsce jako jedyny ratunek przed niehybną zgubą podjęcie wojny z Turcyą, która zagraża bezpieczeństwu narodu polskiego i gotuje mu los, jaki spotkał cesarstwo wschodnie z upadkiem Konstantynopola (1453). Tymczasem naród polski pozostaje głuchym na te wszystkie ostrzeżenia, a to głównie dlatego, że stan uprzywilejowany w Rzeczypospolitej, że panowie i szlachta, goniąc za prywatą nie mogą się wznieść na stanowisko obowiązków ogólnobywatelskich, rujnują i wycieńczają „*exsangue corpus patriae*” przez to, że dopuszczają się względem ojczyzny, matki swęj, której wszystkie dobrodziejstwa zawdzięczają, przerażających „niesprawiedliwości.” Autor wymienia siedm takich niesprawiedliwości, mianowicie: 1) brak miłości ojczyzny, będącej w równęj mierze troskliwą matką wszystkich stanów, a nie samego tylko szlacheckiego; 2) pomieszanie swywoli z wolnością prawnie opisaną; 3) uciemnienie kmiotków, obrażające przyrodzone zasady sprawiedliwości; 4) nierówny rozkład ciężarów publicznych między wszystkie stany, tworzące jedno ciało ojczyzny; 5) niepomiarkowanie w wydatkach i zbytkach; 6) zażalenie w opłacie żołdu wojsku; 7) marnotrawstwo i brak rachunku w rozchodach, popychające szlachtę na drogę jurgieltników książąt zagranicznych ze szkodą interesów własnego kraju. W dalszym ciągu wskazuje „Recepta“ osobno skutki, jakie wynikają z każdej z powyżęj wymienionych niesprawiedliwości, obrażających godność obywatelską i prowadzących do nieuniknionej zguby i upadku ojczyzny.

Wywody autora, jakkolwiek wywołane chęcią obrony idei ogólnej, mają znaczenie poważnych, szczegółowych dokumentów historycznych. Ponieważ obok tego odznaczają się ścisłością logiczną przy

wszystkich wnioskach, oraz niezwykłą podniosłością myśli i energią słowa, przeto zasługują na uwagę pokoleń dzisiejszych i późniejszych.

Autor, którego nie znamy, ani go też bez żadnych danych wskazówek, wśród ówczesnych statystów i polityków polskich, domyślać się możemy, był mężem dosyć obytym w sprawach publicznych, mężem tego pokroju, co Krzysztof Grzymułtowski, Kazimierz Zawadzki, Stanisław ks. Lubomirski, Hieronim ks. Lubomirski, Stanisław Dunin Karwicki, — ale nie mamy żadnych danych, któreby do jakiegokolwiek hipotezy pod tym względem upoważnić mogły.

Autor przedstawił w memoryale swoim bolesną analizę ówczesnego społeczeństwa polskiego, odkrywając najgłówniejsze wady nie tyle w samym organizmie narodowym i politycznym, ile w zakorzenionych zwyczajach rozswyolonęj klasy panującej. Słowa jego nie wpłynęły dosyć skutecznie na uleczenie tych „wrzodów,” których polacy już w wieku XVII-ym tykać nie pozwalali; ale w każdym razie mogły nauczyć i przekonać nietylko publicystów dzisiejszych, karzących zbyt pochopnie przeszłość naszą bez głębszego jęj zbadania, ale i historyków, głoszących w imię historii surowe wyroki na dawniejsze pokolenia, — słowa te mogą nas przekonać, że nie myśmy dopiero przejrżeli ciemne głębie upadku naszego, że nie my pierwsi zdobywamy się dzisiaj na tę odwagę inkwizytora, który z całą energią dotyka i wypala „wrzody“ społeczeństwa naszego. Byli bowiem tacy i poza kazalnicy Skargów, Birkowskich, Starowolskich, którzy, poczynając od konfederacji Tyszowieckiej (31 grudnia 1655 r.) i od wotum Jana Kazimierza w katedrze lwowskiej (1-go kwietnia 1656 r.) bez wytchnienia wołali: Surge, qui dormis! Powstań, co śpisz!

Poruszone w memoryale autora idee sprawiedliwego ustosunkowania praw i obowiązków obywatelskich, na szerokiej podstawie wszystkich warstw społeczeństwa polskiego, nie przebrzmiały jednak bez śladu; ale znalazły swój wyraz w reformie edukacji publicznej, w zamierzonej naprawie rządu i w tym sposobie myślenia, który przenika nowsze dzieje społeczeństwa polskiego. Nie możemy bowiem nważać za prawdy historyczne tych doktryn politycznych, które, nie rachując się z danymi warunkami ustroju państwowego w Polsce, widzą dzisiaj jedyny środek utworzenia bezpiecznej drogi organicznemu rozwojowi pomyślności politycznej Rzeczypospolitej naszej w wytworzeniu jaknajsilniejszych organów policyjnych. Historyk nie może, jak to wśród wielu innych czyni książka M. Bobrzyńskiego (wyd. 2, t. II, str. 183), dyktować „zamachu stanu“ wiekom, które z wszystkimi swemi odrębnymi ideami i namiętnościami politycznymi utonęły w falach przeszłości; historia odkrywa i bada bowiem te idee, stanowiące żywotne siły danęj chwili, które dopominały się urzeczywistnienia swego w sposób normalny, bez narzucającej się przemocy brutalnych organów policyi; lub absolutnej opieki wszechwładztwa państwowego.

Dla tych względów zasługują tego rodzaju zjawiska, jako idee żywotne, przenikające w pewnej epoce dane społeczeństwo, na pilną uwagę poważnych badaczy przeszłości naszej, których najpilniejszym obowiązkiem byłoby powinno: poznać gruntownie i wszechstronnie przeszłość naszą, a potem ze stanowiska nauki historii, a nie pod wpływem dzisiejszych doktryn politycznych lub ideałów etycznych, przedstawić dokładny obraz historyczny tych mianowicie wieków ostatnich, w których odzywały się już idee odrodzenia politycznego i społecznego. Idee te przenikają w wysokim stopniu poniewierane dotychczas rządy „Sasów“, a mianowicie czasy Augusta III-go. Zabiegi tego dworu około uporządkowania i ustalenia organów państwowych, paraliżowane przez ubóstwianych dotychczas „patryotów“, (szkoła republikańsko-demokratyczna) broniących krzykliwie złotęj wolności przeciw zamiarom absolutystycznym dworu, zrywających dla tój niby idei sejmy, a będących właściwie na jurgielce polityki pruskiej, zamiary te przedstawiają się na podstawie wydanej przed paru laty „Korespondencji Fryderyka W-go“ w świetle zupełnie odmiennem od tego, które nam dotychczas przyświecało *).

Dokument z r. 1682-go ogłaszamy bez żadnej zmiany, z zachowaniem ówczesnych form językowych, przy ujednostajnionej jednak do pewnego stopnia pisowni ówczesnej, z uwzględnieniem potrzeb gramatyki historycznej i z uporządkowaną nieco interpunkcją. Dla łatwiejszej poczytności w piśmie peryodycznem, zastąpiliśmy zdania łacińskie w tekście wykładem polskim, a łacinę strąciliśmy do uwag na dole każdej strony.

Postępujemy tedy owęj „Recepty“ z r. 1682-go.

J. K. Plebański.

Warszawa, dnia 4-go marca 1887 r.

*) Politische Correspondenz Friedrichs des Grossen. Z tajnych archiwów pruskich wydana pod opieką następcy tronu niemieckiego. Berlin, A. Duncker, 1879—1886. Tomów 14-cie.

„Zdesperowany od cudzych, oplakany od swoich, Narodzie Polski, przynamniej z rąk Boskich, kiedy się z ludzkich niepodoba, przyjmij tę receptę, która jest: Czcij Ojca i Matkę twoję, abyś długo żył na ziemi ¹⁾. Jeżeli się chcesz dłużej przy tej Ziemi, z której cię iusz ruguje poganin zostać, słuchayże Ojca y Matki twoiey, albowiem Oycowskie y Macierzyńskie przykazania, iako Duch Św. mówi: długie życiu twemu lata y pokóy prawdziwy przydadzą ²⁾; Ojca zaś inszego na Ziemi nie masz, tylko tego, który jest powszechnym całego Chrześcijaństwa Oycem. Matka twoja jest ta Oycyzna, którać życie y fortuny dała. Słuchayże wprzód Ojca, a Ojca Ś. Clemensa VIII-go, usty wielkiego Kaietana Kardynała y Posła swego na Seymie Roku 1597 nieszczęśliwe zerwanym do Ciebie mówiącego temi słowy:

Mowa Kajetana Kardynała 1597. Pszy tak ciężkiew całego Chrześcijaństwa w bliskim sąsiedztwie Waszem, Polacy, kłęsce ³⁾, obracam się do was. Pobożność Waszę między kacerstwem i odszczepieństwem, iako różą między cierniami pięknie kwitnącą widząc, iako Ociec powszechny mam tę nadzieję od teyże pobożności Waszey, że całemu Chrześcijaństwu w ciężkim od pogańskiej ręki upale ratunku nie umkniecie. A to przezemnie utrapioniego całego Chrześcijaństwa Ojca ręce do Was podnoszą sąsiedzkie Królestwa, ratunku y politowania braterskiego zębrząc. Przyczynia się za niemi Niebo, nie mogąc dłużej na tak wielkie Wiernych swoich patrzeć upadki. Przyczynia się za niemi Ziemia, pctokami krwie Chrześcijańskiej zbroczona. Wiodą Was do politowania wojsk braci waszych okrutne kłęski, tak wielu żałosne narodów pod tureckiem jarzmem stękania, płaczym głosem do uszu Waszych kołających; wrzusz y Was należyłą czułość bliski o ścianę pożar y swoim przykładem pokazuje, czego się we wnętrznościach waszych wprzód niżeli na granicach spodziewać macie. Czy rozumiecie, że własnymi waszemi siłami zwojujecie tę tak wielką potęgę, gdy iey teraz sąsiadami wojować nie chcecie? Nie podaycie ieno tym ręki, którzy teraz toną, kto ią Wam potym poda, gdy w te wpadniecie otchłani? Ey nie zasmucaycie całego chrześcijaństwa, które z waszą pomocą pewne sobie obiecucie zwycięztwo. Długoż tak nie użytego przeciwko braci waszey będziecie animuszu? Długoż im pozwolicie bez posiłków waszych ginąć okrutną śmiercią z wiel-

¹⁾ Honora Patrem et matrem tuam, ut sis longaevis super terram.

²⁾ longitudinem dierum et annos vitae et pacem apponunt tibi. ³⁾ Zdobycie przez turków Agryi na Węgrzech i rozbicie wojsk cesarskich pod Karcstą. P.

ką obelgą Narodu Waszego? Gdzie się ona stara Polska roztropność y uwaga Wasza podziata, bez której was tak zakamiałych (*sic*) widzę? Widzicie pogańskie successy, słyszycie proźby, lamenty, y ięczenia braci waszych, a przecie uparcie chcecie być ślepymi i głuchymi. To to jest pusczyć się na losy wszystkie nieszczęścia życia ludzkiego; to to jest dać się omamić przyjaźni pogańskiej, to to jest gnuśno zasnąć! Aleć przecie, da Bóg, wleie w umysły wasze miłosierdzia politowanie, które was poruszy, Bracią waszą ginącą pocieszy, od całego narodu waszego słuszny gniew sprawiedliwości Boskiej, który nad podobną wisi niezbożnością, odwróci y umityguie. Co ieżeli zawczasu nieuważycie y wnetrżności waszych nie poruszycie, że was toż kiedy, co sąsiadów waszych nie spotka? Mylicie się, rozumiejąc, że sprawiedliwym sądem Pańskim nie zakamieją serca Chrześcijańskich panów, y których darmo posiłku szukać będziecie: y rozumiecież, że ciężkiey od Boga nie odniesiecie kary (za) ten nieużyty wasz umysł? Prawda, że przodkowie Wasi nie chcieli na się obruszać Turczyzna, aleście od niego kilką prowincyey y wielkimi krajami byli zaskonieni; wy iuż iesteście całe w paszczęce tego tyrana, jużeście prawie zginęli, gdy dwie twierdze wasze Taurynów y Argią opanował. Zgubiliście w Węgrzech te dwie tak wielkie tamy, które pogański zatrzymywały potop. Cóż was iuż teraz zastoni od tureckiey powodzi? przedzey albowiem murzyn czarną odmieni skórę, przedzey lampart z odmienney swojey wylinieje sierci, niżeli Wam Turczyn dotrzyma pokoju, którego się nierychło u Złotey Porty złotymi upominkami dokupicie, do której postów Waszych posyłać będziecie z pieniędzmi y supplikami, y częstokroć nic nad urągania y obelgi nie odniesiecie! Kto wymówi, jakimi Was karmić będą niesmakami, które połykać i strawić będziecie musieli! Zagony nieprzyjacielskie, pożary, zabrania ludzi y rzeczy, zaboje mężów, prowadzenia w niewolą niewiast y Żon Waszych, codzienne będą potrawy Wasze tym przykrszejsze—im sławniejszą teraz nad insze narody nasycać się wolnością! Uważ-że, moy Narodzie miły, ieżeli to nie są Oycowskie do Ciebie słowa, ieżeli nie głosem proroka przemawiał Ojciec Ś-ty owego roku ¹⁾, czym ci na ten czas groził? Chciey tylko dobrze rozstrząsnąć tę mowę, a uważ, że duch prawdy przez niego mówił, bo widzisz, że się to właśnie już z tobą dzieje. Tak ci się hardo stawia ta Porta, tak skamieniały serca poddanych twoich, jakoś ty był głuchy na płacze i lamenty ich. Słuchałeś na Seymie Grodzińskim napominania Oycowskie Inocentego XI-go usty, stolice apostolskiej Legata, do Ciebie mówiącego: to rozumiesz że słowa płonne do uszu twoich posyłał y daremno Martelli, (co się tłómaczy: młotek) do kamiennego serca twego kołatał; Wierz mi, że nie budził cię z letargu ciężkiego, abyś się ocknął, abyś pod pozorem pokoju tym straszniejszey, im skrytszey wojny nie przyjmując, Danaów z darami przychodzących ²⁾ słusznie się obawiał, abyś walecznego Pana szczęścia,

¹⁾ Non prophetavit pontifex illius Anni. (Kardynał odnosi to zapewne do układów z r. 1596-go). ²⁾ Danaos et dona ferentes.

gdy służy, zażywał, abyś nie rozumiał, że o węgiel prawie na jednym Zagonie z Tobą mieszkający poganin statecznego dotrzyma pokoiu, którego nikomu nigdy nie dotrzymał, y tobie samemu lubo stem mil odległy, prowincjami całymi y rzekami był odgraniczony. Wierz mi, Narodzie mój, że papieżkie y oycowskie słowa są to wyroki ¹⁾ Ducha Św. są niechybne wyroki: przestrzegaj nauki i przepisów, zachowaj je sobie, a żyć będziesz! ²⁾.

A tak, słuchając mowy y proroctwa oycowskiego, posłuchaj ieszcze proszę, Matki twoiey, która ustami wielkiego Prymasa Karnkowskiego na seymie w te właśnie do Ciebie mówi słowa:

Mowa Karnkowskiego, Arcybiskupa Gnieźnieńskiego na sejmie 1597. Synaczkowie moi, przez żywego Boga Was proszę, czemu moje y wasze zdrowie o skałę uporu Waszego roztrącacie? Nic, synaczkowie moi, iako ludzie swego czasu, na swym mieyscu swoim sposobem nie czynicie! Wypuściliście cugle swey woli, złotą waszą wolność obróciliście w licentią zbrodni: nie masz nic stałego u was, nic mocnego y statecznego. Prawa y konstytucye Wasze, któreście na Walnym Seymie postanowili, na seynikach znosicie, albo przeciwnymi prawami retradujecie, albo w ostatku Bogu y ludziom obmierzłymi tamujecie protestatiami. Już smak cale utraciliście dobry: ztąd ani choroby, ani lekarstwa znieść możecie. Biada wam, synowie moi, którzyście mi tak wiele łez z oczu moich wycisnęli, biada studze, na którego Pan, biada córce, na (którą) matka płacze! Płakał Jezus

1) Oracula. 2) Custodi sermones et praecepta, reconde tibi et vives. —Do objaśnienia tego wystąpienia kardynała Henryka Gaetani ego na sejmie w Warszawie 1597-go roku mamy cztery najwiarogodniejsze źródła, mianowicie: 1) Relacją samego kardynała w dziele: *Relacje nuncyuszów apostolskich i innych osób o Polsce od r. 1548 do 1690.* Wydanie Bibl. Polskiej w Paryżu (E. Rykaczewski). Berlin i Poznań 1864, t. II, 66—74, gdzie na str. 82 mówi: „orationem habui in senatu, in qua S. V. mandata exposui, propositis periculis christianitati toti, ipsique adeo regno Poloniae impendentibus, eorum animos ad conjungenda cum Caesare arma permovere conatus sum.“ 2) Dyaryusz podróży i pobytu kardynała w Polsce spisany przez sekretarza kardynała, Gio. Paulo Mucante, mistrza ceremonii (*Zbiór Pamiętników o dawnej Polsce p. Niemcewicza* wyd. Warsz. u Glücksberga 1822, t. II, str. 132—216), gdzie na str. 195 jest wzmianka o tój mowie przy zaznaczeniu ogólnej jój treści, że miał ją kardynał Gaeteni w izbie sejmowej dn. 20 lutego 1597-go przez trzy ćwierci godziny. 3) Joachima Bielskiego „*Dalazy ciąg Kroniki polskiej, zawierającej dzieje od 1587—1598* wydał F. M. Sobieszkański.“ Warsz. Orgelbr. 1851, str. 298; locz podług Bielskiego sejm złożony był na 26 marca 1597, tak że data Mucantego byłaby niedokładną. 4) Ks. Jana Wielewickiego S. J. „*Dziennik spraw domu zakonnego OO. Jezuitów u św. Barbary w Krakowie.* Wyd. Akad. Krak. 1881. Str. 234. Porównaj dla wyjaśnienia całego przebiegu tych tranzakcyi dyplomatycznych

na Jeruzalem, y przyszedł też Wespazyan, pomścił się płaczu Pańskiego nad sługami. Mielście czas a przecieście skarbu żadnego w pokoju na wojnę nie zebrali, teraz nie macie, gdy Wam potrzeba. Dwadzieścia siedm towarów znajdują się u mnie, któremi Wam Złoto y Srebro gromadzę, gdzież te są skarby? Ośm milionów posyłam Wam z samych portów co rok do domu, gdzież przynamni ieden? Ma Hyspzan, ma Francuz, ma Włoch sposoby pieniędzy zbierania, czemuż tychże sposobów Polak zażyć nie chce? Potym, synaczkowie moi: Oto lew Otomański około granic Waszych krąży, szukając, aby mnie y Was pożarł, gdzież obrona Wasza? gdzież postanowiliście co pewnego, czymbyscie zastonić mogli? oto co innego robicie, żal się Boże! Macie prawo boskie, które Wam wyraźnie mówi: Nie tykajcie się ¹⁾ ręką nie tylko, ale i językiem pomazańca mego, któregom prymasa

i sejmowych od 26 marca 1596 począwszy. Str. 214, 215, 217—221, 226. Historycy nasi począwszy od J. U. Niemcewicza (Dzieje Zyg. III) a skończywszy na J. Szujkim (Dzieje t. III, str. 145 i 146) nie przedstawili dokładnie transakcyi w tym interesie podejmowanych, pomieszali narady krakowskie z warszawskimi, sejmowe z komisarскими. Najdokładniej przedstawia przebieg tego interesu J. Wielewicki. Sprawę ligi Rpltej z Austryą i innymi książętami chrześciańskimi zagał w d. 30 marca 1596 nuncyusz Malaspina na sejmie, który się odbywał w Warszawie od d. 26 marca do 8 maja 1596 r. Ponieważ posłowie austriaccy szukali wybiegów w sprawie paktów bendzińskich i nie godzili się na projektowaną przez polaków sumę subsydyów, przeto sejm nie powziął ostatecznej w tej sprawie decyzji; ale wyznaczył z grona swego komisarzów, którzy mieli się zjechać z posłami cesarskimi w Krakowie przed końcem sierpnia w celu przygotowania z współudziałem legata papieskiego dokładnego instrumentu traktatowego (Wielewicki str. 214). Uгода jakiej się po tych naradach spodziewano, miała uzyskać moc obowiązującą dopiero po zatwierdzeniu jej przez sejm, który dla tej sprawy wyłącznie zwołać zamierzono. Już dnia 16 czerwca 1596 r. przybył wysłany w tym celu legat papieski, kardynał Cajetani, do Krakowa (Wielew. str. 215) i brał udział w toczących się układach (Ibid. str. 216). Nieszczere postępowanie Austrii, której posłowie, jak świadczy Skarga, zaślaniłi się brakiem instrukcyi w obec wyraźnych propozycyi polskich, nie pozwoliło tej komisji powziąć żadnych postanowień decydujących. Mimo to Zygmunt III-ci, ulegając namowom legata Cajetani'ego, zwołał dla tej wyłącznie sprawy sejm do Warszawy na dzień 10 lutego 1597 r. (Ib. 234). Ponieważ posłowie cesarscy wcale na ten sejm nie przybyli, dla tego nie mogły stany sejmujące, mimo przytoczonej tu mowy Cajetani'ego (dnia 21 lutego), sprawy tej decydować i sejm się rozszedł (d. 29 marca), nie nie postanowiwszy. Nie spisano żadnej konstytucyi tego sejmu, gdyż to nie było jego zadaniem; ale dla tego nie można też uważać tego sejmu za zerwany, jak to czyni autor „Recepty“ i wielu historyków naszych. Bielski pisze, że z samego zaraz początku usunęli się posłowie województw ruskich z powodu braku instrukcyi odpowiedniej i karci takie postępowanie jako prejudykat niebezpieczny.

¹⁾ Nolite tangere Christum meum.

mego olejem świętym namazała, abyście iako króla szanowali, opacznie spraw jego dobrych nie szpecili, życzliwego onemu y sobie do niego nie psowali affektu.

Cóż na te, Narodzie moy, odpowiesz Matki twoiey pszed lat kilkadziesiąt słowa? Czy nie zbawienne były? czy nie przestrzegała cię ta Sybilla; którey prococtwa oto widzisz, iuż skutek nieszczęśliwy biorą.

Ale ieszcze słuchaj, co na tymże seymie przez Wielkiego Zamoyckiego, swobodę szlachecką y Oyczyznę kochającego do Ciebie mówi:

Mowa Zamoyckiego, kanclerza y hetmana W. K. miana na sejmie warszawskim 1597 ¹⁾. Postawcie sobie przed oczyma ów miły oyczyzny obraz, który na ten czas będzie, gdy opłakana w rzeczach y stanach nastąpi mieszanina, gdy poddani wasi, za zbliżeniem się potęgi tureckiey, panować Wam będą, gdy z tego tu miejsca, gdzie głosy wolne teraz się rozpościerają, do pluga y do smutnego skażą Was milczenia: gdy wam szable odpaszą, a tylko rydle y motyki wam zostawią; przypatrzcie się już teraz onemu nieszczęśliwemu widowisku, kiedy żona twoja, Polaku, dożywotni oboiey fortuny przyjacieli, albo żelaznym łańcuchem, albo rzemiennym arkanem skrępowana, żegnać się z tobą y rozstawać będzie, we łzach się rozplywając, płaczliwe dni y nocy w pogańskich ręku (y łożu ²⁾ trawić będzie! Imaginujcie sobie ono sodomskie y gomorskie theatrum, na którym obelgę cierpieć będą synaczkowie wasi, których albo kwitnący wiek, abo twarz piękna y włosy, pogańskiej zalecać będą niepowsięgliwości. Imaginujcie sobie ow rynek, godzien żeby w niego piorun uderzył, na którym roztracharze przedawać będą—ten brata, ten przyjaciela twego, ten oycę, ten siostrę, ów żonę a ty na to patrzeć będziesz, Polaku, gdy się o krew Polską y ciała obnażone sprosne targi stanowiąc będą! Imaginujcie sobie y ten czas niedaleki, kiedy przyjaciele y krewni wasi rozmaitymi torturami y katowniami będą do tego przywodzeni, aby głowy swoje szacowali: kiedy miasto listów do was, Członki od ciała oderwane posyłać Wam będą, abyście się nad niemi zlitowali, kiedy y w Krakowie na królewski tron wstąpi Smok Otomański y z niego dziedzictwa wasze ruchome y nieruchome dobra swoim bissurmańcom rozdawać będzie! Natenczas wszystkie te rzeczy, które Was cieszyć y delectować zwykły, cięższe wam przyniosą żale, na ten czas wolności wasze w smrotną obróć się niewolą, starodawne przywilejów pargaminy sadna końskie okrywać będą. Rzeka zaś ta sławna

¹⁾ Mowa ta z nuder małemi wariantami w słowach, była już drukowaną w „Dzienniku Warsz.“ r. 1827, t. IX, str. 125—130 z kąd ją przejął i wydał A. Malecki, Wybor mów staropolskich świeckich, sejmowych i innych. Wyd. K. Turowski, Kraków, 1860, pag. 91—97. ²⁾ Słowa tego niema w wydaniu Turowskiego.

Wiała, iuż nie zbożami waszymi obciążona, ale krwią y trupami zmieszana ku Gdańsku popłynie. Ey dla żywego Boga! przed czasem to uważcie, żeby takowe rzeczy za niedbalstwo y niewierność waszą na was nie przyszły.

W ostatku nie mnie już, ale samey matki waszey słuhaicie Oyczynny, która do każdego z was tak mówić poczyna:

Synu mój, ia dwieście nad tysiąc lat królestwa tego rozprze-strzeniałam granice, a ty ie tak prędko ściskać nieprzyjacielowi pozwalasz? Synu moy, ia nie iednym potokiem krwię, nie iednego woyska kłęską, niejedną przeciwko nieprzyaciołom woyną, ten pokoy, którego ty zażywasz, zbudowałam y u potomności kupiłam; a ty się iedney woyny bojąc, tak ledaiako on trwonisz? Synu moy, siedmset lat iam Chrystusa, Zbawiciela mego, na tym mieyscu z przodkami y rodzicami twymi wielbiła, ty z possessiey enót moich chcesz się przeciwko boskim y ludzkim prawom wydziedziczyć, y prawie (czego strach wspomnieć) sprosnoego Machometa wzywać, y tyż to kościoły Bogu y nieśmiertelney chwale Jego fundowane, częścią już od swawolnych ludzi w pustynie obrócone, do ostatka chcesz Turczynowi na obelgę podać?

Tu zaś Wielki Zamoyski, iako wielki Prorok mówi: „Ja zaś iako namnieyszey tey matki syn, naylichszy sługa Rzeczypospolitey Tobie, Wszechmocny Boże, któremu skrytości serca nie są tajne, Tobie, nayjaśnieyszey królu, Tobie, prześwietny senacie, y Wam wszystkim tego Królestwa Stanom z tym się oświadczam: Że z powinności urzędu mego dla chwały Bożey, dla Zbawienia Oyczynny, dla sławy Waszey Królewskiej Mości gotówem własną krew wylać; a potym czy znajduie się kto taki w senatorskim iako y w szlacheckim stanie, któryby swoiey miłości tey oyczynie chciał umknąć? W takowym razie, do takowych ia mowę moję obracam, że rzeki, pola, lasy, same zwierzęta y bydłęta przeciwko Waszey nieczemności y niezbożności powstaną, z tym się protestując, że waszym niedbalstwem stek ¹⁾ wszystkich zbrodni, bluźnierstw zbiór, świętokradztw wszystkich zjednoczenie, wiary Chrześcijańskiej otchłań, Mahometowe prawa y w te kraie wprowadzacie, y za to was na straszny sąd boski pozywać będę. W ostatku, jeżeli was to ieszcze nie wzrusza, niech was poruszy to, że w boskich y anielskich, y wszystkich narodów oczach obmierźniecie, y nie tylko na tym świecie w tureckiey zostawać będziecie niewoli, ale y na tamtym przez lata niezmierzone, przez wieczność nieskończoną, piekielnych mąk pod Lucyferem zażywać będziecie! Ty, Chryste Jezu, zmiłuy się nad nami, a tey zarazie Mahomeckiey ²⁾ nie pozwalay nasze przechodzić granice, abyśmy Cię y do końca prawdziwym wyznawali Bogiem!“

Czy się ieszcze serce twoie, Narodzie moy, tymi słowy, któreś

¹⁾ Mał. ściek. ²⁾ Mał. mahometanskięj.

słyszał nie skruszyło? Czy potrzeba jeszcze stolice Apostolskiej wielkiego posła y kardynała, z nim świętobliwego Karnkowskiego, Wielkiego Zamoyskiego z martwych wskrzesić popiołów, abyć jeszcze raz oycza świętego y powszechnój matki twoiey dając napomnienie pokazali błędy i nieszczęście twoie? Rozumiem, że tak wielkich y zacnych ludzi słowaby odbiegły y zdrętwiały, musiałby milczeć język, gdyby tylko tę przepaść zguby, w której już grążniesz oczyma swymi obaczyli. Widzisz tak ogniste z ust ich leciały słowa po upadku Agriey w Węgrzech; na jakieżby się zdobyli po utracie Kamieńca w Podolu ¹⁾. Słyszysz jaką żarliwością pałali ci wielcy ludzie, lubo jeszcze Wołoska Ziemia twoja, Dunaj, Dniestr y Tatry od tureckiey Cię składały potęgi; jeszcze straszny był kozackimi Konstantynopolowi excursionsyami: jeszcze sześćdziesiąt tysięcy samopałów przy tobie stawały; jeszcze egipskich, afrykańskich y azyatyckich galer nie napełnił krwią y bracią swoią; jeszcze Kościoły święte nie obróciły się były w plugawe meczety! Cóż rozumiesz Narodzie mój, czy chcieliby do Ciebie nie tylko mówić imieniem oycza y matki twoiey polscy ci (którycheś mowy dopiero słuchał) Chryzostomowie y Chryzologowie? Żyćby pewnie żaden z nich nie chciał y jednego momentu, patrząc na tak wielką hańbę twoię, przeczynał kiedyś Narodzie! Do którego już nie przez kanclerzów y Prymasów twoich, których widzę u Ciebie (powaga) spowszedniała, ale sama, nie tak usta, bo iey przy skonie życia już y tchu więcey nie staje, iako ranami w ciele swoim otwartymi nie tylko mówi, ale y woła: wstań, który śpiesz ²⁾, y któremu się to w głowie coś takowego marzy iako w naywiększym y gruntowniejszym pokoju.

Tymczasem — przykładając siekiere do korzenia ³⁾, mówi tedy ta Oyczyzna:

Przebac, że krasomowskich nie używam kwiatków, bo nie przystoi żałobie kolor taki ⁴⁾, w tym cię upewniam, że nie na ciebie, ale na twoie, którymeś dał u siebie indigenat, narzekam niesprawiedliwości.

A pierwsza iest ta, że gdy się we mnie nie kochasz, tym samem y siebie samego y wszystkich twoich nienawidzisz, bo tylko jedna miłość Oyczyzny zamyka w sobie wszystkie inne miłości ⁵⁾. Kto bowiem oyczyznę kocha, iey życia, iey krwie, iey substanciey nie żałuje. Toż wszystko dla siebie samego, dla potomstwa swego, dla przyjaciół, dla sławy, dla reputacyey, dla Boga samego czyni. Oyczyzna abowiem w sobie te wszystkie rzeczy zamyka, z oyczyzną te rzeczy stoją, z oy-

1) R. 1672. 2) Surge qui dormis. 3) Interim securis ad radicem.
4) non est conveniens luctibus iste color. 5) unius amor Patriae omnes caritates complectitur.

czynną giną. Tak dalece, że iako w okręcie żeglujący ludzie, iedno tylko staranie powszechne mają, żeby wiatry służyły okrętowi, żeby tenże okręt na skałę nie wpadł, albo na piaskach nie osiłął, żeby żagle y maszty iego w cale były, żeby Palinurus miał wszelakie posłuszeństwo ¹⁾, żeby go wszyscy słuchali, bo wiedzą dobrze, że gdy okręt szwankuie, nie tylko zdrowie, ale wszystkie owe zbiory, które na ten czas niosą, tak mile iako okręt, bo ie częstokroć y w morze rzucaią, aby tylko okrętowi ulżyć! Tak każdy Oyczynny syn powinien Oyczyźnie wszystko w ofierze składać ²⁾, nie tylko dla tego, że ona go zrodziła, że mu honory y substantie dała wielkie; ale co więtsza iest, że tego wszystkiego trudno zażyć, chyba w oyczyźnie zdrowey y kwitnącej. Kto abowiem w tonącym okręcie może być bezpieczny? Kto zasnąć może w domu pożarami ogarnionym, czyie zbiory w skrzyni wyłupaney, bo w tey, którey klucz y zamek w ręku iest nieprzyjacielskich, bezpiecznie zostawać nie mogą. Gdzie się podzieiesz, synu moy, gdy ia oyczyna zginę: dola ³⁾ twoia chyba będzie taka, iaka teraz cyganów wiecznych, ustawicznych włóczęgów y tułaczów? Wszak iuż masz tego w Podolskich obywatelach, braci twoiey, experiment. Y rzeczesz, że to tylko do Ruskich obywatelów należy, iako bliżcy niebezpieczeństwa. Mylicie się, synowie moi, wszyscy oraz grążniecic, bo w iednym wszyscy okręcie, lubo to strony Ruskiej czerpa ten okręt wodę, iednakże z nią y odlegleysza iuż tonie sztaba! A choćby nieprzyjaciel wam odlegleyszym sfolgował rok iaki, sami się zjecie; bo Ruskie Województwo poidzie w Sandomirskie, i z Sandomirskim daley, y tak iako Prorok ⁴⁾ mówi y grożąc głosi: „Ostatek gąsienice zjadła szarańcza, a ostatek szarańczej zjadł chrząszcz, a ostatek chrząszcza zjadła rdza“ ⁵⁾. Zaczym uważcie iak to pewna iest konsekwenca, że kto oyczyny nie kocha, siebie samego y najmilszych rzeczy swoich nienawidzi.

Druga niesprawiedliwość: że sobie prawdy mówić nie pozwalasz, wrzodu twego dotknąć nie dasz. Tak dalece, że kto tylko chciał sarknąć na prywatnego iakiego człowieka swą wolą „na gwałt!“ zaraz wołałeś, udaiąc, że znoszą wolności. I tym sposobem dałeś gleytny list żelazny swywoi. Wolności dobro ⁶⁾ takeś poniżył, żeś ją ze swywołą ⁷⁾ zmieszał, y tak przyszło do tego u ciebie, że bezbożna zbrodnia pod nazwiskiem cnoty chadzać może ⁸⁾. Na prywacie seym zerwać, a zatem oyczynę na jatki wydać, y na teyże prywacie seymik targać, rządu w Rp. y w Woiewództwie nie dopuścić, etc. Co wszystko z tego źródła niesprawiedliwości, że wolność ⁹⁾, powszechne dobro,

¹⁾ obsequium. ²⁾ litare. ³⁾ Sors. ⁴⁾ Joel cap. I, wiersz 4. ⁵⁾ Residuum erucac comedit locusta, et residuum locustae comedit bruchus et residuum bruchi comedit rubigo. ⁶⁾ Libertatis bonum. ⁷⁾ cum licentia. ⁸⁾ scelerique nefando virtus nomen erit. ⁹⁾ libertatem.

które trzem stanom Rzeczyposp. współwziętym należy, prywatny sobie uzurpuie człowiek, zapomniawszy, że nie było nigdy, y niemasz na świecie wolności takiej, któraby iednemu należała człowiekowi. Bo y monarchowie sami przyznają się do tego, że iest nad nimi większe iakieś, które ich wiąże prawo, gdy nad berłami swoimi pisać pozwalają: „Dobro narodu prawem jest najwyższem!“ ¹⁾. Jakosz tedy szlachcic polski może się nazwać wolnym, który więcey prawie ma praw ²⁾ na sobie niżeli włosów na głowie, który tyle razy niewolnikiem kary się staje, ile razy ³⁾ przeciwko nim (scil. prawom) wykroczy. Toć tedy wolność nie należy—tylko samym trzem stanom Rzeczyposp. y to nie każdemu z osobna, ale wszystkim wspólnie, bo tam dopiero iest Wolność ⁴⁾, gdzie prawami związana władza ⁵⁾ prawa pisze y kassuje. Tobie zaś, szlachcicu, synu mój należą pewne swobody, któremi celujesz wszystkich narodów szlachtę. Masz ieszcze, iako Gostomski niegdy Woiewoda poznański na seymie ⁶⁾ powiedział: wolność głosu ⁷⁾ ale nie czynów ⁸⁾, to iest, żeć wolno zdanie twoie swobodnie ⁹⁾ powiedzieć, coć się zda, ale nie wolno przy nim tak uporezywie stawać, żeby równym braci miał nakładać obowiązek postępowania koniecznie podług twój woli ¹⁰⁾, pogotowiu tamować, albo rozrywać zgodę wszystkich iednym twoim zdaniem, chyba wtenczas, kiedy wyraźnie usta twoimi mówi przez się Prawo.

Trzecia iest niesprawiedliwość, okazała twojej y mojej zguby, na którą krwawymi łzami płakać muszę. Tak się rzecz ma: że cokolwiekem prowincyi y krajów przeszłymi wieki sobie zakroiłam, podzieliłam to między synów moich tak: iednym dałam część ziemi, aby z niej Bogu memu za dobrodzieystwa dziękowali y chwałę Jego pomnażali; drugie zaś części dałam na wieczny żołd ziemianinowi, aby mi z niej służył wprzód na wojnie, a potym w pokoiu. Nie inszą kondycją ubogich kmiotków poddałam szlachcie, tylko aby żywili y karmili *moich y swoich obrońców*. Com sprawiedliwie uczyniła dla sprawiedliwości prawnej ¹¹⁾, to *za* to. Już tedy, synu mój, widzisz iak wielka niasprawiedliwość, że dobra moje, że żołd mój masz za twoją własną rzecz, y rozumiesz, żeś mi nie nie powinem za to: rozumiesz, że mi z łaski daiesz, nie s powinności, — y dla tego na rozmierzenie łanów, abyś z nich nie podatkował, nie pozwalasz; siebie za Pana, a mnie Oyczynę, którey wszystko y ty sam należysz, masz za iakiegoś żebraka, którey iakąś częstkę jałmużny z politowania barziej, niż z powin-

1) „Salus populi Lex summa!“ 2) Proceszów, skarg. 3) toties servus poenae stae się, quoties. 4) Libertas. 5) legibus soluta potestas. 6) 1597 roku. 7) libertatem vocis. 8) non facti. 9) libere. 10) imponere sequendi necessitatem. 11) „per justitiam commutativam.“—Klasyfikacya prawnicza uczy, że „Sprawiedliwość jedna jest prawna (commutativa), druga rozdawna (distributiva), która wedle godności tak ciężą, jako też i hańbę w Rzeczyposp. szafuje.

ności udzielasz. Przy tej niesprawiedliwości popełniasz jeszcze drugą także ciężką, że na *ubogiego oracza*, na tego, mówię, który u ciebie barziej jest robak w ziemi siedzący niż człowiek, ciężary twoje rzucaasz, to jest każesz, aby cię krwawym potem swoim karmił aż do zwrócenia wstrętnego ¹⁾, poił aż do bezprzytomności ²⁾, stroił aż do zbyt-ku ³⁾; a ty go za to nie tylko mieczem od poganina nie składasz, bo albo tylko próżnujący w domu siedzisz, albo prywatom cudzym służysz, albo dzwonka trybunalskiego pilnuiesz, skory do pieniactwa ⁴⁾, albo handlu chciwy ⁵⁾, ale jeszcze żołnierza każesz mu sustentować y płacić, który nie kmieciowi służy twemu; ale tobie, bo twoję powinność odprawuje.

A przy tej *niesprawiedliwości jeszcze y czwartą* popełniasz. A toć ludzie wielkiey experyencyey, ciebie y oyczyznę y sprawiedliwość ś-tą kochający podają sposoby, abyś ubogiego oracza ciężarowi, twojemu zaś sumieniu ulżył y pozwolił, abyś przykładem wszytkich rozumnych narodów, ciężar contributiei włożył na wszytkich w tej oyczyźnie żyjących ludzi, żeby się żaden nie umknął od pomocy i wsparcia ⁶⁾ tej matki, której dobrem żyie y tyie, iako to są ostatni konsumenci ⁷⁾, aby płacili akcyzę generalną od artykułów żywności i od napojów ⁸⁾, czopowe generalne etc.; aby ten ciężar na wszytkich podzielony stał się lekkim obywatelom, pożytecznym oyczyźnie. Ty iednak, uprządszy sobie konsequentią, że to jest niebezpieczne dla wolności ⁹⁾, wolisz w krwawych łzach ubogich oraczów siebie y mnie topić: wolisz tak wiele ludzi dobrze się mających, Boga obżarstwem y pijaństwem obrażających, od contributiei tak letkiey uwolnić: wolisz żywicielkę narodów czyli rolnictwo całe zniszczyć ¹⁰⁾, niżeli dać sobie ten z głowy wyjąć szkrupuł, że to najwolniejsze narody, jako to są Wenetowie, Holendrowie y Szwajcarowie po lat kilkadziesiąt ciężkie woyny prowadzą, a tej ciężkości ani w mieszku ani na wolności nie czują.

Piątey ¹¹⁾ *niesprawiedliwości* źródło, że w tak wielkiem y ciężkiem ubóstwie niechcecie się, Synowie moi, w niepotrzebnych pomiar-kować expensach. Naprzód nie wiecie y wiedzieć nie chcecie, co się to z waszymi pieniędzmi dzieie, iaka to droga krew z was y ubóstwa waszego wyciśniona tuczy tylko prywatnych ludzi. Kto tylko skarbu się tknie zaraz swoje y przyziaciół swoich ręce w tej krwi daley niż po łokieć moczy. Kto poborami zawiadaue, zaraz Pan, zaraz maieństwo kupuie, a ia, Matka wasza, ciało bez krwi ¹²⁾, ubóstwem y niedostat-

1) ad nauseam poił. 2) ad cropulam. 3) ad luxum. 4) litigiosus. 5) negotiosus. 6) a subsidio. 7) ultima consumentes. 8) a comestibilibus et potabilibus. 9) praecudicium libertati. 10) nutricem populorum, agriculturam caelo opprimere. 11) Autor pomylił się odtąd w liczbie porządkowej, mówiąc tu o czwartej niesprawiedliwości—prostujemy tę i dalszych liczb omyłkę. 12) exsangue corpus.

kiem ginę. Ey, dla Boga! czas się obaczyć. Do czterech zakonów zebranych ¹⁾ przydaliście mnie piątą, z kwestem po całym Chrześcijaństwie rozsytacie, żebrzącą jałmużny, a tymczasem nie masz seymu a dopiero commissyey, żebyście blisko milliona na prywatne ²⁾ nie rozszafowali pożytki ³⁾, z czego się narody gorszą. Jeżeli tedy wielką cierpię niesprawiedliwość w niesłusznych, których kładziecie na mnie contributiach, ieszcze większą cierpię w tak marnym rozprasaniu y rozdawaniu pieniędzy, w oczywistych że tak rzekę rabunkach, które się dzieją. O prawa przeciw kradzieży grosza publicznego ⁴⁾ gdzie są teraz! Aleć słaba wasza obrona, jaką mi zapewnić możecie ⁵⁾, tak wiele mnie pijawek prywatnych obsiadło, które mię ze krwi, a potem y z życia wyzuią.

Szosta niesprawiedliwość ta z czwartey pochodzi, że woysko moje dla namienionych przyczyn zawsze w borgowey zostaje służbie, wiatrem przecie żyć nie może, ale chlebem moim. I tak, gdy się musiało przez tak długi czas krążeniem po wnętrzościach moich żywić, iak wiele mi torsy y extorsy uczyniło, y tak za ieden żołd trzy żołdy brało. Pierwszego żołdu ze skarbu czekało, drugi żołd w tym, co iadło y piło, trzeci żołd w pobocznych y hybernowych exactiach. Woyskać winować trudno; ale tych, którzy cię (!) tym nierządem do tego przywodzą. To prawda, że dzisiejszy Pan y Król (za co go Bóg po wszystkie pokolenia ⁶⁾ niech błogostawi) ulżył ciężkości moiey, troszczy się o bezpieczeństwo moje ⁷⁾, gdy woysko na granicy locował; ale że dla nierządu waszego niepłatne niby na warcie stoi ⁸⁾, ze dwóch rzeczy — iedney się obawiam: albo klęskę iaką, strzeż Boże, odnieść głodnie, albo zrzuciwszy ze siebie szacunek wodzów ⁹⁾, ile kiedy o woyskach powiedziano, że lud głodny bać się nie potrafi ¹⁰⁾, wnidzie znowu do wnętrza mego ¹¹⁾, y tak odstłoniwszy mnie na granicy zewnętrznój ¹²⁾, ścisnąwszy wewnątrz ¹³⁾ przyspieszy zgon mój.

Siódmą niesprawiedliwość, Synowie moi, popełniacie, że wtenczas właśnie, kiedy w naywiększych uciskach y nieszczęściach zostaję, kiedy naycięższe mię nierządu waszego y dla podiętych tak wielu strat ściska ubóstwo, Wy na ten czas naywiększymi zbytkami, strojami, sobie y mnie szkodzicie; bo kiedy każdy z Was nad conditią y substantią swoję się nosząc, dla zaspokojenia swojej pychy i próżności wyczerpuje mająteczek domowy ¹⁴⁾, y szuka ażeby przez zbrodnią dopełnił ¹⁵⁾ ten niedostatek. Y ztąd ci to, synowie moi, widziałam niedawno, że między wami znajdowali się takowi, a day Boże, żeby się ieszcze y teraz nie naleźli, którzy od cudzoziemskich Mnarchów pensie doroczne

1) Quatuor mendicantium ordinibus. 2) in privatos. 3) usus. 4) loges peculatus. 5) invalidum vestrum praesidium. 6) in generationes usque. 7) providit securitati. 8) excubat. 9) excussa ducum reverentia. 10) nescit. 11) in viscera. 12) ab extra. 13) ab intra. 14) ambitiono exhaurit domowo peculium. 15) ut per scelus suppleat.

brali—za cóż, proszę? Żeby mię sromotnie odstąpiwszy, cudzych pilnowali interesów. Z tegoż źródła widzieliście, że taż woyna, która się między Chrześciany ¹⁾ toczyła z bronią w ręku ²⁾ w Polsce prowadziła się nienawiścią i zasadzkami ³⁾. Z tegoż źródła one na Seymach i Seymikach prywaty ⁴⁾, że się z Rzymskim Poetą rzec może o Seymach:

„*Annua venali redeunt certamina campo*“ ⁵⁾;

one straszne y szpetne targi, które o moje ubogie mienie ⁶⁾ czynicie y nim się dzielicie podług tego hasła: i ty drzyj i ja drzeć będę ⁷⁾. Tak dalece, że na Seymy, Seymiki y insze zjazdy rzadko kogo wrodzony do mnie prowadzi affekt, ale tylko nowa do wziętku okazya, gdzie ziachawszy się, y na tę y na ową rękę biorąc dla zaspokojenia widoków stronnictw ⁸⁾ do ognia oleju przylewają: na tym czasy publikom naznaczone trawią, a potym przyjachawszy lub na darownych koniach, lub na ładownych mieszkach do Braci, co postanowili *factione* tego bronić nie mogą *ratione*, dzieła swego iakoby cudzego odstępują y protestatiami znoszą, a oskarżając jeden drugiego o złą wiarę, rozrywają i niweczają świętą moc i władzę sejmów ⁹⁾. Y tak nad czym tak długo z tak wielkimi pracami y kosztami w pocie czoła pracowali ¹⁰⁾, co samiz na Panu y Rzeczypospolitėj wymogli, to bez skutku iako sprawa niepewna i wątpliwa ¹¹⁾ zostawać musi.

Pokazałabym i więcj nieszczęścia mego źródel, ale waszych wrzodów, których tykać nie pozwalacie nie chcę odkrywać, ile, kiedy bez obudzenia nienawiści i oszczerstwa ¹²⁾ u was nie będzie—y to samo pióro, któregom na te kilka słów do was zażywała: y pewnieby mi onego nie pożyczono było, gdyby nie sumnienie było związało człowieka, żeby mi przynanniej tey nie umknął przysługi nawet narażając się na niebezpieczeństwo nicnawiści publicznej ¹³⁾. Więc tylko jeszcze wam powiem, co też za skutek pomienionych odemnie niesprawiedliwości waszych.

Skutki owych niesprawiedliwości. Pierwszy skutek: Niemiłość Oyczyzny y tego, że wolność, dobro powszechnie, pojedynczy ¹⁴⁾ sobie usurpują, ten macie, że cudzoziemiec ieden o was napisał: smutnemście się opatrzylis prerogatywami, za pomocą których wzajemnie sobie szkodzić możecie ¹⁵⁾.

¹⁾ ins *Christianitate*. ²⁾ *armis*. ³⁾ *Odiis et insidiis dimicabat*. ⁴⁾ *partialitates*. ⁵⁾ *L. Ann. Lucana Pharsaliae lib. I, vers. 180* z wyrazem „*referens*” w tekście zamiast niniejszego „*redeunt*.” ⁶⁾ *peculium*. ⁷⁾ *illa tessera: et tu esse et ego capiam*. ⁸⁾ *ad partium Studia*. ⁹⁾ *malae fidei ieden drugiego accusando Sacrum Comitiorum robur convellunt*. ¹⁰⁾ *deserunt*. ¹¹⁾ *res incerta et ambigua*. ¹²⁾ *sine invidia, sine calumnia*. ¹³⁾ *etiam cum invidia periculo*. ¹⁴⁾ *singuli*. ¹⁵⁾ *Tristibus vos praerogativis donastis, quibus vobis ad invicem nocere possitis*.

Powtórc. Że nadużywając wolności ¹⁾ wprowadziliście w tak wiele Prowincyi na kark Braci Waszey Tureckie, y inne niewole. Ci teraz do gardł (sic) przykowani y w okowach łączyący Bracia nie na kogo, tylko na was łączyć y narzekać muszą.

Trzeci skutek niesprawiedliwości, żeście prawie już woyny zapomnieli, pole zależeli, reputacją już u Narodów straciwszy, trzęsący się ze strachu i na ciągłej wędrówce ²⁾ mieszkacie: częstokroć trzęsiecie się ze strachu, gdzie nawet strachu nie było ³⁾.

Czwarty: że gdy serio wiedzieć nie chcecie, gdzie się wasze pieniądze, które składacie, obracają, przyszyście (sic!) do tego, że krew y substantia wasza idzie na łup ⁴⁾ nie tak nieprzyjaciela zbrojnego ⁵⁾, iako prywatnym ludziom, nie tylko starey y nowey Szlachcie, ale nawet pospolstwu ⁶⁾, bo rachunki, których słuchacie, są to sieci przed ptaków oczami ⁷⁾.

Piąty: że woysko macie w Kompucie wasze słuszne na papierze, ale w polu znędzone, wyniszczone, y nader słabe: zkąd za jakim zaszczytem głowy wasze siedzą, snadno uważć.

Szósty skutek z niesłusznych zbiorów pieniądze, a prawie szacunek i zapłata krwi mojej ⁸⁾ iako wam wychodzą? Tak iako zwykły złe zbiory. Za takowe pieniądze nie kupisz tylko owę rolę, która się zowie kiedania, to iest cmentarzem, dla pogrzbów przychodniom, to iest niedługo wiecznym panom naznaczonym. Nie darmo rzeczone, synowie moi: W pocie czoła chleb jeść będziesz ⁹⁾. Nie masz straszniejszego chleba y fortuny nad ten, który niecnotę przy obrazie Boskiej szukasz.

Zaczym kończę tym: Już czas, synowie moi, obaczyć że to od Szwedzkich począwszy, Brandenburskich, y Moskiewskich y Kozackich woien nie widzieliście, żeby męstwo polskie nieszczęściu abo potędze Nieprzyjacielskiej ustąpić miało, ale tylko własnemu nierządowi, który nad tych wszystkich największym iest naszym nieprzyjacielem; bo ten każdemu do was drogę y mosty ściele, wprzód rady wasze zniesie, nim nieprzyjaciel szablę na woysko dobędzie. Więcej powiem, że wy nieprzyjaciół bijecie w polu, boście to na Szwedach, Moskwie, Kozakach, Tatarach y Turkach pokazali, a nierząd was bije na Seymach, na Seymikach, w obozach, y prowincye, miasta, fortece nieprzycielowi waszemu oddaje. Na samą wieść ¹⁰⁾ wielkiego i walecznego Pana naszego, (co okazuje się ¹¹⁾ z relacyey naszymych Polaków w Konstantynopolu będących) uciekali Turcy w głęboką Azyą y z skał dla nacisku spychali się w przepaści wtenczas, kiedy dla bra-

¹⁾ abusu libertatis. ²⁾ trepidi et ut migraturi. ³⁾ trepidatis timore, ubi non erat timor. ⁴⁾ in praedam. ⁵⁾ armato hosti. ⁶⁾ etiam plebeis. ⁷⁾ Retia ante oculos pennatorum. ⁸⁾ Sanguinis pretia. ⁹⁾ In sudore vultus vesceris pane. ¹⁰⁾ Ad solam fauam. ¹¹⁾ constat.

ku ¹⁾ executiey seymowych, Pan pozbawiony sił dostatecznych pasował się ²⁾ z nieprzyjacielem pod Żurawnem ³⁾. Przypominałabym y więcey takowych okazyey, gdzie w polu pod wodzą ⁴⁾ dzisiejszego jeszcze nim pod majestatem królewskim występowała fortuna Pana—tylu kłesk nabawiliśmy nieprzyjaciela ⁵⁾, cesarza tureckiego spłoszyliśmy ⁶⁾, aż domową natenczas confuzją załogi ⁷⁾ do Kamieńca nie przyjęto: Zaczyn Podole stracono y tak sromotnym traktatu buczackiego pokojem cały naród nakryto. Aleć podobno już Wam ten się czas zbliża, że wielkim onym gościńcem, napisano: Kruszą się w sobie wielkości ⁸⁾, wchodzicie w Comput zgubionych państw y narodów, w którey opiniey to mię naybardziej potwierdza, co we wszystkich państwach ginących było, y co w konającym znajdzie człowieku, iako niedawno wielki powiedział senator: Słowa piękne bez skutku, ostatnie słowa konających są wspaniałe i uroczyste, ale w rzeczywistości nikłe i nie na czasiel ⁹⁾... Wybieranie się niespore gdzie y po co, skubanie rzeczy koło siebie będących y leżących, oglądanie rąk, dyskursy o stroiach, wstręt do lekarstw ¹⁰⁾, nienawiść lekarzów ¹¹⁾, a co największa iest y śmierci naybliższej nie tylko żadne przeczucie groźnej katastrofy ¹²⁾; ale czerstwego y dobrego zdrowia niewzruszona opinia. Ile kiedy już, tylko przy samym Lwowie ¹³⁾, ta wielkiego imienia cień ¹⁴⁾ wiesz się bezpieczeństwo publiczne ¹⁵⁾. Ten strzeż Boże (czego przecie ieseście blisko), straciwszy już nie znajdziecie przy czym się oprzeć, gdzie seymować y seymikować.

Jużem tu skończyć miała, Synowie moi, ale Wam ieszcze muszę prawdziwe fortuny Waszey zwierciadło w Greckiem państwie y w ostatnim upadku sławnego kiedyś Czarogrodu pokazać.

Z Azyey do Europy za domową niezgodą wprowadzony Turczyn tak w Grecyey usiadł. Grekowie opieszale rady ¹⁶⁾ podejmując, miasto tego, co mieli ową fatalną zarazę ¹⁷⁾ odważnie znouu za Hellespont wyrzucić, to z gnusności ¹⁸⁾ przez poselstwa tylko zebrali pokoju u Inwatora swego: nie chcieli żelaza zażyć ¹⁹⁾ y szczęśliwych Skanderebka walecznego sekundować sukcesów: niechcieli Władysława naszego, któremu nie mniej od Victorvey węgierskich, iako y od Warneyńskiej kłęski niesmiertelne imię; niechcieli szlachetnych ²⁰⁾ Huniadesa popierać

1) defectu 2) necessariis viribus destitutus luctabatur. 3) R. 1676.
4) ductu. 5) ante regiam fortunam pana tot cladibus nieprzyjaciela affecimus.
6) in fugam convertimus. 7) praesidium. 8) In se magna raunt. 9) suprema morientium verba magnificata re inania, intempestiva... 10) medicinae nausea. 11) medicorum odium. 12) sensus malorum nullus. 13) R. 1674.
14) magni nominis umbra. 15) securitas publica. 16) lenta consilia. 17) pestem. 18) per socordiam. 19) ferro uti. 20) generosos.

przedsięwzięć ¹⁾, pałkami się tylko tureckimi i zachowaniem pokoju ²⁾ składając. Więcemy powiem: sultanom tureckim magnates Graciae córki za żony dawali, o przyjaźń się onych niby niewolnicy ³⁾ starali, assistentey pogańskiej jeden przeciwko drugiemu tak zażywali, że się ten przy koronie cesarskiej zostawał, przy którym suffragia tureckie stały, ten panował, kto pod cieniem protekcyi otomańskiej ⁴⁾ zostawał.

Cóż potym nastąpiło ⁵⁾: nie tylko sąsiadów, ale y szwagrów, krewnych y pobratymów swoich (zamiast: „waszych.“ Pl.) Turczyn iednego po drugim zamknął, y Adrianopol posiadał, greckie Cesarstwo w części tylko Tracyey y w Konstantynopolskich murach zostawiwszy. Czy nie rzekłby tu już kto, że się Grecy ze snu głębokiego ocknęli? Bynamniey. Taż ambicya, taż wyniosłość, taż niesforność wśród najciaśniejszych stosunków ⁶⁾. Chciał się iednak mało coś przed tém panujący cesarz Johannes Paleologus ratować, któremu Bóg nie umknął pomocy inteligencyi i świadomości klęsk poniesionych ⁷⁾, y dla tego nie przez posłów, ale sam in persona objeżdżał Chrześcijaństwo: a nigdzie nic nie wskórawszy—zatrzymaną tylko od króla francuzkiego doroczną pensją. Gdy nazad powraca z Wenecyey od creditorów aresztowany ledwie się domowymi fantami wykupił. Tak zwątpiwszy o pomocy obcych ⁸⁾, czy mieli się już wreszcie ⁹⁾ do rzeczy Grekowie? Bynamniey: walczą ze sobą o kandydaturę na wakujące księstwo ¹⁰⁾. Turczyn staje się sędzią sporu ¹¹⁾: iednemu z nich panować każe. Ale y ten ieszcze excytarz le targu nie wybija: poczyna Osman fortecę nad morzem, Bosphorem stawiać, tak iako teraz nad Dniestrem zamki,—pokazuje niebezpieczeństwo: następnie cesarz Constantinus radzi męskie ¹²⁾ wziąć przed się consilia,—nie wzrusza nikogo z poddanych, którzy ieszcze zachowanie traktatów ¹³⁾ z Turczyнем casarzowi przeciwstawiają ¹⁴⁾, obiecuia, za kilka lat wytchnąwszy, znieść tę fortecę, tymczasem zaś ¹⁵⁾ poselstwem wzmocnić ¹⁶⁾ każą przyjaźń Osmanową; od którego powabne odebrawszy słowa, siedzą za offertami jak za murem bezpiecznie. Aż kiedy Ziemie, Miasteczka okoliczne bierze Turczyn, mostem Europę z Azyą łączy; znouwu Constantin broń i żołnierza sposobie ¹⁷⁾ życzy: posyła do Oyca Św. o subsidia, prosi panów ¹⁸⁾, aby zapleśniałego w depositach ruszyli grosza, aby tey Oyczyźnie, którey y życie powinni, pożyczyli tych fortun, które im tak wielkie y bogate dała. Ale to wszystko głuchemi uszy ¹⁹⁾ wysłuchano, ieszcze na cesarza winę złożono: że takimi propositami drażni ²⁰⁾ Turecką nieprzyjaźń. Persuaduje cesarz, żeby wresz-

1) ausus. 2) et observantia pacis. 3) serviliter. 4) sub umbra protectionis Ottomanicae. 5) secutum. 6) in angusta fortuna. 7) assistricem nie umknął intelligentiam y malorum sensum non ademit. 8) desperato externorum auxilio. 9) tandem. 10) certant de vacante Principatu candidati. 11) fit arbiter litis. 12) suadet generosa. 13) observantiam pactorum. 14) opponunt. 15) interim. 16) firmare. 17) arma virumque parare. 18) Proceres. 19) surdis auribus. 20) irritat.

cie ¹⁾ z Oycem Ś. y z Chrześcijańskimi Panami traktować, którzy succursy obiecowali: ale cóż na to odpowiadają; że nas chcą obcy ²⁾ z Turkami powadzić, nie chcemy ligi łańcuskiej, wolemy widzieć u nas zawóy turecki, niż kapelusze kardynalski. A tak znowu do wesel, do bankietów udawszy się, za stołami biesiadnymi wojowali nieprzyjaciele ³⁾. Asz na wety prawie onych bankietów Osman we czterech kroć sto tysięcy ludzi pod miasto idzie. Na ten czas iaki taki z pomiędzy możniejszych ⁴⁾ ze skarbami y dostatkami ujeżdża, a kto się uciekać boi, pieniądze w lochach grzebie, dobru publicznemu ⁵⁾ ich umykając, nieprzyjacielowi chowając. Oblężenie zamyka ⁶⁾ miasto, a cesarz nad ośm tysięcy ludzi pod bronią ⁷⁾ niema, prosi przynamniej wtenczas o subsidium Poddanych, ale nie znajduje: tak ciężka w mieszczkach na ten czas panowała constipatio, w sercach zaś durities. Zaczynając pięćdziesiątego osmego dnia oblężenia tak sławne i wielkie miasto staje się walecznemu Panu y nie użytym poddanym mogiłą, nad którą się pisać mogło: Tu spoczywa Król z Narodem, a z królem legło i Państwo ⁸⁾.

Słów historikom nie staie do wyrażenia klęski, którą y ia opuszczam. Toć iednak przypominam, że w kilka dni po tak straszney tragediey przychodzi do Soltana Oyczyzny swoiey *funeri superstes* senator Notaras ⁹⁾ nazwany, który był duchem opozycyi ¹⁰⁾ w najwyższości cesarza intentiach. Ten, mówię, senator, który zawsze był autor do trzymania niewolniczego pokoju z Turkiem, spodziewając się za to nie tylko dobrego przyięcia z potomstwem swoim od Osmana, ale w nagrodę fawarów takowych przeszłych na dworze cesarskim urzędów, ile kiedy nie z próżnemi rękami ¹¹⁾, ale z skarbami wielkimi z ziemie na ten czas dobytymi prezentował się. Cóż za to zwycięzca? Te słowa mu odpowiedział: A twoiasz to rzecz,

¹⁾ tandem. ²⁾ externi. ³⁾ super mensis debellabant hostem. ⁴⁾ ex Potentioribus. ⁵⁾ salutis publicae. ⁶⁾ Cingitur obsidione. ⁷⁾ in armis. ⁸⁾ Cum Populo iacet hic et ipso cum Rege Regnum. ⁹⁾ Przykład powołany przez autora „Recepty“ opiera się na podstawie historycznej i jest poświadczony przez świadków współczesnych wypadkowi, jakimi są: Phranza, Ducas i Chalcondyles. Łukasz Notaras był pierwszym ministrem cesarskim i admirałem Wielkim. Nadmienić jednak trzeba, że autor nasz poszedł za relacją osobistego nieprzyjaciela Notarasa, mianowicie za relacją Phranza, gdy tymczasem Ducas uważa Notarasa za męczennika patriotyzmu byzantyńskiego, a Chalcondyles czyni nieśmiałą wzmiankę, jakoby śmierć jego spowodowaną być miała przez knucie niebezpiecznego dla Mahometa spisku rewolucyjnego. Małoduszność rady cesarskiej poświadczona jest również przez historyę. Zob. Gibbon, history of the decline and the fall of the Roman Empire (chap. 68, w tłóm. niemieckim Jana Sperschila. Wyd. 4-te, Lipsk, 1863, t. 12, str. 134, 158 i 161. ¹⁰⁾ spiritus contradictionis. ¹¹⁾ non vacuis manibus.

psie ty, darować mi to, co ja mam od samego Boga, który uczyniwszy mię Panem tego miasta oddał mi osoby y skarby wszystkie: prezentować mi te skarby było przed wzięciem miasta, żebym wierzył, że je mam od Ciebie: ale ty, zdrayco twego cesarza, ieżeliś mu nie radził poddać się, toś mógł te pieniądze prezentować, żeby się miał czém bronić. Biorę tedy te skarby jako moje własne, a Ciebie y dzieci twoich nie chcę: bo mi nie będziesz wierniejszym niżes był Panu twemu, potym kazał mu szyję uciąć. Dokłada historia, że za też same pieniądze Sołtan od swoich Janczarów wykupował znaczniejszych więźniów senatorów y urzędników, których wykupiwszy wyciąć kazał, według owey maximy:

*In populum vetat ire manus, monstatque Senatum.
Scit cruor imperii qui sit, quae viscera rerum;
Unde petat Romam, libertas ultima mundi
Quo steterit ferienda loco* ¹⁾.

Krótką tę lectią powiadałam wam, Synowie moi, ale w samey rzeczy wielką. Jest się tu czego nauczyć, gdy zechcecie z tey historyey y rzeczy waszych uczynić parallelos. Za czym, Narodzie mój, przyjmij w uszy twoje tę Receptę, którać kiedyś palec Boski na Kamieniu napisał: Czcij Ojca i Matkę twoję, abyś długo żył na ziemi ²⁾. Słuchaj, co Oyciec y Matka do Ciebie mówi, abyś się na tey ziemi, na którey teraz siedzisz, długo mógł zostać.“

¹⁾ Jest to ustęp z M. Ann. Lucana „Pharsaliae” lib. VII, v. 578—582, gdzie Jul. Cezar, gromiąc ustępujące w bitwie szeregi Pompejańczyków, „zabrania hufcom swoim ścigać lud, a każe raczej siec Senatorów. Wie on bowiem dobrze, gdzie spoczywa siła państwa (cruor imperii, jako przenośnia w tém znaczeniu nie zwyczajna u klasyków),—gdzie się zamyka jądro spraw publicznych,—gdzie ma Rzym razić, gdzie ma resztkom wolności zadać cios śmiertelny.” ²⁾ Honora Patrem et Matrem, ut sis longaevis super terram.

RUŚ CZERWONA.

POGLĄD NA JĄ

ZABYTKI PRZEDHISTORYCZNE I POMNIKI SZTUKI.

PRZEZ

A. Czolowskięgo.

W rzędzie ziem ruskich dawniej Rzeczypospolitej przedstawia Ruś czerwona, czyli dzisiejsza Galicya wschodnia, nader zajmujące i bogate pole dla badacza dziejów i pamiątek ojczystych. Przeszłość zostawiła tu mnogie wspomnienia; od wieków bowiem najdawniejszych aż do czasów najnowszych ważne odgrywały się w tych okolicach wypadki, liczne przemknęły się przez nie ludy, najróżnorodniejsze spotykały się tu ze sobą wpływy. Samo już położenie geograficzne między wschodem a zachodem Europy, budzi interes dla wszelkich badań nad przeszłością tej ziemi. Dwa przeciwne prądy cywilizacyjne Wschodu i Zachodu ścierają się tu wciąż ze sobą: każdy pozostawił po sobie charakterystyczne pomniki—zagadkowe często, ale zawsze ważne pod względem historycznym. Jedyną drogą, mogącą nas poprowadzić we wnętrze tych zamierzchłych dziejów, jest umiejętne rozpatrzenie pozostałych owych niemych na pozór świadków tej przeszłości. Nauką prostującą nam ścieżki na tém polu jest archeologia.

Archeologia cieszyła się już w innych krajach rozwojem wszechstronnym, gdy u nas dopiero się budzić zaczynała. Już wprawdzie koło r. 1840-go znajdujemy pojedyncze wiadomości o wykopaliskach i opisy miejscowości na Rusi i ich zabytków, lecz bez żadnej metody naukowej. Wybitniejszy krok w tym względzie zrobił Żegota Pauli w swoim dziełku „O starożytnościach galicyjskich,” a następnie ś. p. Hipolit Stupnicki w swych pracach umieszczanych w „Przyjacielu domowym.” Przykład dany stał się dla ludzi miłujących swą ziemię za-

chęcią do dalszych studyów nad jęj pamiątkami, lecz były to jeszcze po większej części same próby.

Przypominamy sobie żywo jeszcze dzisiaj postać ś. p. Antoniego Schneidra, który oddany badaniu przeszłości przebiegł wszystkie strony Rusi Czerwonej, aby ją poznać pod każdym względem. Z prawdziwem poświęceniem zbierał materyały i opisy istniejących zabytków, lecz zbytne zamiłowanie wyrobiło mu sąd często jednostronny, a prace jego nie zawsze są krytyczne, chociaż w najlepszej części podejmowane.

W roku 1864-ym rozciągnęła wiedeńska centralna komisya wyszukiwania i utrzymywania dawnych zabytków działalność swoję i na Galicyę, przez co otrzymaliśmy pierwszego rządowego konserwatora w osobie ś. p. Mieczysława Potockiego. Za jego to staraniem niejedna rzecz godna przechowania, wydobyta z pleśni i kurzu, została od zniszczenia uratowaną, niejedna resztką sterczących ruin od upadku powstrzymana, niejedno dzieło sztuki zrestaurowane. Badania naukowe natomiast w zupełnym zostawały zastoju, bo suchych i krótkich opisów nie można jeszcze liczyć do studyów archeologicznych. Były to bowiem w ogóle czasy, w których nie przypuszczano nawet, że niejedna z tych pamiątek po Rusi rozsianych może posiadać pewną wartość lub piętno artyzmu. Pierwszy Wincenty Pol zwrócił dopiero uwagę na ich znaczenie i ważność umiejętnych poszukiwań archeologicznych na Rusi Czerwonej, wskazując zarazem na mnogość tych zabytków w różnych stronach. Lat jednak kilka jeszcze minęło, nim projekt Pola w fakt się zamienił.

Ruch więc naukowy na polu archeologicznych badań na Rusi nie dawniej sięga przeszłości, a początek w tym względzie od krakowskieję wyszedł Akademii umiejętności w r. 1874. Komisya archeologiczna téżże Akademii, postawiwszy sobie za zadanie zbadanie kraju pod względem przedhistorycznych zabytków, przedewszystkiem zwróciła swą uwagę na wschodnią jego część, na Ruś Czerwoną. Z jęj to polecenia wysłany A. Kirkor, archeolog oddawna z swych prac znany, rozpoczął pierwszy w tym kierunku systematyczną i umiejętną czynność. Praca jak na jednego człowieka była olbrzymią, pole do działania nader obszerne; to téż nie rok jeden, ale cały szereg lat z rządu zajęły badania A. Kirkora nad zabytkami z przeddziejowęj epoki na Rusi, których uzupełnieniem dalszém — badania pp. Przybysławskiego, Ziemięckiego, Kopernickiego, Dzieduszyckiego i innych. Badania te nie były wprawdzie w stanie wyczerpać całego ogromu materyału, ale zawsze rzucają ciekawe i zupełnie nieznanne światło na przeddziejową epokę téj części dawnęj Polski. Osiągnięte dotąd na tém polu rezultaty naukowe są wymowném świadectwem, jak bogatą skarbnicę po większej części wielce oryginalnych zabytków przedhistorycznych, kryją w swém łonie ziemie czerwono-ruskie. Dość przejrzyć wzbogaczone nimi archeologiczno-antropologiczne zbiory i rozprawy Akademii, aby się przekonać, jak bogaty zdobyto już materyał do utworzenia so-

bie pojęcia o stopniu cywilizacji ludów, zamieszkujących przed wiekami tę ziemię, do poznania ich uzdolnień, potrzeb, zabobonów i zwyczajów pogrzebnych.

Od dawna już wprawdzie przypadkowo tu i owdzie robione odkrycia, wydobyły na jaw mnóstwo nieraz bardzo cennych przedmiotów, lecz te najczęściej jużto przez nieświadomość ulegały zniszczeniu, jużto w obce przeszedłszy ręce, zagraniczne dziś zdobią muzea. Wiele ich też zgromadziły i krajowe zbiory, w czym zwłaszcza muzea: im. Ossolińskich, hr. Wł. Dzieduszyckiego i Naroduego domu nie małą nauce oddały usługę. Dość wspomnieć, że prawie przypadkowo odkryto takie zabytki, jak ów słynny posąg Światowita, wydobyty ze Zbrucza u stóp góry Sokolichą zwaną 1848 roku. Tak odkryto znak wojenny (chorągiew) kohorty legionu rzymskiego w Myszkowie nad Seretem, przepiękną koronę brązową w Zalesiu, brzozy w Baliczach i Rohatynie, piękną siekiere brązową w Korszowie, miecze także w Jazłowcu i Zalażscach, i wiele innych brązowych i kamiennych przedmiotów. Tu wreszcie we wsi Michałkowie nad Wiesławą zupełnie przypadkowo wydobyto ów słynny skarb szczerozłotych wyrobów, którego odkrycie zainteresowało archeologów całego świata. Skarb ten wagi przeszło sześciu funtów wiedeńskich jest dziś największą ozdobą muzeum Wł. hr. Dzieduszyckiego. Obok wielu przedmiotów przede wszystkim zwraca w nim szczególną na siebie uwagę—szczerozłota korona, raczej obrzędowa kapłańska niż królewska. Jakkolwiek lat dziesięć już minęło od wykrycia tego ważnego zabytku, naukowo jednak nie był jeszcze opisany nigdzie; to też i kwestya co do jego pochodzenia nie została jeszcze rozstrzygniętą. Różne wprawdzie w tym względzie stawiano hipotezy, najprawdopodobniej jednak, sądząc z motywów na nim wyrażonych, należy go odnieść do Scytów, u których złoto, jak wiemy z Herodota, w szczególnym było upodobaniu i używaniu, a królom scytyjskim dawano do grobów i ich sprzęty złote.

W ogóle, sądząc z luźnych odkryć i z osiągniętych dotąd rezultatów poszukiwań archeologicznych, mamy niezbity dowód, że człowiek z epoki kamienia i brązu wymowny zostawił ślad swego bytu na Rusi Czerwonej.

Badania gdzieindziej robione wykazały, że jaskinie pierwszą były człowieka siedzibą. Czy na Rusi, gdzie zabytków tego rodzaju nie brak, także tak było — rzeczą dotychczas nieudowodnioną. Poszukiwania hr. Dzieduszyckiego w jaskiniach w Jezupolu odkryły wprawdzie ślady wielce pierwotnych wyrobów krzemiennych i naczyń. Czy te jednak najstarszej sięgają epoki stanowczo twierdzić nie można, tak jak i o jaskiniach w pobliskim Wiktorowie. Jaskinie na Rusi w ogóle najmniej były dotychczas badane, więc pod tym względem nic jeszcze pewnego. Dorzecze obu brzegów Dniestru przede wszystkim obfituje w tego rodzaju zabytki, a najciekawszy pod tym względem znajduje się w Bilezu na Podolu galicyjskim, bo co do swego ogromu

i prawdziwego labiryntu rozległych korytarzy — do największych na świecie może być policzony. Rozległość ta właśnie, a przy tém obfitość zamulenia, czyni systematyczne badania téj jaskini ze względu na olbrzymi koszt prawie niemożliwymi. Poszukiwania jednak dorywcze wskazują, że bezwątpienia w odległej starożytności bywała ona już dla ludzi schroniskiem. Inne nierównie ciekawsze zabytki, będące jednak dziełem ręki ludzkiej, znajdują się na Podgórzu karpackiem w Stryjskiem, we wsiach: Polanicy, Rozhureczu i Uryczu. Są to ogromne masy wysoko spiętrzonych skał (bołdy), wśród których olbrzymią pracą wykute izby, schody, przejścia, nyze, ławy, wręby i cysterny, tworzą jakby warowną osadę w skałach lub świątynią niewiadomego kultu. Dziwna tajemniczość ostanająca te pomniki potęguje ich urok, a myśl, w zamierzchle przenosząc się wieki, daremnie gubi się w domysłach nad ich znaczeniem. Dotychczas jednak żadnych nie znaleziono ani śladu szczątków narzędzi, którymi skała mogła być wykuta. Bliższe zbadanie sąsiedniej okolicy, jedynie może kiedyś rozświetlić zagadkę tych pomników, wśród których zwłaszcza bołd polanicki na stoku góry Sokolój imponujące sprawia wrażenie. Nie brak i innych tego rodzaju megalitycznych zabytków na Rusi. Badania ś. p. A. Kirkora wykryły wyraźne ślady takich wykuć w skałach, w kilku miejscowościach Podola galicyjskiego: w Horodnicy nad Zbruczem, Beremianach nad Strypą i Monasterku nad Seretem.

Wnosząc z starożytnych grodzisk, sadyb, cmentarzysk tak licznie do dziś dnia na Rusi rozsianych — można przypuszczać, jak liczną była téż tutaj i ludność w przedwiekowej dobie. Zwłaszcza porzecze Dniestru wielką wykazuje obfitość tych zabytków. Grodziska na Rusi nieczém nie różnią się od podobnych tego rodzaju na ziemiach słowiańskich. Położone na miejscach zwykle z natury warownych, o kilku rzędach mniejszych i większych obwarowań, wieki całe bywały miejscem schroniska dla prastarych mieszkańców. Ztąd to obok kamiennych i krzemienych wyrobów nie rzadkie tu narzędzia epok późniejszych brązu i żelaza. Wiele z nich do dziś dnia zachowało nazwę swego pierwotnego przeznaczenia „horodyszczce,” na wielu później murowane wzniosły się zamki lub klasztory. Przykładem tego lwowski Wysoki zamek, gdzie pod fundamentami rozbieranych murów odkrywano szczątki pierwotnych wyrobów z krzemienia, kości i ceramiki. Z mnóstwa do dziś dnia zachowanych horodyszcz zadziwiają swą rozległością, sposobem obwarowania i położeniem wspaniałe grodziska w Kryłosie koło Halicza, Podhorcach, Bilczu, Podwerbeach, Horodnicy i wiele innych.

Wyrobów kamiennych przedewszystkiém najwięcej wykazują badania i odkrycia przypadkowe. Znajdujemy je rozsiane po całym kraju, po polach, jarach, korytach rzek — zwykle z krzemienia, lecz niebrak i takich, których materyał w stanie rodzimym jedynie w Azji lub zachodniej Europie odkryto. Są to wyroby z nefrytu, diorytu, serpentynu, syenitu, które zapewne drogą handlu lub wędrówek mo-

gły się dostać w te strony. Krzemienych zwłaszcza narzędzi, siekier, toporków, noży, klinów, skrobaczek wielka obfitość na Rusi. Z tych wiele zadziwiająco pięknych swém dokładném oszlifowaniem, a groty strzał misterném wykończeniem przypominają mazowieckie. Zwłaszcza miejsca starych osad, czyli tak zwane stacye krzemienne, wykrywają mnóstwo tego rodzaju zabytków obok licznych okrzesków i grubych wyrobów ceramicznych. Stacye takie szczególnie gęsto zaległy miodoborskie góry koło Husiatyna, okolicę Bileza, Chocimierza na Pokuciu, Halicza, Sieniawy, nadbużańskie okolice, a w Horodnicy na Pokuciu p. Przybysławski wykrył nieprzebraną skarbnicę tych zabytków.

Obok grodzisk i miejsc starych osad nie brak tu przedewszystkiém pomników, kryjących szczęty prastarych pokoleń. W rozmaitych formach zaległy tu one szerokie przestrzenie. Do niedawna, pod wpływem zachowanych tradycyi częstych wojen w tych stronach, uważano je za pamiątki pobojuwisk z tych czasów. Rozkopanie jednak niejednego z tych grobowych pomników wykazało jak bezpodstawne były te przypuszczenia. Wieków dziesiątki stanowi tu przedział od czasów tatarskich i tureckich najazdów. Odkryte bowiem obok szkieletów lub urn z popiołami piękne wyroby z kamienia, bronzu i ceramiki, najlepiej charakteryzują ich wiek, wiek zamierzczłej przeszłości, a przeto niemniej starego zaludnienia.

Do najstarszych z tych grobowych pomników odnieść należy groby tak zwane kamienne. Groby te zbudowane w formie skrzyni z sześciu jednolitych, foremnych płyt, przypominają zupełnie celtyckie dolmeny. W wnętrzu swém kryją jeden lub dwa szkielety w postawie zwykle siedzącej, obok zaś ulubioną broń zmarłego i narzędzia różnego rodzaju. Brak zaś wszelkich kruszcowych wyrobów, każe je odnieść do najodleglejszej epoki. Byłyby to więc najstarsze u nas pomniki budownictwa, a badania ś. p. A. Kirkora wykazują ich dotąd 10 na Podolu. Pierwszy taki grób, odkryty przed laty w Beremianach nad Strypą, zwrócił nawet uwagę zagranicznych uczonych.

Badając kształt grobowych pomników na Rusi, widzimy, że z biegiem i wpływem wieków przeistacza się ich forma. Z nastaniem kruszców ustępuje kształt skrzyni i tylko olbrzymia, podłużona płyta oznacza, gdzie grób się ukrywa. Grobów tych, płytowymi zwanych, szczególnie Podole czerwono-ruskie wielką wykazuje ilość, a często nad płytą niewielki wznosi się nasyp w kształcie małej mogiły. Badania A. Kirkora dzielą je na kilka rodzajów, niektóre bowiem obok tej wierzchniej płyty i wewnątrz bywają ułożone bądź z płytek zwykle nieforemnych, bądź z kamieni rozmaitej wielkości, lecz nigdy nie są kształtu skrzyni ani nie mają płyty spodniej, jak groby kamienne. Z czasem ustępuje i zwyczaj kładzenia płyty, i pomnik grobowy w kształcie zwykłej występuje mogiły lub kurchanu. Mogiły takie jedne sypano nad zwłokami, inne nad spalonymi wnoszono zwłokami. Wiele z nich rozoranych plugiem na zawsze już dziś zginęło dla oka badacza, wiele opiera się jeszcze czasowi. Często nazwa niwy „mogił-

ki⁷ naprowadza na ślad istniejących na niej niegdyś tego rodzaju za-
bytków. Wznoszą się one pojedynczo lub gromadnie tworzą cmentar-
zyska, jak np. w Żnibrodach nad Strypą, a obok szkieletów i popiel-
nic nie brak w nich oryginalnych wyrobów z kamienia i bronzu. Mo-
giły, rozkopane przez A. Kirkora i p. Ziemieckiego, wiele dostarczyły
tego rodzaju przedmiotów. Czerwono-ruskie wyroby bronzowe wiel-
ce ciekawe przedstawiają okazy, a w ich rzędzie obok miejscowych
i obce zanesione nie rzadko się trafiają. Do tych ostatnich zaliczyć
można przedewszystkiem naczynia bronzowe, siekierki celtyckie zwane,
miecze obosieczne, a wreszcie przedmioty z czasów zetknięcia się
z rzymianami, które okolice uaddniestrzańskie nieraz dotąd wykaza-
ły. Wpływ rzymski widoczny w tych stronach, dowodem tego bron-
zy rzymskie w różnych odkryte czasach, a w mogile w Sopohowie ita-
lskie nawet znalazły się lustra. Z wyrobów, prawdopodobnie miejsco-
wych, szczególnie brzozy pokuckie bardzo okazały się charaktery-
stycznymi, tak co do wyrobu, jak ze względu przeważającej w nich za-
wartości srebra. Wyroby szkła należą na Rusi do rzadkości, a w Ko-
marowie koło Halicza niemniej rzadkie odkryto przedmioty miedziane
(siekierka i nóż). Monety zwłaszcza rzymskie z czasów cesarstwa
wcale nie są tu rzadkością, a na Pokuciu obok greckich, bizantyń-
skich, perskich, arabskich znalazły się i monety starój Palestyny.

Badania p. T. Ziemieckiego prowadzone z ramienia Akademii
umiejętności w okolicy Podhorzec, nader ciekawymi szczegółami wzboga-
cały archeologię czerwono-ruską. Przedsięwzięte bowiem rozkopy
na miejscu słynnego niegdyś grodu ruskiego Pleśnicko, którego ślad
zachował się do dziś dnia w wspaniałem horodyszczu, a następnie
w pobliskich mogiłach, charakterystyczne rzuciły światło na epokę już
bliższą, bo przechodową z poganizmu do chrześcijaństwa. Dowodem
tego odkryte symbole pogańskie w połączeniu z chrześcijańskimi, jak
np. kładzenie złotej blaszki do ust umarłemu i składanie mu pokar-
mów i napojów, obok krzyżów i relikwiarzy. Przedewszystkiem jed-
nak rzeczą tu uderzającą, że w każdej prawie mogile obok szkieletów
męzkich, znalazły się i kobiece wśród bogatych ozdób z złota, srebra,
brzozy, kamieni i szkła—obok mieczy, toporków, noży i strzał żelaz-
nych znamionujących w boju poległych rycerzy. Bezwątpienia więc
zabijanie kobiet na grobie zmarłego męża musiało i tu być przyjętym
niegdyś zwyczajem.

W ogóle rozkopane dotychczas na Rusi czerwonej mogiły, obok
bogatego materiału antropologiczno - archeologicznego przedstawiły
nieraz i zagadkowe wypadki zwyczajów pogrzebowych. Tak np. w kur-
chanie w Chocimierzu na Pokuciu oryginalny odsonił się grobowiec,
bo zbudowany w kształcie podłużnej czworobocznej skrzyni, ułożonej
z brzośów dębowych bez żadnego sztucznego spojenia. Jedynie umie-
jętne ustawienie kłoców utrzymywało jego całość a wewnątrz na dnie
leżał szkielet męzki z pierścieniem brzozy na palcu. Inny kur-
chan, rozkopany w Bilecu, rzadki przedstawił wypadek sypania mogiły

nad wielką ilością wspólnie spalonych zwłok: mężczyzn, kobiet i dzieci. Lecz rzecz szczególna, że wśród tych popiołów i mnóstwa zwęglonych kości znalazł się duży głaz, w którego wykutem wyżłobieniu tkwiła niespalona czaszka—bez śladu reszty szkieletu. Przypuścić więc należy, że gdy pierwszy z tych kurchanów ukrywał prawdopodobnie zwłoki kogoś znakomitszego z plemienia lub rodu, to drugi pewnie po jakiejś zagadkowej dziś dla nas wzniesiony został katastrofie.

Najlepszy dowód, jak znaczną musiała być kiedyś ludność w tych stronach, mamy w licznych odkrytych obszernych cmentarzyskach, gdzie wspólnie w ziemi (nie wznosząc mogiły) grzebano urny z szczątkami zwłok spalonych. Grobowe te pomniki również wiele już ciekawych dostarczyły szczegółów. Pod względem wyrobów ceramicznych nieprzebrane to skarbnice: taka w nich różnaitość popielnic, naczyń, dzbanuszków, podstawek, misek, paciorków glinianych i t. d. obok wyrobów z kamienia i kruszców. Czerwonoruskie naczynia z kilku takich cmentarzysk na Podolu—wzorzysto malowane, ogromnego nabrały rozgłosu. Uderzające w nich bowiem widać podobieństwo do znajdujących nad brzegami morza Czarnego, w Cyprze i Mykenach. Ztamtąd więc prawdopodobnie źródło tego wpływu. W ogóle cmentarzyska na Rusi zachowują charakter odrębny w porównaniu do podobnych zabytków w zachodniej części dawniej Polski równie co do form pogrzebowych, jak i budowy i urządzania samych grobów. Szczególnie gęsto zaległy one kąt między Dniestrem a Zbruczem, gdzie pług rolnika nierzadko je odkrywa. W okolicy natomiast Halicza, Stryja i Samborza, zdaje się przeważać zwyczaj chowania w mogiłach i to zwykle w urnach. Urny te, wyrabiane z gliny czerwonej, czarnej lub brunatnej, jak wszędzie tak i tu w nader odmiennych znajdują się kształtach i rozmiarach. Kruszcowe zaś należą na Rusi do rzadkości, bo dotąd odkryto tylko jedną żelazną na Pokuciu.

W rzedzie zabytków przedhistorycznych na Rusi, niemniej ciekawą zagadką archeologiczną, jak bołdy w Stryjskiem, jest wał na Podolu między Dniestrem a Zbruczem, oddawna wałem Trajana zwany. Badania ś. p. A. Kirkora poraz pierwszy bliżej go nam opisały. Obrzynie to dzieło pracy ludzkiej, widoczne dziś jeszcze na przestrzeni przeszło dwunastu kilometrów. Czy nazwa Trajana ma tu co wspólnego z nazwiskiem cesarza rzymskiego, rzeczą bardzo wątpliwą. Liczne w tej okolicy monety rzymskie i sąsiedztwo dawniej Dacyi nie dają jeszcze żadnej wskazówki, aby go poczytywać za dzieło rąk rzymskich, a tém mniej za granicę imperyum rzymskiego. Monety bowiem rzymskie wszędzie się trafiają, a wałów podobnych nie brak też i na Ukrainie i Bessarabii. Jaki go usypał lud i w jakim celu — trudno dziś rozstrzygnąć. Tylko dokładniejsze zebranie materiałów z najbliższej okolicy wału, może nas kiedyś naprowadzić na wątek rozwiązania tej zagadki.

Oprócz tych wspomnianych zabytków przeddziejowej na Rusi epoki, mamy także wybitne ślady wyrobionych pojęć mytologicznych

u prastarych mieszkańców tych stron ciekawych. Obok bowiem wspomnianego już słynnego posągu Światowita ze Zbrucza, odkryte tu zostały i inne tego rodzaju pomniki, choć nie dorównyujące mu swym znaczeniem. Pokucie do niedawna miało ich dwa. Jeden z nich w Chocimierzu obok prastarego grodziska, dziś już przez ząb czasu zniszczony, wyobrażał niezgrabnie wykuta postać stojącej niewiasty, drugi połączoną, dwugłową postać mężczyzny i kobiety. Ten ostatni znaleziony jeszcze w wieku zeszłym, lat wiele leżał w ogrodzie dworskim w Kamionce wielkiej, dziś zaś nie wiadomo gdzie się podział. A Kirkor, który go oglądał, przypuszcza, że mógł przedstawiać Daźboga i Ładę, lud zaś zwał go kum-kuma, a chocimiński Diwką. Prawdopodobnie jednak były to posągi, które do rzędu tych zaliczyć należy, jakie lud zwykle „babami” nazywa, choć one nie zawsze wyobrażają postać kobiety. Są to niekształtne bałwany, wielce już dziś przez czas uszkodzone, o postawie siedzącej lub stojącej, nagie lub odziane. Zwykle przypisują je Scytom. Wznoszą się najczęściej na wielkich kurchanach lub wzgórzach i to jedynie na ziemiach północno-wschodniej słowiańszczyzny. Nie brak ich też i na Rusi czerwonej. Obok wspomnianych pokuckich, wykryte zostały ich ślady do dziś dnia zachowane: w Bileczu, w Babińcach nad Niecławą, Dźwinogrodzie nad Zbruczem, Zarubińcach koło Zbaraża, w Babicach nad Sanem i w kilku innych miejscowościach. Mnóstwo zaś podań ludowych, przywiązanych do takich posągów bab i liczne miejscowości, które od nich nazwę otrzymały, są dowodem, że niegdyś wiele tego rodzaju zabytków istniało na Rusi. W nazwach jakie noszą tutejsze osady, niwy, góry, lasy—prastarych nieraz można się dopatrzeć pierwiastków, jak niemniej i w podaniach, bajkach i pieśniach ludu, który w nich niejeden opowiada szczegół z dawnego życia swych ojców, jakkolwiek czasem przez fantazją już zmieniony. Dokładne i krytyczne zebranie jednych i drugich, wiele mogłoby dostarczyć ciekawego i cennego materiału do uzupełnienia obrazu przeddziejowej kultury na Rusi, który dotychczasowe rezultaty w ciekawym dopiero przedstawiłby zarysie.

Obok téj bogatej skarbnicy zabytków przeddziejowej epoki, nie brak na Rusi i pomników historycznej już przeszłości — pomników sztuki. Badania, prowadzone dopiero od lat dziesięciu w tym także kierunku, niejedno wydobyły na jaw, stwierdzając istnienie tu i pod tym względem nader ciekawej skarbnicy. Aż do tego czasu nie zwracano na nie większej uwagi, bo nie przypuszczano nawet, żeby tu mógł powstać pomnik wartości artystycznej. A jednak jeżeli gdzie, to właśnie na Rusi poznanie rozwoju zabytków sztuki — rzeczą wielce interesującą a nawet niezbędną. Sama już bowiem przeszłość dziejowa musiała tu wycisnąć charakterystyczne piętno, choćby z tego tylko względu, że nigdzie przelom między Wschodem a Zachodem, między katolicyzmem a prawosławiem nie wystąpił tak wybitnie, jak właśnie tutaj. Chcąc więc mieć wymowną ilustracją tych dziejów, chcąc je niejednym uzupełnić rysem, należy uwzględnić najwymowniej-

sze ich świadki — pomniki sztuki. Są to bowiem źródła kultury, których żadne opisy zastąpić nie zdołają. W nich to najdokładniej wciela się i uosabia obraz duchowego stanu poszczególnej epoki. w nich plastycznie widzimy odbity charakter i kierunek dziejowy przeszłości naszej w tej stronie dawniej Polski.

Dzięki pracom pp. Łuszczkiewicza, dr. Szaraniewicza, Petruszewicza, M. Sokołowskiego, Zacharjewicza a przede wszystkim konserwatora W. hr. Dzieduszyckiego, mamy dziś w historii sztuki nową prowincją, pośrednią między sztuką zachodnią a wschodnią, i to nie bez znaczenia w ogólnodziejowej kulturze. Prace te wprowadziły nie miały jeszcze czasu wyczerpać całego materiału, ale zawsze rzucają nowe i ciekawe światło na rozwój artystycznych na Rusi pomników, chociaż nie odznaczających się ani liczbą ani wysokim artyzmem, ale tylko jedną w swoim rodzaju oryginalnością.

Z chrześcijaństwem z Bizancjum płynie przez Kijów na północ i cywilizacja wschodnia. Wpływowi jej ulegają rozległe ziemie przetrzenie, a w ich rzędzie i późniejsza Ruś Czerwona. Za stosunkami religijnymi z Bizancjum i bizantyńskie płyną tu utwory, wznoszą się pierwsze cerkwie i bizantyńscy przybywają mistrze. Z odzyskaniem odrębności politycznej w rzeszy księstw rurykowskich, wpływ ten przestaje przedzielać się na Ruś drogą — przez Bułgarię i Wołoszczyznę, ale nie już tak silny — a sztuka sama za mało już twórcza, aby wyłącznie mogła tutaj zapanować. To też wcześniej już wpływ ten zwołna zaczyna ustępować przed wpływami romańskiego zachodu, które nawzajem oddziaływając na siebie, wspólne, lecz dwoiste zostawiają piętno: Wschodu i Zachodu. Dwoistość ta staje się odtąd główną cechą Rusi Czerwonej, nie tylko we wszystkich objawach jej dziejowego życia, ale i w sztuce, jak to widzimy na pozostałych do dziś dnia pomnikach architektury, malarstwa i rzeźby.

Mówiąc o architekturze na Rusi, mimowoli rzucają nam się w oczy najliczniejsze jej pomniki, owe malownicze i wiekiem pochylone cerkiewki wiejskie. Ciekawe te pomniki drewnianego budownictwa od lat kilku dopiero zaczynają także zwracać na siebie uwagę naszych badaczy. Dziś, po bliższym ich rozpatrzeniu, poznano ich znaczenie. Poznano, że w nich to najlepiej dziejowe na Rusi przebijają się prądy. Wschód bowiem dał im rozkład, — Zachód formę zewnętrzną, lecz sposobu wykonywania samej budowy bezwątpienia w prastarzej, rodzimej należy szukać technice. Wprawdzie najstarsze z tych cerkwi, które dziś istnieją, z małym wyjątkiem nie przekraczają wieku XVI. Nietrwałość materiału, burze wojenne i pożary nie pozwalały starszym przetrwać przygód wieków, ale pozostawały tradycje budowy a choć i te mnogim dziejowym uległy wpływom, przecież zawsze jeden typiczny okazują charakter. Pierwszy rzut oka przypomina skandynawskie tego rodzaju pomniki, lecz między obydwojma wybitne zachodzą różnice. Podstawę bowiem każdej cerkwi stanowi kwadrat sam lub w połącze-

niu z dwoma innymi a cechą ogólną stanowi poziomy układ belek i desek w ścianach. Ztądto w budowlach cerkiewnych na Rusi wszelkie przecięcia ścian występują pod kątem, bez żadnych zaokrągłeń tak właściwych kościołom Skandynawii. Główna ściana, z belek ułożona niezbyt wielką odznacza się wysokością i jedne posiada drzwi. Znacznie ponad nią występujący okap tworzy dokoła szerokie poddasze, a nad tym dalej kilkupiętrowy wznosi się system dachów. Tu dopiero mieszczą się okna i u szczytu strzeliste lub baniaste występują wieżyczki, stosownie do tego, czy w budowie przeważa odcień architektury bizańtyjskiej lub gotyckiej, renesansu lub baroku. Oto główny rys budowy cerkwi ruskiej, pominąwszy wewnętrzne jej urządzenie. Taką wyrobiły ją dzieje, taką zrosła się ściśle z życiem ludu wiejskiego, choć i tu odróżnić jeszcze można niejedną ich odmianę w poszczególnych okolicach kraju. Rzecz to jednak do specjalnych należąca już studyów. Dziś, gdy czas z jednej strony, a komfort z drugiej wspólnie coraz bardziej przierzadzają te uroczsze zabytki, opisy ich, jakie właśnie rozpoczął prof. Zacharyewicz we Lwowie, na jak największe zasługują uznanie. Wieleżto ich bowiem nazawsze już zginęło bez śladu a za lat niewiele niejednen z tych pomników tylko z tych rycin będzie znanym dla—przyszłych studyów i pokoleń.

W liczbie murowanych pomników ruskiej architektury, najstarszym, który, aż do naszych dotrwał czasów jest bezwątpienia kościół św. Stanisława pod Haliczem, a niegdyś cerkiew św. Pantalemona. Pierwszy prof. Łuszczkiewicz zwrócił uwagę na znaczenie pomnikowe tej budowli, opisał ją naukowo w sprawozdaniach komisji sztuki. Pomnik ten z XII pochodzący wieku, a więc z czasów księżęcej jeszcze rezydencji w Haliczu, wiele lat stał pustką po mongolskim najeździe, aż w w. XVI, przeszedłszy na własność OO. Franciszkanów przemieniony został na kościół. Niejedną więc w skutek tego utracił z swych pierwotnych cech, ale jednak, co jako pierwotne da się w nim rozróżnić—widocznie już wykazuje połączenie motywów wschodniej i zachodniej architektury. Na greckim bowiem kwadratowym planie o trzech absydach, stanęła tu zachodnia czysto romańska budowla o wspaniałym romańskim portalu i romańskiej ornamentyce. To samo widzimy też i na innym pomniku, który, sądząc z romańskiego stylu jego budowy, także do tych należy odnieść czasów. Jest to szczyłek z fortyfikacji, otaczających niegdyś kościół farny w Drohobyczu (a przed nim jeszcze cerkiew), zachowany w czworobocznej, ceglanej baszcie w stylu pierwszej epoki romanizmu i o takichże strzelnicach. A więc już wczasie istnienia samoistnego księstwa halickiego nawet czysto zachodnia budowla wzniosła się na Rusi, choć ta wschodniej hołdowała wierze. Najlepszy to dowód, że ze stosunkami politycznemi z Zachodem płynęły tu razem pojęcia i wpływy jego cywilizacji i nie pozostawały bez śladu.

Rozprawą prof. Łuszczkiewicza rozbudzone interes dla starego Halicza zachęciła do poszukiwań śladów zniszczonych jego pomni-

ków. Energiczną w tym kierunku rozpoczął działalność prof. uniwersytetu lwowskiego, dr. Szaraniewicz, od dawna zajmujący się już historyczną przeszłością téj ruskiej stolicy. Kamień ciosowy tu i owdzie po polach pługiem natrafiany, był przewodnikiem poszukiwań, które niebawem nader pomysłnym zostały uwieńczone rezultatem. Odkryte bowiem niedaleko wspomnianego wyżej kościoła św. Stanisława, fundamenta trzech zniszczonych cerkwi, nie małego dla sztuki okazały się znaczenia. Zdjęte architektonicznie i ocenione przez prof. Zacharyewicza, rzucają nam ciekawe światło na całą staro-ruską architekturę i jęj właściwości XII-go i XIII-go wieku. Wszystkie przedstawiają zarys planów greckich. Szczególniej zaś najznaczniesze z odkopanych fundamentów, które dr. Szaraniewicz odnosi do cerkwi św. Spasa, ze wszechmiar zasługują na uwagę. Zarys ich bowiem, przypominający plany wielu macedońskich i lombardzkich świątyń, regularny prawie przedstawia kwadrat o trzech półokrągłych absydach od wschodu, z których środkowa największa. Znalezione wśród rumowisk odpadki barwnego tynku i liczne trójkątne różnokolorowe cegielki, świadczą, że cerkiew tę bogate niegdyś zdobiły dekoracye. Jak atoli całość była zbudowaną — trudno dziś z całą stanowczością orzec. Sądząc z kwadratowego planu, który bezwątpienia jest bizantyński, można przypuszczać, że i górne części były takie same; ale z drugiej strony współczesna, równie na bizantyńskim planie wzniesiona cerkiew św. Pantalemona, dziś (św. Stanisława), każe wnosić, że i tu wpływ zachodniego romanizmu znalazł swoje odbicie? Jest to kwestya, którą jedynie dalsze badania i poszukiwania mogą rozstrzygnąć. Między odkopanemi fundamentami niemniej charakterystycznym przedstawia się zarys wieloboczny bezwątpienia pod jakąś drewnianą budowlę, której przeznaczenia trudno jednakże oznaczyć. Kształt sam naprowadza na myśl istnienia drewnianego baptisterium, właściwego jedynie romańskim kościołom Zachodu. Nie wyklucza to jednak i przypuszczenia, że był tu może grobowiec, bo znalezione wewnątrz szkielety ludzkie zdają się to potwierdzać.

Z okresu po napadzie mongolskim aż do przejścia Rusi pod panowanie Polski, żadnych nie posiadamy pomników jęj architektury. Z upadkiem samoistności upadła i sztuka na Rusi, aby pod berłem polskiem za ostatniego z Piastów w nowęj odrodzić się formie. Odtąd z losami Polski złączona i w jęj oświacie zachodniej bezpośrednio i wybitny bierze udział. Już Kazimierz Wielki niesie tu cywilizacyę zachodu, która pod jego następcami coraz bardziej rozprzestrzenia swój wpływ, obok starych tradycyi ginącego Bizancyum. Widzimy to na pomnikach z epoki Jagiellonów, których nie brak na Rusi. W miarę bowiem napływu osadników łacińskiego obrządku, coraz liczniejsze powstają tu kościoły i odtąd architektura na Rusi dwojakie wznosi świątynie: o wschodnich i zachodnich tradycyach — nie bez wzajemnego ich na siebie wpływu. W tym to czasie gotycyzmu z nad

Wisły wznosi tu architektura ostrołukowe kościoły i zamki, wypierając tradycje romanizmu. Ogólnie znane są gotyckie kościoły z tego okresu z czerwonej wzniesione cegły: w Bieczu, Brzeżanach, Felsztynie, Gródku, Krośnie, Nowém mieście, Olesku, Podhajcach, Sanoku, Stryju, katedra łańciska we Lwowie i piękna fara w Drohobyczu. Restauracye, przedsięwzięte w wiekach następujących wiele wprowadziły z wspomnianych pomników zeszpeciły i przekształciły, a i wzorzysto kładzione cegły ścian zewnętrznych z małym wyjątkiem tynkową okryły się szatą, ogólny jednak charakter architektury do dziś dnia zachował się widoczny. Kościoły te, budowane na wzór niemieckich „Hallenkirchen” o trzech nawach, nie w formie łańciskiego krzyża, bez przypornic i zdobnej facyaty, a natomiast o charakterystycznie skrzywioném prezbiteryum, nie odpowiadają wprawdzie ideałowi gotyku, lecz swą proporcjonalnością urocze w ogóle sprawiają wrażenie. Przykładem tego kościoły w Bieczu i Drohobyczu, przywrócone do pierwotnej formy staraniem konserwatora W. hr. Dzieduszyckiego i prof. Zacharyewicza.

Gotycyzm święci swój pełny rozwój na Rusi w czasie, kiedy w Krakowie renesans pierwsze wspaniałe wznosi pomniki, a więc z początkiem wieku XVI-go. Z tego to czasu pochodząca katedra w Przemyślu jest najwspanialszą bezwątpienia budowlą gotyku na Rusi. Gmach ten z ciosowego wzniesiony kamienia o charakterystyczném, ceglaném żyłowaniu sklepienném, wiele utracił ze swego pierwotnego artystycznego wdzięku, wskutek naleciałości późniejszych (konsole renesansowe). Gipsowa i ceglana powłoka tak dalece zakryły ciosową budowlę i wyrazistość linii, że tylko doświadczone oko mogło tu odkryć ślady gotyku, którego charakter dziś przynajmniej chór w zupełności odzyskał staraniem biskupa Soleckiego. W tej to epoce duch gotycyzmu i do drewnianych przenosi się cerkwi, wyciskając swe piętno na budowie i na sprzętach. Widzimy to w strzelistości wieżyczek w cerkwiach, jak np. Św. Ducha w Rohatynie. Św. Mikołaja w Drohobyczu i wielu innych. Cerkiew Najświętszej Panny Maryi w Rohatynie jest jedyną dotychczas znaną ściśle gotycką cerkwią na Rusi. Jedynie kwadratowy bizantyński plan o dwu tylko filarach, z których każdy z czterech tokańskich kolumn złożony, odróżnia ją od gotyckich jagiellońskich kościołów. Zamki gotyckie tak licznie w tej epoce na Rusi wznoszone—zniszczone zębem czasu, legły już dziś w gruzach.

Jak daleko sięgnął na Wschód poza Ruś wpływ gotycyzmu, trudno obecnie jeszcze oznaczyć. Jest to kwestya obchodząca historją całej kultury europejskiej. Badania wykryły go już w bukowińskich cerkwiach Radowiec, Suczawicy i Pułny, gdzie odrębny i ciekawy zachowuje charakter.

Nie bez interesu dla historii sztuki jest katedra ormiańska we Lwowie, również z epoki Jagiellonów pochodząca. Wzniesiona pod wpływem przyniesionych przez ormian tradycyi azyatyckich, odtwo-

rzyła na Rusi wierny obraz najstarszych kościołów zachodniej Azji o motywach wielce oryginalnych.

Za Zygmunta III-go, przywieziony do nas przez Bonę renesans włoski i na Rusi sięga swym wpływem, wznosząc liczne pomniki, wśród których kaplica Sieniawskich w Brzeżanach, prawdziwem może być nazwana arcydziełem. Naleciałość renesansowa jest zwykłym zjawiskiem na kościołach, gotyckich w tym czasie odrestaurowanych, a wpływ ten i w współczesnych drewnianych przebiega się cerkwiach, jak np. Św. Jura w Drohobyczu, gdzie wieżom nadarł kształty kopuł. W ogóle zdaje się rzeczą pewną, że ta kopułowa budowa wszystkich cerkwi nie jest bynajmniej wynikiem bizantyzmu, ale wyłącznie renesansu. Kopuł takich mają cerkwie zazwyczaj trzy. Murowanym wzorem tego rodzaju cerkwi jest cerkiew wołoska we Lwowie o wspianym, estetycznym wykończeniu. Motywa bizantyjskie połączone z myślą zachodniego renesansu, odtworzyły w niej wielce oryginalny i jedyny w swoim rodzaju pomnik architektury.

W drugiej połowie wieku XVII-go, aż do końca XVIII-ty bezmyślny i bez smaku barok, zwany stylem jezuitckim, jak w całej Polsce tak i tu rozprzestrzenił swe panowanie. Najliczniejsze też mamy jego właśnie pomniki na Rusi, wśród których nie brak i wspianych, pewną nawet artystyczną wartość mających, jak np. pojezuickie kościoły we Lwowie, Przemyślu i Stanisławowie. Styl ten wkradłszy się do cerkwi ruskich, wypiera coraz bardziej tradycje wschodnie i wreszcie zupełnie opanowuje ich architekturę. Ztąd to wiele murowanych cerkwi tego okresu mało co różni się od łacińskich kościołów a dowodem najlepszym św. Jur we Lwowie. Barok w ogóle zgubnie oddziaływał na budownictwo na Rusi. Pod jego wpływem powstałe formy wschodniej i zachodniej architektury lata całe przechowały niesmak, widoczny do dziś dnia tak często jeszcze w murowanych zwłaszcza cerkwiach i kościołach.

Z architekturą zachodu i zachodnie malarstwo zawitało na Ruś czerwoną. Liczne pomniki tej sztuki przez zachodnich wykonane mistrzów niczem się jednak nie różnią od pomników w całej Polsce rozsianych. W ich rzędzie nie brak tu i pierwszorzędných utworów naszych mistrzów, tak np. fara w Drohobyczu posiada nader cenny obraz Dolabelli: „Niepokalane poczęcie;“ a kościół Bernardynów we Lwowie jedno z arcydzieł Leksyckiego: „Ukrzyżowanie Chrystusa.“ Obrazy Altamontiego przechowały się w Żółkwi, Czechowicza w kościele Kapucynów w Olesku, a w zamku w Olesku freskowe malowidła. Semiginowskiego (Eleutera) portrety rodziny Sobieskich posiada klasztor Bazylianów w Krasnopuszczu, freski zaś wykonane na sufitach sklepiennych w kościele Bernardynów i Jezuitów we Lwowie przez Bartnickiego i Sroczyńskiego, niemniej wiele wykazują zalet. Dokładne rozpatrzenie kościołów na Rusi niejedną jeszcze rzecz godną pod

tym względem uwagi mogłoby wykryć. Niestety jednak zbyt mało zgromadzono dotąd materyałów do ułożenia ogólnego spisu wszystkich artystycznych i pamiątkowych zabytków na Rusi. Tylko lwowskie kościoły mają dokładny opis swych obrazów i malowideł, sporządzony przed laty staraniem Fr. Łobeskiego. Obok kościołów i prywatne zbiory na Rusi również cenne nieraz zawierają dzieła a zwłaszcza dobre portrety.

Odrębne stanowisko od zachodniego malarstwa — zajmuje malarstwo ruskie, powstałe pod wpływem tradycyi ze wschodu płynących. Dziś w historyi sztuki osobną tworzy już ono prowincją, której odkrycie i ocenienie — zasługą konserwatora Wojciecha hr. Dzieduszyckiego. W prawdzie z niedowierzaniem przyjął uczony świat polski pierwszą wiadomość o istnieniu takiej sztuki na Rusi; — fakta jednak przekonali niebawem o słuszności tego twierdzenia.

Początków malarstwa staro-ruskiego w bizantyńskiej należy szukać sztuce. Już przez pierwsze związki z Konstantynopolem przybyło ono na Ruś. Nie było to już jednak owo malarstwo pełne życia i pomysłów, jakie widzimy w najstarszych miniaturach rękopismów greckich. Z rozkładem wewnętrznym cesarstwa bizantyńskiego, upadła i sztuka grecka a malarstwo nie owładnąwszy materyą, stopniowemu uległo kostnieniu, aż wreszcie popadłszy w stałe przepisy hieratycznego kanonu, ugrzęzło w nich bezsilne w formie martwego symbolu. Sztuka w ten sposób przechodzi w nieruchomą symbolikę o ściśle oznaczonych granicach i taką właśnie zawitała na Ruś. Czas wprowadzie nie przechował nam żadnego pomnika tego malarstwa z okresu niezawisłości Rusi halickiej, bezwątpienia jednak nie musiało ono być różne od tego, które w ogóle bizantyńskiem zowiemy. Z Bizancyum bowiem jużto gotowe płynęły tu utwory, jużto sami bizantyńscy przybywali malarze.

W wiekach następnych, z wzmoczeniem się wpływów Zachodu przez Polskę i malarstwo na Rusi ulega pewnym zmianom, do czego upadek Konstantynopola nie mało się przyczynił. Z upadkiem bowiem głównego ogniska wschodu słabną i jego wpływy i pozostaje tylko tradycya. Odtąd to na Rusi miejscowi występują malarze, którzy na podstawie tych tradycyi wschodnich samoistnie zaczynają tworzyć dzieła, ale już nie tak martwe i sztywne, jak ich pierwowzory. Ożywcza technika zachodu, nie pozostaje bez wpływu i tak powstaje — staro-ruskie malarstwo.

Najstarszym znanym dotychczas jego utworem są malowidła al fresco, na stropie sklepiennym Święto-Krzyskiej kaplicy na Wawelu w Krakowie. Piękny ten zabytek, z czasów Kazimierza Jagiellończyka pochodzący, zawsze będzie punktem wyjścia dla studyów nad staro-ruskim malarstwem, choć powstał nie na Rusi. Wykonał te freski malarz Rusin, przesiąkłszy bizantyńskimi tradycjami; lecz mimo to nie

są one już wolne od wpływów zachodnich a zwłaszcza od staro-niemieckiej techniki. Wpływ ten coraz wyraźniej przebijają się w późniejszych utworach malarstwa XVI i XVII wieku. Widzimy go na wszystkich pomnikach na Rusi, których wzorem najlepszym ikon św. Jana Chrzciciela w Buczaczu o starannem wykonaniu altempera. Z początku przeważa wprawdzie tradycja wschodu, lecz z biegiem czasu sztywne bizantyńskie formy nabierają coraz więcej swobody i ruchu i w końcu wpływy zachodu biorą górę. Malarstwo bowiem, kształcąc się stopniowo pod wpływami odrodzenia, dochodzi za Wazów do wysokiej doskonałości, której wyrazem najlepszym—obrazy w ikonostazach, t. j. ścianach, przegradzających nawet każdą cerkwi od prezbiterium. Obrazy te, malowane na złoconym tle, przypominają zupełnie włoskie malarstwo odrodzenia drugiej połowy wieku XV-go (szkołę Wiwarinich) i stąd to trudność dokładnego oznaczenia daty powstania poszczególnych utworów. Największa jednak ich ilość stanowczo z XVII-go pochodzi wieku. Między ikonostazami na Rusi, bezsprzecznie pierwsze miejsce zajmują obrazy ikonostazu w Bohoradczanach za Stanisławowem. Ikonostaz ten, pochodzący z słynnego niegdyś klasztoru Skitu maniowskiego (prawosławnego), pod względem wykonania jest szczytem w rozwoju sztuki na Rusi. Pomysł i powaga wschodu, przybrane tu w szatę zachodniej techniki, imponujące robią wrażenie i gdyby nie data, wskazująca powstanie tego pomnika w ciągu wieku XVII, to stosując się do prawideł sztuki zachodniej, śmiało możnaby go uważać za dzieło pierwszych lat wieku XVI-go—takie tu ładzące podobieństwo. Inne ikonostazy z tego wieku pochodzące a zachowane dziś w cerkwiach św. Parascewii we Lwowie, św. Mikołaja w Buczaczu, św. Ducha w Rochatynie, niemniej ważne i cenne stanowią pomniki do poznania rozwoju sztuki ruskiej, której głównym ogniskiem w tym czasie był wspomniany właśnie Skit w Maniowie. Przedstawienie scen wschodnich, ujętych w skutek starannego wykonania zachodniego w więcej życiową prawdę i swobodę—oto ich główna cecha, jako też w ogóle i innych z tego czasu pochodzących malowideł. Wpływ bowiem zachodu oddziaływał na malarstwo podobnie jak na architekturę, zostawiając tu plan a tam kompozycją bizantyńską, które w ciasnych i ściśle określonych zmuszone obracać się granicach samostnych nie mogły wydawać owoców. Dopiero wiskający się barok rozdzielił za czasów Jana Sbieskiego w utworach ruskiego malarstwa dowolne przekształcanie form rytuałem określonych. Dowolność ta przebiega się w układzie i technice i stąd to tworzą się postacie o ruchach niespokojnych i nienaturalnych i niesmak z każdego uderza utworu. Niesmak ten, wzmagając się stopniowo, sprowadza wreszcie upadek i w wieku XVIII malarstwo przestaje być sztuką. Obrazy po cerkwiach przemieniają się w nieudolne kopie lub bezmyślne bohomyzy. Niejedno cenne dzieło wieku XVI lub XVII, przemalowane w tym guście, traci swą wartość, a ikonostaz staje się strojną, bogato złoconą przegrodą. Licznie do dziś dnia z owego czasu istniejące zabytki na

Rusi, są wymownym tego upadku świadectwem. Właśnie wielka ich mnogość była do niedawna powodem powszechnego mniemania, że Ruś, pod względem artystycznego rozwoju, żadnej nie odegrała roli. Ze tak nie było wykazały to ostatnie badania; upadek bowiem zupełny, wyprzedził, jak wykryto, i okres wysokiego rozwoju a tradycye téj artystycznej świetności przechowały się jeszcze długo. Widzimy to w przepięknych nieraz wyrobach hafciarskich: ornatach, stułach, kapach, choragwiach, płaszczennyciach, których ostatnia archeologiczna wystawa we Lwowie znaczny wykazała poczet.

Pomników rzeźby ruskiej najmniej nam wykazują badania. Znalezione w gruzach cerkwi halickich ułamki baz, kapitelów, gzymśów i bronzowe relikwiarze nie mogą jeszcze dać nam poglądu na jej rozwój a i to, co z późniejszych przechowało się czasów bardzo jest nieliczne. Kościół wschodni nie wznosił posągów a przeto nie uprawiał téj sztuki; która tu jedynie w nagrobkach mogła mieć zastosowanie, lecz i tych nam czas nie wiele zostawił. Kościoły łacińskie natomiast wiele tego rodzaju przechowały pomników. Każdy prawie starszy kościół posiada ich kilka, a w ich rzędzie obok dłuta rzeźbiarzy polskich, nierazkie też utwory i mistrzów włoskich: Berettiego, Padovana, Rettina i innych. Dość wspomnieć o wspaniałych renesansowych nagrobkach Sieniawskich w Brzeżanach, Włodka i Dzieduszyckiego u Dominikanów we Lwowie, arcybiskupów J. Zamoyskiego i Tarnowskiego w archikatedrze lwowskiej, Ligezy w Bieczu, J. Kamienieckiego, Firlejowej i Oświęcimów u Franciszkanów w Krośnie, Herburtów w Felsztynie, Daniłowiczów w Żółkwi i inne. Nierównie liczniejsze są sarkofagi i posągi o wykonaniu barokowem. Z tych wybitniejsze: pomniki św. Michała i St. Jabłonowskiego we Lwowie i snycerskiej roboty posągi Potockich w Stanisławowie. Rozpatrzywszy nadto bliżej: ołtarze, tryptyki, tablice, ornamenta, płaskorzeźby i sztukaterye tych kościołów, niejeden cenny zabytek sztuki możnaby jeszcze wydobyć z zapomnienia na jaw. To samo można powiedzieć i o cerkwiach, gdzie natomiast snycerstwo ważną odgrywało rolę, zwłaszcza, gdy pod wpływem odrodzenia wspaniałe zaczęto wznosić ikonostazy. Pięknie bowiem rzezane ramy obrazów w ikonostazach, bynajmniej nie są rzadkością na Rusi; w epoce zaś opanowania sztuki przez barok, misterne te ramy większą mają nieraz artystyczną wartość, niż same malowidła. Rzeźby ikonostazu w Krasnopuszczy i Buczaczu zachwycają swą pięknnością i delikatnem wykończeniem. Na uwagę zasługują też krzyże drewniane, z nader misterną rzeźbą scen z życia i męki Chrystusa, krzyże patryarchalne i oprawy księzek. W wyrobach z łotniczych widać wielką różnorodność. Paramenta cerkiewne z małym wyjątkiem noszą na sobie widoczne wpływy zachodnie, zwłaszcza gotyku o strzelistych formach.

Oto krótki pogląd na zabytki Rusi Czerwonej, dowodzący tylko, jak pracą i staraniem nie wielu pracowników, wybitne osiągnięto już

rezultaty. Przeszłość przeddziejowa i artystyczna téj ziemi w interesujących występuje już zarysach, chociaż w obec obfitości materiału obszerne jeszcze pozostaje pole do działania. Niejedna tu bowiem kwestya stanowczego potrzebuje rozwiązania, niejedna cenna rzecz ukryta w ziemi lub zaciszu wiejskiej cerkwi i kościoła, bliższego oczekuje rozpatrzenia i opisu, niejeden pomnik zębem czasu zniszczony, restauratorskiej wygląda ręki. To téż ochrona pomników i pamiątek jest rzeczą równie ważną, jak naukowe badania nad nimi. Projektowane powiększenie konserwatorów w Galicyi bezwątpienia wielce może się do tego przyczynić. Początek w téj mierze zrobiony—pomyślną każe rokować przyszłość

Z DZIEJÓW
DOBROczynności PUBLICZNEJ WARSZAWY
1870 — 1885 r. *)

SKREŚLIŁ

W. A. Sułkowski.

Szpital Dzieciątka Jezus.

Jakkolwiek dość obszernie co do dziejów swych opisany w zeszycie listopadowym, ze względu jednak na chwilę bieżącą wymaga uzupełnienia.

Otóż po nowym roku dzienniki nasze podały wieść dość poważną, by ją w tym opisie pominąć, że oddział ogólny chorych szpitala Dzieciątka Jezus, około pół siedmą tysiąca chorych mieszkający obecnie, ma być przeniesiony do gmachu, zajmowanego przez szpital św. Łazarza na Książęcej, ten zaś ma przejść na Bonifratską do św. Jana Bożego, z kąd obłąkanych mają przenieść do ogólnego zakładu obłąkanych we wsi Tworkach, kosztem około 820,000 rubli budowanym, dokąd przeniesionoby też i oddział obłąkanych kobiet z Dzieciątka Jezus. Sam zaś dzisiejszy gmach Dzieciątka Jezus wróciłby do swego pierwotnego zakresu działalności, jaki mu wyznaczył wiekopomnej pamięci założyciel ks. Gabryel Baudouin, to jest wychowywałby tylko dziecię bezdomną, sierocą i mieściłby w sobie instytut potożniczy, jak dotąd. A nadto wychowawcy domu podrzuteków byłiby tu kształceni w specjalnej szkole, mającej się dla nich otworzyć w kierunku obecnie wymaganym.

*) Ciąg dalszy — patrz zeszyt za m. grudeń r. z.

Czy ta zmiana, pociągająca za sobą znaczne koszta, będzie dla miasta nie już z korzyścią ale choćby bez straty? Otóż nie tylko że pociągnie za sobą znaczny, może nawet bardzo znaczny nakład, ale nadto spowoduje niezwykłe ograniczenie liczby łóżek etatowych. Koszt będzie dla tego znaczny, że najprzód sam gmach po-Bonifraterski tak wewnątrz, jako zewnątrz od wielu lat zaniedbany, wymaga gruntownej naprawy a może i przeróbki, powtóre gmach św. Łazarza mieści w sobie obecnie tylko 300 łóżek etatowych a średnio dziennie podług ostatniego sprawozdania Rady miejskiej dobr. publ. za r. 1885 po 202 chorych dziennie, rocznie zaś 3383 osób, gdy szpital Dzieciątka Jezus w oddziale ogólnym ma 500 łóżek, chorych zaś rocznie od 6000 do 8000, dziennie średnio od 302 do 435. Prostem więc następstwem głoszonej zmiany będzie albo znaczne powiększenie ilości łóżek u św. Łazarza, co się nie obejdzie bez kosztu co najmniej 100,000 rub. albo też unikając tego wydatku, dzisiejszą liczbę 500 łóżek Dzieciątka Jezus wypadłoby zredukować do normy 300 łóżek, jaką rozrządza św. Łazarz. W pierwszym razie nowy ciężar na miasto, już i tak uginające się pod brzemieniem wielorakich opłat publicznych, w drugim niewypowiedziana krzywda, wyrządzona ubogiej ludności Warszawy, której szereg przerażająco od lat kilku wzrastają.

To dopiero perspektywa oddziału ogólnego chorych. A co z domem podrzutek, mianowicie też z temi istotami wydziedziczonemi, których ani ojciec ani matka znać nie chcą,—czy dla nich ta zmiana przyniesie ulgę w ich losie. Zapewne nie. Skoro bowiem się usunie oddział ogólny chorych i oddział kobiet obłąkanych, to przybędzie z jednego 500 z drugiego 200, a łącznie 700 łóżek. Przestrzeń zajęta przez owe 700 łóżek, najdalej rzecz posuwając, może pomieścić 3 razy tyle kołosek i łóżek dzieciennych to jest 2100, a że w samym zakładzie podrzutek jest 188 kołosek dla niemowląt i 88 łóżek dla dzieci starszych (Sprawozd. za r. 1885) przeto wszystkiego będzie miejsca dla 2,376 dzieci, gdy przecież w r. 1885 było ich 6152 a w latach 1875, 6 i 1877 od 11,000 do 11,800 głów. Mianowicie w r. 1885 średnia cyfra niemowląt w zakładzie była 96,8, dzieci starszych 93,6, na dniu 1 stycznia zaś 1886 było w zakładzie niemowląt 91 i tyleż dzieci starszych, na mamkach zaś po wsiach na dniu 1 stycznia 1886 r. było 2854 niemowląt i dzieci starszych. A przecież to są cyfry dwa razy mniejsze od ogółu dzieci w roku przyjmowanych, bo widzimy że z liczby wychowawców wypisano w r. 1886 2,259, zmarło zaś 857, miejsc więc powinny być etatowych co najmniej 6,000. Jeśli tedy zakład dzisiejszy Dzieciątka Jezus sam bezpośrednio będzie miał podrzutek wychowywać, nie uciekając się do pomocy wsi, to tém samem będzie zniewolony ograniczyć ich liczbę do wskazanej cyfry 2376 głów; a co się stanie zresztą, najniżej 3,700 głów wynosząca? Ta marnieć będzie, wywołując w zastraszający sposób zbrodnie dzieciobójstwa. Ale pomimo takiej redukcji w liczbie, jakże niestęchanie wzmogą się koszta utrzymania owych 2376 podrzutek. Bo oto w roku 1885 gdy

zakład miał w przecięciu 96,8 niemowląt dziennie	a koszt roczny wy-
żywienia niemowlęcia kosztował 167 rs. 90 kop.	(Sprawod. wykaz
nr. 11) to ogółem rubryka ta uczyniła	Rs. 16,252 k. 72
zaś 93,6 dzieci starszych po 138 rs. 70 k. rocznie	„ 12,982 „ 32
mamki wiejskie od 2,692.7 dzieci po 17 rs. 52 k.	
rocznie	„ 47,176 „ 10
a razem Dom podrzutek kosztował	<u>Rs. 76,411 k. 14</u>

Po zaprowadzonej zmianie zredukowawszy liczbę z r. 1885 6152 podrzutek do krańcowo możliwej 2,376 głów, i zachowując stosunek niemowląt do dzieci starszych w tej mierze jaką wykazuje Sprawozdanie za rok 1885, otrzymamy rachunek: za 1223,2 niemowląt po 167 rs. 90 kop. rocznie

Rs. 205,375 k. 28

za 1152.8 dzieci starszych po

138 rs. 70 k. rocznie

„ 159,893 „ 36

czyli razem

Rs. 365,268 k. 64

to jest więcej niż dotąd o

Rs. 288,857 k. 50

Oto jakie następstwa zmiana taka pociągnęły za sobą. Czy zresztą jest pożądanem tak znaczne ześrodkowanie dzieci w zakładzie położonym obecnie w śródmieściu, w zakładzie, który dotąd pod względem śmiertelności pierwsze zajmował miejsce, w którym śmiertelność osób dorosłych dochodziła do 14,2%, niemowląt zaś 16,7% gdy na mamkach, mimo tak nędznego ich uposażenia, procent zmarłych dzieci doszedł tylko 13,4%. Zkąd więc będą się brały fundusze, skoro rząd w r. 1886 cofnął od lat 15 udzielane zapomogi, które w r. 1885 wyniosły 143.221 rs. 53 kop. z czego na sam szpital Dzieciątka Jezus przypadło 101,619 rs. 55 kop.

Jak widzieliśmy, ześrodkowanie w mierze tu wykazanej liczby podrzutek ze względu na sam koszt jest niemożliwe, gdyż dochody szpitala po odjęciu szpitalowi zapomogi rządowej w roku bieżącym dojdą zaledwie do 104,500 rs. Pozostanie tedy poprzestać na dotychczasowym etacie podrzutek w zakładzie, zajęć $\frac{1}{4}$ gmachu pod zakład, a resztę $\frac{3}{4}$ oddać na mieszkania prywatne, co zapewne najmniej do 30,000 rubli by przyniosło. Przy tym dochodzie, powiększyłoby należało utrzymanie dzieci na mamkach po wsiach do skromnej kwoty 24 rs. rocznie, w miejsce dzisiejszych 17 rs. 52 kop. a z pewnością śmiertelność dzieci dotychczasowa zejdzie do połowy a zakład zaś będzie mógł utrzymywać tyłu podrzutek ilu ich miewał w latach 1875, 1876, 1877 i 1878 t. j. od 10,000 do 11,800 głów.

Zmiany te o ile z bardzo wysoka upragnione a od września roku 1884 stale obmyślane, o tyle jeszcze z jakie trzy lata na swe urzeczywistnienie czekać będą musiały, albowiem wszystkie zależą od ukończenia budowy zakładu w Tworkach, którą dopiero z wiosną nadecho-

dzącą rozpocząć mają. Mimo to znając stronę pieniężną i moralną zamierzanych zmian, uważałem za obowiązek o nich tu wspomnieć.

Na tén kończąc, pragnąłbym zwrócić uwagę czytelnika na cytry, przedstawiające obraz działalności naszych szpitali i zakładów dobroczynnych w okresie tu omawianym a nawet w r. 1885, za który w styczniu rozesłano sprawozdanie. Najciekawsze cyfry zawierają sprawozdania odnoszące się do szpitala a raczej do zakładów Dzieciątka Jezus. A, boć też to olbrzym europejskiej miary. Widzimy z nich że w ciągu lat 1870 do 1885 włącznie, szpital Dzieciątka Jezus przyjął chorych i podrzutek 250,756 osób, z czego zmarło 44,385 osób t. j. 17,7%. Na oddziały liczba ta ogromna tak się rozpada: a) W oddziale ogólnym chorych zapisano 109,396 osób; (10 innych szpitali warszawskich miało w tym czasie 236,087 chorych, z których największy po Dzieciątku Jezus Żydowski, miał tylko 63,729, nie licząc naturalnie oddziałów dla obłąkanych, wenerycznych i położniczego, bo z niemi szpital żydowski miał 72,967 chorych. b) W oddziale obłąkanych kobiet 5107; c) w Instytucie położniczym 5047 kobiet, i d) w Domu podrzutek 131,206 dzieci. Widzimy z tego zestawienia, że gdy 10 innych szpitali w Warszawie zapisały i przyjęły razem 245,325 osób wszelkich chorób, to szpital Dzieciątka Jezus miał ich sam 250,756, prawda, że w tój liczbie 127,550 dzieci wychowywało się na wsi, na sam gmach Dzieciątka Jezus przypada ludność 123,206 osób, to jest prawie dwa razy tylko mniejsza niż wszystkich 10 innych szpitali razem wziętych.

Na utrzymanie tój krociowej rzeszy miał szpital	
dochodów	rs. 3,440,196 k. 26
wydatki zaś w tym samym czasie uczyniły sumę „	3,889,163 „ 5

Niedobór więc w ciągu 16 lat doszedł do sumy	rs. 448,966 k. 79
--	-------------------

Ze zaś Rada główna opiekuńcza zakładów dobroczynnych w Królestwie Polskiem, (istniejąca tymczasowo od r. 1832, a zatwierdzona stale ukazem z d. 2 maja 1842 r., zniesiona zaś w r. 1870), po 38 latach działalności zostawiła swój spadkobierczyni Radzie miejskiej dobr. publ. do spłaty różnych zaległych należności w sumie	„ 92,225 „ 91
--	---------------

więc Rada miej. dobr. publ. w Warszawie w ciągu 16-tu lat swój działalność zaległa w należnościach na sumę	rs. 356,740 k. 88
--	-------------------

Jak widzimy ze sprawozdań, w rubrykę pod tytułem „na spłatę niedoborów” od r. 1870 do 1875 wstawiono 562,789 rs. 20 kop., choć do umorzenia od r. 1870—1875 było długu tylko 454,107 rs. 6 kop., czyli „umorzono” za wiele o 108,682 rs. 13 kop.

Gdy ludność szpitalna w latach od 1854 do 1869 wł. wynosiła
 chorych 139,968 osób
 dzieci w zakładzie 19,202 na wsi 76,248 = 95,450 „
 ubogich w przytułku zimowym 93,291 „

a razem szpital utrzymywał 328,709 ludności, co kosztowało 2,396,015 rs.,—to w latach 1870

do 1885 szpital miał do utrzymania ludność 250,756 głów wynoszącą, to jest utrzymywał mniej niż w peryodzie poprzednim o 77,953 osób, co kosztowało 3,889,163 rs., czyli przy mniejszej o 77,953 osób ludności koszt był większy o 1,493,148 rs., a byłby z pewnością dwa razy większy, gdyby szpital w ostatnim peryodzie utrzymywał w samym zakładzie tylu podrzuteków ilu ich bywało w peryodzie poprzednim. Utrzymywał zaś ich tylko 3,635, gdy w okresie poprzednim było podrzuteków w samym zakładzie 19,202, to jest o 15,567 dzieci mniej, co, licząc choćby tylko po 130 rs. na dziecko rocznie (widzieliśmy w sprawozdaniu Rady miejskiej dobr. publ. za r. 1885 dwie stopy opłaty rocznie: od niemowlęcia 167 rs. 90 kop., a od dziecka starszego 138 rs. 70 kop.), uczyniłoby 2,023,100 rubli. Różnica, jak widzimy, pod każdym względem niesłychana.

Ale jeżeli niezwykle interesującym jest porównanie najobiektywniejsze jednego okresu 16 letniego z drugim 16 leciem, to o wiele ciekawszym jest zestawienie i porównanie wydatków pewnych lat z ostatniego okresu do ludności z tychże lat. Np.

	przy ogólę ludności	rubryka żywności
gdy w r. 1870	17,483 głów	czyniła 37,683 rs. 94 kop.
to „ 1871	16,704 „	„ 43,662 „ 38 „

t. j. że gdy lud. było mniej o 779 głów—była więk. o 5,978 rs. 44 kop.

Toż samo w roku 1872, gdy chorych było tylko o 17 osób więcej niż w r. 1870; rubryka żywności uczyniła o 11,676 rs. 44 kop. więcej. W r. 1873 było jeszcze gorzej, bo przy ludności o 702 osób mniejszej od roku 1872 żywność kosztowała o 12,878 rs. 7 kop. drożej niż w r. 1870. Przypuszczaćby chyba trzeba było, że w roku 1872 i 1873 potrzeby niezbędne życia tak znacznie zdrożały, tymczasem tablica cen przez magistrat notowanych, a za lat ubiegłych 16 sporządzona, wcale tego przypuszczenia nie stwierdza,—jest wprawdzie podwyżka na niektórych artykułach, ale nie taka, by tę różnicę usprawiedliwiła. Może te cyfry będą zrozumialsze przy objaśnieniu, że zarząd szpitali warszawskich od lat 17-tu jest ześrodkowany w biurze Rady miejskiej dobr. publ., w którym też pozostaje i rachunkowość, ograniczona w szpitalach do bardzo grubego materiału w formie raportów miesięcznych, i w żadnym ze szpitali z wyjątkiem Ewangelickiego i Żydowskiego, niczego prócz wiadomości o chorych nikt się nie dowie, bo tam też prócz tego o niczem nie wiedzą. W biurze więc Rady miejskiej tworzą się sprawozdania, a w nich tak się kosztą na poszczególne szpitale rozkładają, jak wypadnie. Nadto każdy szpital otrzymuje pro-

wiant od żyda-dostawcy z ramienia Rady miejskiej, w obec którego żadna konkurencya chrześcianina jest nietylko niemożliwą, ale z góry przez Radę miejską nie dopuszczaną, pomimo prośb jednego ze szpitali chrześciańskich, by za tę samę cenę wolno mu było brać prowiant od chrześcianina. A teraz cyfry porównawcze: z tych właśnie najciekawszych 4 lat (1870—1873): Szpital Św. Ducha

w r. 1870 miał chorych	2,141	dla których żywność kosztowała	9,513	rs.
„ 1873 „	1,802	„ „	8,804	„
zatem osób mniej o		339	koszt żywności mniejszy o	709

Szp. św. Jana Bożego w r. 1870 chorych 403 na żywność 13,695 r.

„ „ 1873 „ 397 „ 19,284 „

zatem gdy chorych było mniej o osób 6 żyw. droższa o 5,589 r.

Zkąd i dlaczego takie rażące różnice w jednym i tym samym roku w jednem mieście pod jednym zarządem, jak gdyby w jednym szpitalu chorych żywiono gorzej a w innym lepiej, gdy tak nie jest i być nie powinno? Zrozumieć nie podobna.

Szp. Ewangelicki w r. 1870 chorych 794 na żywność 4,555 r.

„ 1873 „ 856 „ 2,920 „

więc gdy chorych było więcej o osób 62 żyw. koszt. mniej o 1,635 r. a przecież nigdzie chorzy tak zdrowo i posilnie nie są żywieni jak tu.

W szp. żydowskim w r. 1870 chorych 5,506 żywność koszt. 16,026 r.

„ 1873 „ 5,048 „ 12,685 „

więc gdy liczba chor. zmniejsz. się o osób 458 żyw. koszt. mniej 3,341 r.

W szp. na Pradze w r. 1870 chorych 469 żywność kosztowała 1,997 r.

„ 1873 „ 475 „ 1,388 „

t. j. gdy chorych było o 6 osób więcej, żywność koszt. mniej o 609 r.

Równie oryginalnie wyglądają w tej rubryce szp. Dz. Jezus lata 1874 i 1875. Gdy bowiem w r. 1874 było ludności 15,577 osób i żywność kosztowała 44,869 rs. 39 kop., to w r. 1875, gdy ludności było więcej o całe 2,220 osób od r. 1874, mimo to żywność kosztowała tylko 42,310 rs. 24 kop., t. j. mniej o 2,559 rs. 15 kop. W roku 1876 była ludność większą od r. 1875 o 939 osób, żywność jednak dla niej kosztowała jeszcze mniej o 1,307 rs. 40 kop. Ale znowu w r. 1878 gdy ludność w stosunku do roku 1877 zmalała o 936 osób, to rubrykę żywności tego roku odnośnie do 1878 r. zwiększono o 5,126 rs. 97 k. Gdy w r. 1879 przy ludności 14,108 osób rubryka żywności uczyniła 43,965 rs. 16 kop., to w roku następnym przy ludności większej tylko o 207 osób — rubrykę żywności zwiększono o 12,550 rub. 39 kop. Tu już nie mogę się wstrzymać, by nie podać kilku choćby cen z lat 1879/80 na uwidocznienie niezwykłej dowolności rachunku ze sprawozdań bijącej w oczy. Oto ceny z m-ca października obu lat:

kartofli marchwi grochu gryka mąka żyt. pytl.
w r. 1879 cztew. 2 r. 46 k. 2 r. 36 k. 11 r. — k. 7 r. 20 k. 1 r. 75 k.
„ 1880 „ 2 „ 38 „ 2 „ 35 „ 8 „ 49 „ 6 „ — 1 „ 80 „

Inne artykuły choćby znacznie droższe były niż w r. 1879, wobec znacznej przewagi artykułów tańszych lub równomiernych zaledwieby mogły dorównać w ogólnej sumie kosztom żywności, ale nie przewyższać o jakieś 12,550 rs. Dalej gdy w r. 1882 przy ludności 12,911 żywność kosztowała 52,520 rs. 69 kop., to w r. 1883, przy ludności mniejszej o 355 osób, rubrykę jej zwiększono o 3,556 rs. 99 kop. Gdy nakoniec w r. 1884 przy ludności 12,866 osób żywność kosztowała 56,718 rs. 16 kop., to w r. 1885 przy ludności większej o 266 osób, rubryka żywności czyniła tylko 50,007 rs. 29 kop., t. j. mniej o 6,710 rs. 87 kop. Te cyfry porównawcze w tej jednej rubryce dowodzą niezwykłej swobody, sporządzającego sprawozdanie nie kępującej się względami na rzeczywistość, uwzględniającej jedynie potrzebę. Toż samo jest z rubrykami: na aptekę, odzież, utrzymanie administracji i obsługi i inne. Jakim np. sposobem rubryka: „na odzież, światło, opał, pościel, bieliznę i pranie” w r. 1878 przy ludności 17,580 uczyniła 19,426 rs., a w r. 1879 przy ludności 14,108 aż 18,191 rs. 72 kop., to jest o 19 kop. na osobę więcej. Te 19 kop. na pozór wydają się zbyt małą różnicą, bo tu za podstawę do obliczenia wziętem nie przeciętną liczbę ludności, jaka w tych latach była: 5488,7 (w r. 1878) i 4740,8 (w r. 1879), lecz ogół ludności w owych latach do szpitala przyjętej, z której nadto na same dzieci odchodzi 10,006 + 7,096 głów. W ścisłym i naturalnym rachunku różnica ta będzie nierównie ciekawszą.

Bo oto, gdy w r. 1878 przeciętna liczba chorych dorosłych była tylko 671,7 a dzieci 4817, z których w samym zakładzie tylko 257, a reszta 4,560 na wsiach z kosztem całkowitego utrzymania po 15 rs. na rok, gdy koszt przeciętny ogólny dorosłego czynił w przybliżeniu 200, t. j. przeszło 13 razy więcej, to przyjąć śmiało można stosunek kosztu tej rubryki dorosłych do dzieci jak 10:1. Podług więc tego stosunku w r. 1878 na 1 chorego przypadło w tej rubryce bez mała 24 rs., a na 1 dziecko w zakładzie 3 rs. 46 k., a na wsi kop. 22,6; w r. 1879 zaś na 1 chorego — w całości 30 rs. 4 kop., na 1 dziecko w zakł. 3 rs. 73 k. na wsi kop. 22,6; — widzimy więc wcale niemało znaczącą różnicę na 1 chorym 5 rs. 96 k., a na dziecku 27 kop., jak gdyby cośkolwiek z tej rubryki zdrożało, gdy tak wcale nie było. To samo da się powiedzieć o bliższych latach; np. gdy w roku 1882 przy przeciętnej ludności szpitala 3,749, rubryka ta uczyniła 21,755 rs. 35 kop., to w r. 1885 przy przec. ludn. szpit. 3,467, rubryka ta uczyniła 26,157 rs. 43 kop., — to jest gdy ludność przeciętna zmniejszyła się o 282 osób wydatek zwiększono o 4,402 rs. 8 kop. Różnica w tych latach na chorego dorosłego czyni 6 rs. 40 kop. Ale najciekawszą jest rubryka „na utrzymanie budynków starych i budowę nowych.” Ta pochłonęła w ciągu 16 lat 303,205 rs. 95 kop. A że posiadłość

szpitalną sprawozdanie Rady miejskiej w r. 1885 podało w szacunku 370,157 rs., więc utrzymanie tego gmachu w okresie lat 1870—1886 kosztowało prawie 82%, czyli przeciętnie na rok po 5 $\frac{1}{8}$ %, gdy w okresie lat 1854—1869 rubryka ta czyniła tylko 24,42% czyli rocznie 1,52%. Na ogół okresu 16 letniego utrzymania budynków stanowiło odnośnie do wartości gmachu tylko 5 $\frac{1}{8}$ %, a odnośnie do ogółu wydatków z tegoż czasu czyniło aż 8,57%. Ale jeśli się okres ten rozdzieli na połowy, to pierwsza z nich w tej rubryce od r. 1870 do 1877 włącznie odnośnie do wartości gmachu czyniła 2,75%, a w stosunku do ogółu wydatków 3,7%, gdy druga połowa okresu od r. 1878 do 1885 włącznie, w stosunku do wartości gmachu czyniła już 7,4%, a w stosunku do wydatków z tegoż 8-letnia aż 13% w przecięciu na rok, a jak w r. 1880 rubryka odnośnie do wartości gmachu stanowiła 13,3%, a w stosunku do ogółu wydatków aż 20,34%. Gdy się porówna wydatki z tej rubryki w r. 1880 razem przez 9 innych szpitali poniesione w sumie 45,395 rs. 62 kop., to suma ta odnośnie do ogółu wydatków tych 9 szpitali warszawskich w sumie 304,144 rs. 49 kop. stanowi tylko 14,92%, a odnośnie do wartości gmachów tych 9 szpitali (854,922 rs.) tylko 5,3%. Zdaje się nieprawdopodobnym, a jednak jest niezbitnie prawdziwe.

Tę niesłychaną różnicę jeszcze lepiej nam uzmysłowi porównanie 9 innych szpitali ze szpitalem Dzieciątka Jezus. Bo oto wszystkie razem w ciągu 16 lat miały ogółem wydatków 4,670,283 rs. 91 kop., a wartość ich zabudowań w sprawozdaniu za rok 1885-ty podano na 1,196,022 rs. 38 kop.; ogół zaś wydatków na budynki uczynił 442,138 rs. 70 kop., t. j. wszystkie 9 w stosunku do swej wartości wydatkowały na utrzymanie budynków 36,96% czyli rocznie 2,31%, a w stosunku do wydatków tylko 9,4% czyli rocznie 0,6%. Chorych zaś w murach swoich miały ogółem 243,804, gdy szpital Dzieciątka Jezus miał ich tylko 123,206. Jeśli zaś szacunek posesyi Dzieciątka Jezus rozdzielić w połowie na ziemię (prawie 7 $\frac{1}{2}$ morgów) a w połowie na mury, to utrzymanie roczne budynków w stosunku do ich wartości czyniło w latach 1870—1877 po 5%, a w latach 1878—1885 aż 15,5% na rok (!). Gdy w r. 1872 wydatkowano na budynki 5,485 rs. 72 kop., to protokół odbiorczy poświadczył tylko 2,161 rs. 74 k., w r. 1873 przy wydatku 13,724 rs. protokół potwierdził tylko 7,543 rs., w roku 1874 przy wydatku 12,268 rs. protokół odbiorczy z dokonanych robót potwierdził tylko 5,602 rs., — ogółem zaś w ciągu 16 lat gdy rubryka ta wykazuje wydatek 303,205 rs. 95 k., to protokoły odbiorcze przez komisją techniczną z ramienia Rady miejskiej roboty przyjmującą sporządzane, wykazały wartość tych robót tylko na sumę 235,035 rs. 92 kop., t. j. mniej o 68,170 rs. 3 kop., chociaż i te protokoły wzięte pod ścisłą rozwagę wykryłyby, że roboty niemi objęte nie są wartość ani połowy sum w nich podanych. Z tej zaś sumy 68,170 rs. odjąwszy na składkę ogniową, ciężary gruntowe, koszt utrzymania czystości w zabudowaniach i drobne naprawy po 1,000 rs. rocznie, pozostanie i tak do usprawiedliwienia protokółami 52,170.

Rubryka apteki także nie jest pozbawioną ogólniejszego interesu. Jest bowiem w stosunku do lat z poprzedniego 16-letnia więcej niż podwojoną. Weźmy ostatnie 10 lat Rady głównej opiekuńczej (1860—1869) i ostatnie 10 lat Rady miejskiej (1876—1885). W pierwszym z tych okresów apteka kosztowała 50,405 rs. 17 kop., w drugim zaś 134,645 rs. 67 kop., t. j. więcej o 84,240 rs. 50 kop. czyli o 167%. Różnica ta tak zdumiewająca, okaże się jeszcze większą przy zestawieniu liczby chorych pierwszego dziesięciolecia z drugim.

Mianowicie w latach 1860—1869 w całym szpitalu chorych było 86,319 osób. Dzieci w zakładzie 12,309, w ambulatoryum zaś szpitalném przychodnim chorym udzielono lekarstw 32,234, czyli ogółem z apteki szpitalnej korzystało osób 130,862, gdy w dziesięcioleciu następnym (1876—1885) korzystało z apteki 82,540 chorych miejscowych, 2,570 dzieci w zakładzie i 50,446 chorych przychodniéh, a razem 135,556 osob t. j. zaledwie o 4,694 osób więcej. Lekarstwa wydane chorym przychodnim kosztowały tylko 1,946 rs. 20 kop., co na 50,446 osób stanowi koszt niezwykle mały, bo 3,8 kop. na osobę; — na resztę więc pozostała chorych miejscowych przypada suma wydatku na aptekę 132,699 rs. 47 kop., która podzielona przez liczbę chorych i przeciętną liczbę dni 20 przez chorego w szpitalu przebytych, uczyni na osobę za 20 dni pobytu 1 rs. 56 kop., czyli na dzień $7\frac{3}{4}$ k., gdy w latach 1860—1869 koszt ten czynił od $1\frac{1}{2}$ do 3 kop.

Ciekawe objaśnienie tajemnic aptekarskich, podaje sprawozdanie szpitala Dzieciątka Jezus za r. 1841 na str. 22, które tu dosłownie przytaczam. „Dla wszystkich chorych szpitala dostarczała apteka szpitalna lekarstw, sporządzanych podług przepisów lekarzy oddziałami zawiadujących i podług farmakopei szpitalnej.

„Wartość lekarstw z apteki szpitalnej dostarczanych i spożytych według zasad farmakopei szpitalnej obliczona wynosiła złp. 12,892 groszy 2. Koszt zaś rzeczywisty, na téż lekarstwa wyłożony, uczynił:

a) na materiały apteczne i kupno leków	złp. 4,136 g. 10	
b) na płace dla służby lekarskiej	„ 3,016	7,152 g. 10

„Oszczędność zatem z działań apteki osiągnięta nie licząc w to jeszcze wartości zapasów na rok następny pozostałych wynosiła złp. 5,739 g. 22“

Dodajmy, że wydatek na aptekę w r. 1841 na chorego, licząc koszta przyrządzenia lekarstw rzeczywiste, nie zaś podług cen przepisanych przez farmakopeję uczynił 1 złp. $12\frac{1}{2}$ gr., czyli 21 kop. na przeciętny czas pobytu chorego 20 dni, t. j. po 1 kop. na dzień. Ten stosunek trwał od r. 1840 do 1859 r., t. j. przez lat 20, od r. 1860 do 1869 zmienił się na $1\frac{1}{2}$ do 3 kop. A że i obecnie mógłby na téj wysokości pozostać, stwierdza sprawozdanie szpitala Dziecinnego na Aleksandryi za r. 1885, w którym lekarstwo dziennie kosztowało tylko $2\frac{1}{2}$ kop. Na tém miejscu nie od rzeczy będzie wspomnieć, że aptekę

szpitalna z dniem 1/VII 1875 na lat 12, t. j. do 1/VII 1887 wypuszczono w dzierżawę p. Leonardowi Ziemińskiemu za rocznym czynszem 2,105 rubli.

Gdy ministeryum spraw wewnętrznych zatwierdziło budżet na r. 1872 na 245,017 rs. 7 kop., to wydatkowano 423,719 rs. 98 kop., t. j. więcej o 178,702 rs. 91 kop., a w ciągu lat 14-tu, wobec budżetów przez ministeryum zatwierdzonych na sumę rs. 2,929,996 k. 87, wydatkowano 3,303,305 rs. 39 k., t. j. więcej o 373,308 rs. 52 k.

Niepozabawiona jest także w sprawozdaniach interesu rubryka p. t. „Na zapomogi i odzież dla wypisujących się, lekarstwa i opatrunki dla przychodzących oraz różne wydatki.“ Rubryka ta w ciągu 16 lat pochłonęła 171,929 rs. 41½ kop., że zaś według sprawozdań w ambulatoryum szpitalném udzielano bezpłatnie 79,864 chorym przychodnim porady i pomocy lekarskiej w lekarstwach i opatrunkach na sumę 4225 rs. zaś udzielanie zapomogi i odzieży wypisującym się nędzarszom, jest tak wyjątkowe że ani 1%ó tej rubryki nie stanowi, co też spowodowało Radę miejską że od r. 1882 w sprawozdaniach swych rubryce tej nadała wyłącznie tytuł „różnych wydatków.“ Najmniej wydatków w niej przyczynił r. 1885 bo tylko 3583 rs. kop. 9 i dla takiej pozycji możeby ta rubryka była stosowną, ale jeśli w r. 1882 dosięgła 14,458 rs. 97 kop. to już ta suma chyba zasługiwała na szczególowsze objaśnienie tak ogólnikowego tytułu, jakim są: „różne wydatki.“ Cóż dopiero mówić o r. 1871 (19,621 rs. 25½ k.) lub o r. 1877 (31,058 rs. 79 k.). W tej rubryce w r. 1872 niewykazano żadnego wydatku, a jednak chorych w ambulatoryum było 4325 a lekarstwa i opatrunki im udzielane, kosztowały 498 rs. 22 kop.

W pierwszych latach rządów Rady miejskiej wydatki bardzo nielicowały z dochodami lub budżetami, przez Ministeryum spraw wewnętrznych zatwierdzanemi. Tak w r. 1870 gdy przychodu było 192,676 rs. to wydatki czyniły 280,445 rs.; w r. 1871 dochody 196,747 rs. 15 kop. wydatki 305,412 rs. w r. 1872 przy dochodach 286,773 rs. (budżet przewidywał 245,017 rs.) wydatki dosięgły 423,719 rs. (kopiecki pomijam). W r. 1873 budżet przewidywał 176,764 rs. wydatkowano jednak 234,568 rs. W następnych latach różnica ta zmalała. Pewne zaś rubryki wydatków przy nieoglądaniu się na budżet były niezwykle oryginalne. Bo oto wzięwszy z ich liczby pod uwagę rubrykę „na spłatę długów“ widzimy że w r. 1870 umorzono długu 92,225 rs. 91½ k., podano zaś o tym roku do umorzenia 91,643 rs. 1½ kop. W r. 1871 spłacono zaległości 90,412 rs. 22½ kop. podano zaś do spłaty 109,587 rs. 35 kop. W r. 1872 spłacono długu 217,616 rs. 66 kop. podano zaś do spłaty 138,679 rs. 85 kop. W r. 1873 spłacono 138,679 rs. 85 kop. podano zaś do spłaty 100,689 rs. 62 kop. W r. 1874 spłacono 14,384 rs. 59 kop. podano zaś do spłaty 13,507 rs. 23 kop. Wreszcie w r. 1875 spłacono 9,469 rs. 96 kop. do spłaty nie podano nic. Ogółem od r. 1870 do 1875 zrobiono długu na sumę

451,107 rs. 6 kop. a „spłacono” 562,789 rs. 20 kop. zatem spłacono więcej niż było potrzeba o 108,682 rs. 13 kop.

Kapitał wieczysty w banku i hipotecznie umieszczony w r. 1870 czynił 227,138 rs. 35 kop. w r. zaś 1871 wzrósł do 230,399 rs. 65 k. w r. 1872 uszczuplono go o 5438 rs. 51 kop. w następnym roku zaś (1873) wzrósł przeszło o 46,000 rs. choć ani zapisu ani oszczędności takiej nie było, w r. 1874 z 270,984 rs. schodzi znowu do 254,157 rs. 41 kop., w tej sumie pozostaje nie tknięty i w r. 1875. Od r. 1876 do 1881 podniósł się do 296,497 rs. 80 kop. W roku zato 1882 zmałał do 240,546 rs. 17 kop., t. j. o 45,951 rs. 63 k., choć w kasie remanentu na rok 1883 pozostało 11,940 rs. 48 kop. i przez 3 następnie lata doszedł do 272,889 rs. 7 kop. Powiększył się więc kapitał wieczysty o 45,750 rs. 72 k. Jeśli się zaś doda sumę 68,216 rs. 73 kop. o którą go zmniejszono w latach 1872, 1874 i 1882 to z końcem grudnia 1885 winienby się był powiększyć kapitał wieczysty o 113,967 rs. 45 kop. Ponieważ na rachunek tej sumy Rada miejska odłożyła w latach 1872, 1876, 7, 1883, 4 i 1885 rs. 12,449 kop. 20, a zapisy od r. 1871 do 1884 czynią 26,918 rs. 31¹/₂ kop. więc musiało chyba być kilka większych zapisów fundacyjnych, na sumę 74,597 rs. 34¹/₂ kop. pominiętych całkiem w sprawozdaniach Rady miejskiej dobr. publ.

Zapisów testamentowych od 1870 do 1884 miał szpital 20, na sumę 99,518 rs.

W tej sumie jest zapis z d. 9/IV i 1/VI 64. Rozali z ks. Lubomirskich hr. Wacławowej (emirowej) Rzewuskiej, zmarłej w Warszawie w połowie stycznia 1865. Zapis ten przewidywany testamentem (Gazeta Warszawska nr. 18 z r. 1865) na sumę około 150,000 złp. oparty był na wartości kamienicy nr. 1327b przy ul. Jasnej na rogu Ś-to Krzyżkiej stojącej, a mającej obszaru 4270,27 kw. łokci. Zadaniem jego, wedle woli testatorki, miało być utrzymanie ze swych procentów sali dla rekonwalescentów przy szpitalu Dzieciątka Jezus. Założenie podobnego przytułku dawno było pożądanem. Kto zna stan ubóstwa naszego miasta, gnieźdzącego się po strychach lub piwnicach Powiśla, Starego lub Nowego miasta, wie dobrze co to są biedni rekonwalescenci wychodzący ze szpitala. Przebywszy chorobę cięższą lub nawet lżejszą, opuszczać muszą zakład, ustępując innym, przychodzącym zająć po nich łoża boleści. Takiemu biedakowi, żyjącemu z dnia na dzień często brak ciepłego kąta, gdzieby mógł w spokoju do zdrowia wrócić. Najczęściej więc zziębnięty, źle odziany i głodny wpada w recydywę, zawsze gorszą od pierwotnej choroby, wraca do szpitala i umiera. Takim więc następstwom choć w części chciała zapobiedz szlachetna zapisodawczyni. Niestety, choć już 22 lata od śmierci jej ubiegło zapis dotąd jest martwym. Kamienicę fundacyjną sprzedano w dniu 18/IX 77 dr-owi Henrykowi Bernardowi za 62,600 rs. Otrzymane ze sprzedaży pieniądze zapisano w sprawozdaniu za rok 1876 w dziale kapitałów martwych, t. j. oczekujących swego przeznaczenia. Kapitał ten po 10 latach procentowania, w r.

1885 figuruje w sprawozdaniu za ledwie w sumie 62,911 rs. 1 k. t. j. o 311 rs. 1 kop. więcej niż sprzedaż przyniosła, ale jeśli się odejmie od téj sumy kwotę 1503 rs. 53 kop. „na salę dla rekonwalescentów przy szpitalu Dzieciątka Jezus“ zapisaną w sprawozdaniu za r. 1875, to nietylko że owa przewyżka zniknie, ale nadto zbraknie do wyrównania sumy sprzedażnej 1192 rs. 52 kop. Kapitał ten jakkolwiek martwy, powiększa się co rok przez narosłe procenta, albowiem sprawozdanie za r. 1876 podaje go w sumie tylko 43,332 rs. 4 kop.

Drugim zapisem z kolei co do wysokości był w r. 1874 przyjęty, ale powstały w dniu 15/I 1871 Aleksandry Martyny z Zawadzkiej Sarneckiej w sumie 20,000 rs., trzecim z rzędu był zapis ks. Tomasza Rucińskiego z dn. 25/XI 1875 w sumie 4000 rs. przyjęty w r. 1879; czwartym z kolei wysokości był zapis z d. 14/VIII 1866 r. Aleksandra hr. Łączyńskiego, przyjęty w r. 1871, w sumie 3000 rs.; piątą z d. 12/IV 1881 r. Waleryi Maryi ze Smolińskich Piotrowskiej w sumie 3000 rs. przyjęty w r. 1881. Zapisów po 1000 rs. było cztery, mianowicie: Michała Lefevr'a z dn. 25/VIII 1855 przyjęty w r. 1871, Edwarda barona Klopmana z d. 3/V 1875 i 21/II 76 r. na coroczne zapomogi dla kobiet umysłowo chorych zakład opuszczających, przyjęty w r. 1876; Heleny Szymanowskiej gotówką na wydatki bieżące i Maryi Mazarakowej na dwóch wychowañców z Domu podrutków, przyjęty w r. 1884. Po 750 rubli było dwa zapisy: Sebastyana Badeniego z dn. 28/IX 1836 r. przyjęty dopiero w r. 1871, i Aleksandra Epsteina z d. 7/XII 1871 przyjęty w r. 1873. Reszta drobne od 75 do 300 rs.

Oprócz kapitałów wieczystych ma szpital majątek ziemski złożony z 2-ch folwarków Kaputy i Kręczi i około 15 morgów ziemi w Warszawie na tak zwanym folwarku Ś-to-Krzyżkim. Podług sprawozdania rady miejskiej za rok 1885 (str. 18) folwark Ś-to-Krzyżki wypuszczono trzem dzierżawcom: 1) Florentynie Kwasiborskiej na lat 6 ogród dziki i budynki od d. 1/I 1886 za czynszem rocznym po 480 rs., 2) ogród owocowy (sad) Janowi Czarneckiemu od 1/I 1886 za 600 rs. rocznie, 3) 10,876 kw. sażeni czyli 9 morgów 80 prętów ziemi ornój Janowi Tumankiewiczowi do 1/I 1892 za opłatą 336 rs. rocznie. Słowem cały folwark Ś-to-Krzyżki aż do r. 1892 będzie dawał rocznie dochodu 1,416 rs. Wartość jego w szacunku z 27,925 rs. podniesiono w r. 1879 do 34,906 rs. 25 kop. i w téj wysokości dotąd zostaje, szacunek zaś folwarków Kręczek i Kaput, mających obecnie 18 włók 27 morgów obszaru z 42,170 rs. z r. 1870 podniesiono w r. 1878 do 50,900 rs. a w r. 1879 do 55,750 rs., t. j. z 2,235 rs. za włókę w r. 1870 do 3,000 rs. w latach 1879—1885. W r. 1870 w sprawozdaniu wykazano w wykazie majątków nieruchomych 7 osad na Bugaju w obszarze 210 morgów, i obszar ten oraz szacunek 3,150 rs. wykazano w sprawozdaniach za lata 1871 i 1872. Z tych 7 osad w r. 1875 sprzedano 3 za 1350 rs. pozostało więc 4 osady szacowane aż do r. 1878 na 1,800 rs. w r. 1879 podniesiono ich szacunek o 450 rs. pozostają obecnie w szacunku 2,250 rs.

Dochodów miał szpital w r. 1885 205,985 rs. 58 kop., mianowicie z czynszów od nieruchomości 14,440 rs. 42 kop., b) z procentów od kapitałów 11,143 rs. 88 kop., c) z zapomogi od rządu 101,619 rs. 55 kop., d) z kasy miejskiej 22,025 rs.; e) od chorych zwrot kosztów leczenia 51,350 rs. 51 kop. f) z ofiar i jałmużn 549 rs. 65 kop., g) z innych źródeł 3879 rs. 60 kop. h) Pozostałość kasy z roku 1884-go 976 rs. 97 kop. Wydatki uczyniły 209,799 rs. 44 kop. t. j. więcej nad dochody 3813 rs. 86 kop. Niedobór ten mógłby być pokryty remanentami kasowymi, które omieszkano przenieść ze sprawozdań lat poprzednich do następnych, a mianowicie: w sprawozdaniu za r. 1874 pominięto remanent kasowy z r. 1873 w sumie 6 rs. 66 kop. 2) w sprawozdaniu za rok 1879 wykazano remanent kasowy z r. 1878 tylko w sumie 10,967 rs. 44 k. winno zaś być podług sprawozdania za r. 1878 rs. 18,553 kop. 80 t. j. wykazano mniej o 7,586 rs. 46 kop. W sprawozdaniu za r. 1880 wykazano remanentu kasowego z r. 1879 rs. 20,012 k. 19, zamiast 20,450 rs. 19 k. jak przekazało sprawozdanie za rok 1879 t. j. mniej o 438 rs. Również w sprawozdaniu za r. 1883 podano remanentu kasowego z r. 1882 rs. 13,026 kop. 49 zamiast, jak wykazuje sprawozdanie za rok 1882 rs. 13,032 kop. 84, t. j. mniej o 6 rs. 35 kop. Suma tych niedoborów remanentowych z lat tu wymienionych czyni 8,037 rs. 37 kop. Po pokryciu więc niedoboru z r. 1885 w sumie 3,813 rs. 86 kop. pozostałoby jeszcze do zapisania na przychód w najbliższym sprawozdaniu rs. 4,223 k. 51.

Chorych w r. 1885 miał szpital ogółem 13,132, z czego zmarło 1,781. Cyfra ta na oddziały tak się rozpada: w oddziale ogólnym na dniu 1 stycznia miał szpital chorych 475, w ciągu roku przybyło 5,892 chorych, razem więc było zapisanych 6,367. Z tego zmarło 895 osób t. j. 14,2^o/_o wypisało się 5,012, pozostało na rok 1886 osób 460. Średnio na dzień przebywało 372 osób. Koszt utrzymania chorego w tym oddziale sprawozdanie Rady miejskiej dobr. publ. oblicza tak: na żywność dziennie 15 kop. na aptekę 6,6 kop. na opał światło, odzież, bieliznę 29 kop. a razem na dzień 50.6 kop. czyli rocznie 184 rs. 69 kop. (w r. 1884 podano rocznie 184 rs. 83 k.). Utrzymanie więc jednego chorego na r. 1885 obliczono o 14 kop. tanięj niż w r. 1884. Średni czas pobytu chorego 21,3 dni.

W oddziale obłąkanych kobiet, na dniu 1 stycznia 1885 r. było 195, w ciągu roku przybyło 83, razem tedy 278, z tej liczby wypisało się 55, zmarło 18 t. j. 6,5^o/_o pozostało na rok 1886 kobiet 205 choć miejsc etatowych jest 200. Średni czas pobytu chorąg był 266,8 dni. Przeciętny koszt dzienny utrzymania jednej chorąg podaje sprawozdanie: 1) na żywność na ogólnym stole 16,6 kop. pensyonarze I i II kl. płacili 38.6 a III kl. 29,5 kop.), 2) na aptekę 4 k. (pensyonarze I, II i III kl. płacili 4,8 kop.), 3) na światło, opał, odzież, bieliznę i pranie 39,2 kop. (Dla czego tak drogo, kiedy w szpitalu żydowskim w oddziale obłąkanych w tej rubryce podano tylko 26 kop?) Pensyonarze I, II i III kl. płacili tylko o 3 kop. drożęj. I tu nie zachowano stosunku. Kto mógł płacić w kl. I i II stół o 132^o/_o a w kl.

III 81,50% drożej od stołu ogólnego, ten też winien w nieco wyższym stosunku opłacać ostatnią rubrykę, która jak widzimy, w stosunku do stołu ogólnego czyni w tym razie tylko 7,70%. A razem utrzymanieienne choréj na stole ogólnym podano na 59,8, gdy w szpitalu żydowskim, pozostającym tak samo pod kierunkiem administracyjnym Rady miejskiej, jak szpital Dzieciątka Jezus, podano tylko na 41,2 t. j. taniéj o 450%. Koszt więc roczny obliczono na stole ogólnym 218 rs. 27 kop. (w szpitalu żydowskim tylko 150 rs. 38 kop.) dla pensjonarzy zaś kl. III, 278 rs. 49 kop. a dla kl. I i II, 311 rs. 71 kop. od osoby.

W instytucie położniczym na dniu 1/I 85 było kobiet 7, w ciągu roku przybyło 328 razem więc 335 położnic, z tego wypisano 314, zmarło 11 t. j. 3,30% pozostało na r. 1886 położnic 10 (łózek etatowych jest 12 średnio na dzień przebywało 9,3 kobiet. Koszt dzienny utrzymania położnicy podaje sprawozdanie na 90,6 kop. (w oddziale położniczym szpitala żydowskiego tylko 39,5 t. j. o 1300% taniéj!!!) mianowicie na żywność 15 kop. (w żydowskim tylko 9 kop.) na lekarstwa 9 kop. (w żydowskim tylko 5,9), na światło, opał, odzież, bieliznę i pranie aż 66,6 kop. (w żydowskim tylko 24,6 t. j. o 1700% taniéj!). Koszt zaś roczny na położnicę obliczono na 330 rs. 69 kop. (w szpitalu żydowskim tylko na 144 rs. 17 kop.).

W Domu podrzutków na dniu 1 stycznia było dzieci starszych 104, w ciągu roku przybyło 127 razem więc 231; z téj liczby wypisano 137, zmarło 3 t. j. 1,30% pozostało na r. 1886 91 dzieci choć łózek etatowych było 88. Średni czas pobytu dziecka w Domu 148 dni.

Dzieci niemowląt na 1/I 1885 było 65, w ciągu roku przybyło 1,878 razem więc 1,943, z tego zmarło 318 t. j. 16,70% wypisano 1,534, pozostało więc na r. 1886 niemowląt 91, było zaś miejsc etatowych 188. Średnio na dzień było niemowląt 96,8, średni czas przebywania niemowlęcia w Domu 18,2 dni. Dzieci na mamkach po wsiach było na dniu 1/I 1885 r. 2,582, w ciągu roku przybyło 1,396, razem więc było 3,978, z tego zmarło 536 t. j. 13,40%, wypisano 588, pozostało więc na r. 1886-ty 2,854 dzieci, miejsc etatowych jest 3,200, dzieci zaś średnio było dziennie tylko 2,692,7 średni czas pobytu dla dziecka téj kategorii obliczono na 247 dni. Koszt utrzymania dzienny podano w sprawozdaniu a) dla niemowlęcia w zakładzie na 46 kop. rocznie na 167 rs. 90 kop. b) dla dziecka starszego w zakładzie na 38 kop., rocznie na 138 rs. 70 kop. i c) dla dziecka na wsi dziennie na 4,8 k. czyli rocznie 17 rs. 52.

Etat płacy rocznej zarządu i obsługi.

od lat kilku jest następujący:

Wydział gospodarczo-kancelaryjny.

- | | |
|--|-------|
| 1) Nadzorca szpitala Kulwicz mieszkanie i pensji rocznie rs. | 1,700 |
| 2) Naczelnik kancelaryi Henryk Dygat z mieszk. | 900 |
| 3) Gospodarz Tomaszewski | 700 |

4) Buchalter Maliszewski	rocznie rs.	650
5) Kasyer Napiórkowski	„	650
6) Sekretarz Soszyński	„	575
7) Trzech sekretarzy młodszych	„	1,370
8) Czterech kancelistów	„	1,320
9) Rządca domu	„	325
10) Dozorca chorych	„	250
11) Dozorca dzieci starszych	„	150
12) Dozorca gospodarstwa	„	120
13) Woźny	„	180
14) Szwajcar	„	120
15) Ogrodnik szpitala	„	100
	Razem	rs. 9,110

Pensya tego wydziału jest większa od płacy z r. 1870 o 2,705 rs.

Służba lekarska.

Oddział ogólny.

1) Lekarz naczelny dr. Fr. Kobyłański mieszkanie i pensyi rocznie	Rs.	1,200
2) „ pomocnik dr. Aleksander Dorantowicz	„	1,000
3) Starszy ordynator dr. Władysław Orłowski	„	600
4) Dwóch ordynatorów po 400 rs.	„	800
5) Trzech ordynatorów po 300 rs.	„	900
6) Trzech lekarzy miejscowych po 450 rs.	„	1,350

Oddział kobiet obłąkanych.

7) Naczelny lekarz dr. A. Rothe	„	500
8) Ordynator dr. Lubelski	„	600
9) Lekarz miejscowy	„	270

Instytut szczepienia ospy.

10) Dr. Polak	„	370
---------------	---	-----

Służba niższa lekarska.

11) Starszy felczer	„	250
12) Dwóch felczerów po 180 rs.	„	360
13) Trzech felczerów po 150 rs.	„	450
14) Pięciu felczerów po 120 rs.	„	600
15) Akuszerka-felczerka	„	300
16) „ starsza	„	375
17) „ pomocnica	„	100

Razem na 29 osób rs. 10,025

W roku 1870 skład służby lekarskiej stanowiło 30 osób z płacą ogólną roczną 7,155 rs.

Służba kościelna.

1) Kapelan ks. Ad. Łypacewicz misyon. od r. 1850 rocz.	Rs.	200
2) „ ks. Stan. Krynicki „ „ „	„	150
3) „ ks. Maks. Brzezickowski „ „ „	„	150
4) Siostr miłosierdzia 37, z nich starsza 60 rs. reszta 36 po 45 rs. rocznie	„	1,635
	<u>Rs.</u>	<u>2,135</u>

W r. 1870 personel tego działu składało 33 osoby z płacą roczną 1,220 rs.

Posługa domowa.

1) Mamek przecięciowo rocz. 60 (30—75) po 40 rs. rocz.	Rs.	2,400
2) 20 posługaczy po 60 rs. rocznie	„	1,200
3) 30 „ „ 45 „ „	„	1,350
4) 30 „ „ 40 „ „	„	1,200
5) 20 „ „ 32 „ „	„	670
6) 30 posługaczek „ 24 „ „	„	720
7) 30 „ „ 22 „ „	„	660
8) 70 „ „ 20 „ „	„	1,400
<u>290 osób</u>	<u>Razem</u>	<u>Rs. 9,600</u>

Ten etat jest najwyższy zwykle czyni on tylko 8,400 rs. rocznie. Tu widzimy osób 290 posługi, jest to liczba najwyższa, średnia zwykle na rok stanowi 200 osób. Mamek na wsi powinny być podług etatu 3,200, — nie ma ich jednak obecnie 900. W r. 1885 było na wsi 3,978 dzieci, ale przeciętna ich liczba stanowi 2,693. Z téj liczby było dzieci starszych nad rok, czyli tak zwanych garnuszkowych 2,020, reszta 673 przypada na dzieci piersiowe. Ogólny przeciętny koszt utrzymania dziecka na wsi sprawozdania Rady miejskiej podają na 17 rs. 52 kop., w szczegółach jednak każda mamka za dziecko przy piersi do roku otrzymuje 24 rs. rocznie, a za dziecko na garnuszkowy 16 rs. Niemowląt do roku było 673 płatnych po 24 rs., co czyni 16,152 rs., garnuszkowych 2,020 po 16 rs. co czyni 32,320 rs., a razem utrzymanie 2,693 dzieci na wsi kosztowało w r. 1885 rs. 48,474.

Oprócz pieniężnego wynagrodzenia, kapelanowie i siostry miłosierdzia, razem osób 40, mają w szpitalu stół, co kosztuje rocznie 3,000 rs. i 150 osób służby niższej, co kosztuje 8,100 rs. rocznie, a łącznie 11,100 rs.

Etat więc cały w r. 1885 był taki:

1) Zarząd i kancelarya osób 20 rocznie	Rs.	9,100
2) służba lekarska 29 osób	„	10,025
3) służba kościelna (3 kapelanów i 37 siostr)	„	2,135
4) „ stół dla nich	„	3,000
5) posługa domowa osób 290	„	9,600
stół dla nich	„	8,100

6)	673 niemowląt u matek wiejskich à 24 rs.	Rs. 16,152
7)	2,023 dzieci garnuszk. „ à 16 rs. „	32,320
Ogół etatu rocznego		<u>Rs. 90,432</u>

W r. 1881 przy przeciętnéj ludności dziennéj wszystkich oddziałów szpitala 609 i 3,507 podrzutek, rubryka „utrzymanie zarządu i usługi” wykazaną jest w sprawozdaniu na 82,660 rs. 2 kop.; w roku 1882 przy 574 chorych i 3.176 podrzutekach 75,865 rs. 66 kop., w r. 1883 na 596 chorych i 2,819 podrzutek 74,396 rs. 76 k., w r. 1884 na 580 chorych i 2,673 podrzutek 85,551 rs. 52 kop., wreszcie w r. 1885 na 585 chorych i 2,883 podrzutek (z tych 190 w zakładzie) rubryka ta wykazuje 94,176 rs. 92 kop.

Koszt ogólny utrzymania szpitala Dzieciątka Jezus w ciągu lat 1870 — 1885 uczynił 3,889,163 rs. 5 kop.; w poprzedniém 16-leciu, mianowicie w latach 1854—1869, szpital kosztował ogółem 2,396,015 rs.; zatem ogólny koszt wszystkich oddziałów szpitala w ostatnim okresie zwiększył się o rs. 1,493,148 kop. 5.

Ludność zaś szpitala w latach 1854—1869 była taka:

1. a)	chorych na różne choroby	131,378	
b)	obłąkanych kobiet	3,026	
c)	położnic	5,531	
d)	cholerycznych	725	140,660
2. a)	dzieci na wsiach	76,258	
b)	„ w zakładzie	19,197	95,455
3.	W salach zimowego przytułku do r. 1862 włącznie utrzymywano biednych	93,291	
4.	W instytucie poliklinicznym udzielano rady lekarskiej chorym	117,349	
5.	Udzielono bezpłatnie lekarstw osobom	58,072	
6.	Opatrzono bezpłatnie rannych	11,319	
Ogółem korzystało z funduszków szpitala osób			<u>516,146</u>

W latach zaś 1870—1885 było:

1. a)	chorych ogólnych	109,396
b)	podrzutek na wsiach	127,369
c)	„ w zakładzie	3,837
d)	kobiet obłąkanych	5,107
e)	położnic	5,047
f)	pomocy lekarskiej w ambulatoryum szpitalném udzielono osobom	79,864
Ogółem z pomocy lekarskiej i opiekuńczej szpitala korzystało osób		<u>330,620</u>

to jest mniej niż w okresie poprzednim 185,526 osób, a mimo to, jak widzimy, wydatki szpitala w tym samym czasie były większe o 1.493,148 rubli 5 kop.

A być niemi musiały, skoro na same budynki w ostatnim 16-leciu wydano 303,205 rs. 95 kop., gdy w latach 1854—1869 na ten cel wydano tylko 90,392 rs. A przecież ani z gruntu przebudowywać budynków, ani ich rozszerzać nie było potrzeby, bo Rada szczegółowa opiekuńcza szpitala wszystko to zrobiła, czego dowodem choćby to, że jeszcze w r. 1863 szpital w oddziale ogólnym miał 580 łóżek, gdy od r. 1870 ma ich tylko 500; — podzatków w samym zakładzie Rada opiekuńcza w latach 1854—1869 utrzymywała 19,197, gdy Rada miejska w latach 1870—1885 utrzymywała ich tylko 3,655, to jest mniej o 15,442 dzieci. Nadto Rada opiekuńcza w ciągu 16 lat leczyła chorych 140,660, gdy Rada miejska w swoim 16-leciu tylko 119,550 osób, t. j. mniej o 11,110 osób; oprócz tego za Rady opiekuńczej w ciągu 9 lat (1854 do 1862) szpital utrzymywał sale zimowe, które później od r. 1863 zastąpiono przytułkami, w których jednak znalazło schronienie 93,291 bezdomnych biedaków, czego już za Rady miejskiej nie było, a co licząc na osobę po 15 kop., mogło kosztować 1,500 rs. na rok. Jakże wreszcie nie miały wydatki tak niestosunkowo wzrosnąć, skoro sprawozdania Rady miejskiej w rubryce corocznych zaległości płatniczych (w latach 1870—1874 i w r. 1885), podały do wypłaty 457,920 rs. 92 kop., a w rubryce spłaconych długów (w latach 1870—1875) podały aż 562,789 rs. 20 kop., t. j. więcej niż należało spłacić o 104,868 rs. 28 kop., nie mówiąc już o niezwykłych różnicach w innych rubrykach, szczegółowo przezemie wykazanych.

Kończąc opis działalności Rady miejskiej w szpitalu Dzieciątka Jezus, którego długoletni kurator jest w tejże Radzie, jako jej członek drugą po naczelniku zakładów dobroczynnych w Warszawie osobą, — winieniem uzupełnić opis dawniejszego uposażenia szpitala, które Bartoszewicz a i ja za nim, w braku innych źródeł, podałem w zeszycie listopadowym w rozmiarach znacznie uszczuplonych. Otóż na podstawie sprawozdań Rady głównej opiekuńczej zakładów dobr. w Królestwie Polskiem z lat 1854—1869, uposażenie to jeszcze w r. 1860 było takie:

1) Dobra Kręczi i Kaputy, do których wcielono nabyty przez szpital majątek Umiastowo-Fałki, odległe o 2 mile od Warszawy miały obszaru oba folwarki ziemi dworskiej (szpitalnej) 574 m. 200 prętów (w r. 1870 i następnych miały już tylko 566 morgów). 2) Wsie czynszowe Kręczi i Kaputy obszaru ziemi włościańskiej 431 morg. 192 prętów. Majątek ten pomierzono, urządzono kolonialnie z oczynszowaniem włościan w r. 1852. Włościanie wsi Kręczi płacili rocznie szpitalowi 161 rs. 60 kop., a z Kaput optacali rocznie czynszu 337 rs. 50 kop. Folwark Kręczi dzierżawił wizytator ks. Misyonarzy od r. 1854 z terminem nieokreślonym, aż do zniesienia zakou w r. 1865, płacąc rocznie dzierżawy 1,000 rs.; folwark Kaputy zaś od r. 1853 do 1878 dzierżawił Edward Żuniewski, optacając szpitalowi dzierżawy 601 rs. Z tak wykazanych dóbr miał szpital dochodu 2,100 rs. 10

kop. rocznie. Według sprawozdania Rady Główniej opiek. zakładów dobr. w Królestwie Polskiem za r. 1865 do Tabeli likwid. zajęto dla włościan wsi Kręczi 14 m. 50 przętów za wynagrodzeniem 422 rs. 50 kop. a ze wsi czynszowej Kaputy tylko 1 morga 251 przętów za wynagrodzeniem 68 rs. 46 kop. Ogółem jednak r. 1869 przyznano szpitalowi 4,910 rs. 67 kop.

W obszarze tu wykazanym 1,006 morgów 92 przętów pozostawał majątek aż do r. 1868 wyłącznie. Dopiero w sprawozdaniu za r. 1869, widocznie po uwłaszczeniu włościan, wykazano go w obszarze 566 morgów, a nadto uwidoczniono w żadnym ze sprawozdań nie wykazany „folwark” Bugaj z przestrzenią 210 morgów, z dochodem rocznym 157 rs. 50 kop., a oszacowany na 3,150 rs. Z którego 7½ m. odpadło na uwłaszczenie włościan za które podług tabeli likwidacyjnej miał szpital otrzymać 150 rs. Cóżby to mógł być za „folwark” tak nizko szacowany z tak małym dochodem, jeśli folwark Kaputy mniejszy od niego, podany był w tym samym roku na 12,020 rs. z dochodem dzierżawnym po 601 rs. (od r. 1854 do 1878) rocznie. To chyba błąd co do nazwy „folwark,” której już w sprawozdaniu za rok 1870 nie użyto, ale powiedziano tam 7 osad „na Bugaju,” a to już znaczna różnica.

2) Posiadłości miejskie: a) Kamienice od Placu Wareckiego i ul. Marszałkowskiej oznaczone n-rami 1353, 1335 i 1397, stanowiące jedną całość, w obszarze 144,484 kw. łokci, z czego na same ogrody przypada 7 morg. 160 przętów. Gmach ten cały z trzech złożony oszacowano na 370,157 rs. 18 kop. i w tym szacunku od roku 1869 pozostaje. b) Kamienica przy ul. Ś-to Krzyżkiej i rogu Jasnej 2 piętrowa nr. 1237b, obszaru 4,270 kw. łokci mająca, z zapisu hr. Rozalii Wacławowej Rzewuskiej od r. 1864, pierwszy i ostatni raz w r. 1869 w sprawozdaniu uwidoczniła w szacunku na 49,025 rs.,— zapisana na utrzymanie sali dla rekonwalescentów przy szpitalu Dzieciątka Jezus. Dopiero z rokiem 1870 posiadłości wiejskie i miejskie szpitala zeszyły do tych rozmiarów, w jakich je poprzednio podałem.

Instytut św. Kazimierza

na Tamce pod nr. 2858.

Założyła go Marya Ludwika, królowa polska, i na cześć małżonka swego Jana Kazimierza czei św. Kazimierza go poświęciła. Zakład ten powstał wkrótce po sprowadzeniu z Francji przez Maryę Ludwikę Sióstr miłosierdzia, i miał być przeznaczonym wyłącznie na szpital. Z czasem jednak, gdy wzrosła potrzeba obsługi nowopowstających szpitali w prowincjach Polski, siostry na Tamce przestały przyjmować chorych, a natomiast urządziły nowicyat i seminarjum dla panien nowowstępujących, a obsłudze chorych poświęcić się pragnących. Ale nie dość tego. Ponieważ akt fundacyjny Maryi Ludwiki nazwał dom

naszych sióstr „szpitalem na ubogie sieroty,” więc téż siostry, wynagradzając ubytek szpitala dla sierot, postanowiły na jego miejsce założyć u siebie przytułek wychowawczy dla sierot, i odtąd „szpital św. Kazimierza” stał się Instytutem. Zmiana ta zaszła w r. 1670, t. j. w 19 lat po osiedleniu się sióstr w Warszawie. Sam zaś dom w r. 1660 z początku drewniany na gruncie folwarku Kałęczyn, pod Warszawą nad Wisłą przy miasteczku Solcu leżącego (obecnie cyrkuły miejskie VII, VIII, X i XI) zbudowano. Dopiero w r. 1699 arbp. gnieźnieński kardynał Radziejowski, Mikołaj Święcicki bp. poznański i Misyonarze warszawscy, pod przewodem swego wizytatora ks. Bartłomieja Tarły, późniejszego bpa poznańskiego, dopomogli Sioström miłosierdzia wymurować dzisiejszy gmach z kaplicą. Fundatorka, chcąc utrwalić byt dla swój szlachetnej fundacyi, oprócz gruntów, należących do wspomnianego folwarku, kupiła jeszcze za własne pieniądze dobra Pęchery, w ziemi Czerskiej położone, o mil trzy od Warszawy z folwarkami Runów, Rogatki, Grochowo, Wólka i Jazgarzew, oraz 30,000 rubl. przeznaczyla na kupno folwarku Łbiska, który dopiero w r. 1832 w dniu 9 kwietnia stał się własnością Instytutu jako dar Najjaśniejszego Cesarza Mikołaja I. Tak uposażony dom warszawski na Tamce stał się metropolią, rozsądnikiem dla wszystkich domów Sióstr miłosierdzia w prowincjach Polski powstałych i tu wszystkie wychowanie swe duchowe odbierały, ztąd na kraj cały się rozchodziły. W r. 1794 miały Siostry miłosierdzia 34 szpitale w Polsce dawnymi granicami objętej. Do r. 1842 były nieograniczonemi dyspozytorkami swych fundusów, odtąd zaś, gdy im zarząd majątkami odebrano, mają tylko staranie o chorych, trudnią się wewnętrzném gospodarstwem w szpitalach, -- i po ochronach dozorują dzieci sieroty.

Pragnących poznać szczegóły z dziejów tego zakładu i tych sług bożych, poświęcających siły w usłudze nędzy i niedoli ludzkiej, wychowujących nowe ofiarnice, lub na drogę wieczności w modlitwie się przygotowujących, odsyłam do pracy d-ra Jana Filipa Kuleszy w „Rysie hist. stat. szpitali” zawartój.

Biuro nędzy wyjątkowej założył w r. 1870 Cyprian Lachnicki wspólnie z pułkownikową Piłsucką, po śmierci których przed laty kilku przeszło pod opiekę Sióstr miłosierdzia, przy Instytucie św. Kazimierza. Celem jego jest wskazywać miłosierdziu publicznemu rodzinny sposób do życia pozbawione. Biuro to w okresie nas obchodzącym otrzymało na wspieranie takich rodzin 28,603 ruble. Największym zapisem jest znowu, co i wyżej, Zofii Chełmickiej w sumie 15,000 rubli z r. 1883, drugi z kolei co do wielkości jest zapis Leopolda Wroczyńskiego z r. 1882 w sumie 3,000 rs., następnie Wilhelma Knolla z r. 1873 w sumie 1,000 rs. W r. 1879 Konst. Giejsztorowa, Piotr Bardziński i August Popławski zapisali po 1,000 rs. — t. j. 3,000 rs. W r. 1884 Lucyan Wojniłowicz 1,000 rs., reszta zapisów od 50 rs. do 500 dochodziła.

(c. d. n.).

NA SZEROKIM ŚWIECIE.

POWIEŚĆ.

NAPISAŁ

S e w e r *).

VII.

W kwadratowej sali drezdeńskiej galeryi obrazów przed narodzinami Chrystusa Coreggia, stał młody człowiek, do tyła zapatrzony w arcydzieło, że nie widział wejścia dwóch kobiet, które również stanęły przed tym samym obrazem i również zachwycone patrzyły. Nie słyszał szelestu sukien jedwabnych, tak był oczarowany światłem promieniejącem od narodzonego Dzieciątka, pięknnością Jego Matki i radością pastuszków.

Zaledwo dźwięk mowy polskiej zdołał go zbudzić. Spojrzał, skłonił się z uszanowaniem i z grzecznością, cechującą polaków, zrobił miejsce damom.

Matka i córka podziękowały mu skinieniem głowy, nie odrywając oczu od obrazu.

Młody człowiek zwrócił się do drugiego obrazu Coreggia, przeszedł do Carravagia i Tycjana, obejrzał się dwa razy i znikł we drzwiach drugiej sali na prawo. Zbliżył się do Maryi Egipcjanki na puszczy Ribery i Anioła okrywającego ją płótnem. Patrzył zachwycony, a mimo to łowił uchem szelest jedwabnych sukien. Był pewny, że obrał dobre stanowisko i dla tego nie ruszał się z miejsca

*) Ciąg dalszy — patrz zeszyt za m. marzec b. r.

Szelest jedwabnych sukien doszedł do jego uszu, lecz taktyka kazała mu nie oglądać się. Nieznajoma a prawdopodobnie matka i córka zatrzymały się przed Madonną Murilla i okrążając salę musiały przystanąć przed arcydziełem hiszpańskiego mistrza. Młody człowiek i młoda dziewczyna patrzeli razem na okrągłą twarzyczkę i delikatne dziewczęce ciało, które anioł płótnem okrywa.

Mimo świętości ciało pełne i mięko traktowane, twarzyczka niewinna, lecz nie bez cienia kokieteryi, zniewoliły młodą kobietę do spuszczenia oczu w obec świadka, również młodego. Odwróciła się. W górze na przeciwległej ścianie „Danae” Van Dyka. Stara kobieta rozciąga fartuch aby chwycić złoto...

Odeszła,—matka postępowała za nią, młody człowiek patrzył za odchodzącą, śledził jej ruchy, obejmując całą postać wzrokiem zaciekawienia i sympatyi.

Kobiety wróciły do kwadratowej sali, usiadły na kanapie i widocznie zmęczone odpoczywały. Młodsza położyła obok siebie oprawny w czerwoną skórę katalog, zaplotła ręce i oczy zmrużyła. Matka wpatrywała się w nią pieszczotliwie. Z drugiej sali przez otwarte podwoje również wpatrywał się w nią młody człowiek. Ciekawość jego wzrastała.

Po długiej chwili odpoczynku powstały i nie zatrzymując się dłużej odeszły. Na kanapie został w czerwoną skórę oprawny katalog. Młody człowiek zobaczył go, podszedł szybko i usiadł na tem samym miejscu, a że nikogo w sali nie było wziął katalog, przeglądał go, szukając podpisu. Nic nie znalazł, zabrał go z sobą i poszedł tą samą drogą, którą wyszły panie.

Widział je jak schodziły po wielkich marmurowych schodach, jak odbierały parasolki, jak młodsza podała ramię starszej i przez otwarte drzwi wchodowe zwróciły się na prawo w stronę Zwingeru.

Młody człowiek pogonił za nieznajomymi.

Panie usłyszały przyspieszony chód, stanęły i odwróciły się. Młodzieniec zmieształ się nieco—uchylił kapelusz.

—Przepraszam za gwałtowną pogoń, lecz zaledwo przed chwilą spostrzegłem zgubę. Mówiąc to oddał książkę.

—Jakim sposobem domyśliłeś się pan w nas polek,—rzuciła pytanie Zosia w miejsce banalnego podziękowania.

—Najprostszym w świecie. Słyszałem mówiące panie po polsku, a nawet gdybym nie słyszał, posiadam wspólną nam zdolność odgadywania rodaczek. Polki, szczególnie w Niemczech,—przebacz pani za pospolitość porównania, to prawdziwe królowe.

Dziewczę spojrzało na niego.

—A gdzie indziej—rzuciło pytanie.

—Jesteśmy w Niemczech, gdy panie zobaczę w innym kraju...

—Zmienisz pan zdanie.

—Nie wiem, lecz będę mógł w tym przedmiocie wyrobić je sobie.

Rozmowa przeciągnęła się tak długo, że wypadało młodemu człowiekowi przedstawić się.

— Czesław Sosnowski—powiedział nieco zakłopotany.

— Jesteś pan naszym sąsiadem, rzekła serdecznie matka.

— Pozyskałeś sympatyą ludu, dodała Zosia i to do tego stopnia, że włościanie mają żal do pana za to, że „światami gonisz.“

Czesław się uśmiechnął.

— Pani ma wyborne informacje.

— Zwyczajnie ciekawa sąsiadka.

— Szczególnie, że się poznajemy w Dreźnie, powiedziała matka z pewną wymówką.

— Nie miał mnie kto zawieść do Zalesia—i...

— Dokończ pan—nalegała Zosia.

— Dla zwyczajnego wioskowego posiadacza, pałac robi zawsze nieco odstrasżające wrażenie.

— Nie wiedziałam o wrażeniach posiadaczy wiosek, czyż można mieć pojęcie o ich wrażeniach.

— Pobijasz mnie pan swoją logiką.

— Zagranicą, mówił młody człowiek, różnice zacierają się, wytwarza się u nas poczucie rodzinne. Wreszcie stajemy w jednych hotelach i temi samymi pociągami jeździmy.

— I zapominamy o urojonych różnicach między pałacem a dworem.

— Raczéj o różnicy trzech tysięcy morgów, a trzystu.

— Masz pan dokładniejsze wiadomości w tym względzie odemnie. Nie wiedziałam, że jestem dziedziczką trzech tysięcy morgów. Mamo czy to prawda?

— Z lasami z pewnością—poświadczyła matka z odcieniem zadowolenia.

— Licząc po dwieście guldenów morgę, stanowi okrągłą cyfrę sześććróć sto tysięcy, dwakróć sto tysięcy nadwyżki w wartości lasów, a do tego dwakróć w banku, mamy okrągły milion. I otóż jesteś pani milionową panną.

— A pan wyborynym rachmistrzem. Lecz do czego to prowadzi?

— Do oznaczenia majątku pani, a przeto i droga z Niedzwizdzy do Zalesia zbyt się wydłuża.

— Czy pan miałeś zamiar przyjeżdżać w roli konkurenta?

— Ludzie mogliby mnie posądzić i nazwać myśliwym na wielkie posagi.

— Nadzwyczajnie pan dbasz o sąd ludzki.

— Nie tyle, ileby mi było przykro, gdybyś pani podzielała opinie ludzi.

— Nie byłbyś pan w stanie zakochać się we mnie do tyła, że nie zważałybyś na sądy ludzkie i moją opinią?

— Zosiu, co ty nie wygadujesz—zawołała matka.

— Mówię to, co myślę, mam nadzieję, nie zgorzszysz się moją otwartością.

— Dziękuję pani za zaufanie. Co do mych uczuć, obawa o utratę spokoju, kazała mi unikać Zalesia.

— Odpowiedź zbyt konwencyonalna, komplement pomijam.

— Odpowiedź jest wprost na pytanie. Tem więcej, że pani masz opinią w swych rodzinnych stronach...

Zatrzymał się.

— Obawiasz się pan dokończyć.

— Nie pani, tylko trudno mi na razie dobrać wyrazów.

— W obec mody „naturalizmu“ i „prawdy eksperymentalnej“, należy się wystrzegać zbyt subtelnych ich doboru.

— Nie jestem zwolennikiem tej mody i nie umiem ocenić jej piękności.

— A zatem dobieraj pan najidealniejszych zwrotów, byleby dobrze malowały rzecz. Ciekawa jestem, jaki sąd wydały o mnie rodzinne strony.

— Ekscentryczność pani przechodzi u nas w legendę, jej duma w przysłowie, arystokracja...

— Jest i arystokracja—w cóż takiego?

— Brak mi niestety porównania.

— Przekonywałeś się pan że porównaniami nie można ciągle wojsować. Daleko lepiej powiedzieć odrazu arystokracja pani jest nieznośna i raczej staje się arogancją...

— Przepraszam tego nie słyszałem. Mówią, że królową pani nie możesz być, księżną nie chcesz—jesteś Zofią Zapolską, uczoną jak mędrzec grecki, zimną jak lód, niedostępną jak cesarz japoński i dla tego przekładasz towarzystwo ludu nad towarzystwo naszej okolicy. Przekonywałeś się pani, że jestem szczerzy.

— Opinia ta trzymała pana zdaleka od dworu w Zalesiu.

— Przedewszystkiem nieśmiałość moja.

— I nie byłeś pan tyle ciekawy, aby poznać tę legendową postać?

— Przebacz, lecz wzięłem panią za milionerkę, rozpieszczoną i rozkapryszoną, dla której zwyczajne ścieżki żywota są zbyt pospolite.

— I dla tego chodzę nadzwyczajnemi.

— Ztąd źródło ekscentryczności pani.

— Której pan nienawidzi.

— Tego nie powiem, lecz przyznaję, że zużywa dużo fantazji, może za dużo dla chwilowej rozrywki. I gdyby siły te skierowane były na inne drogi, do innych celów...

— Jak dogadzanie kaprysom — przerwała Zosia — to..

— Byłoby lepiej dla nas, myśleć o całej okolicy, a bezpieczniej dla pani.

— Jest i niebezpieczeństwo.

— Niezawodnie, bo przecież bezpieczeństwem nie można nazy-

wać rzucanie się szalonym pędem konia z wysokiego brzegu w nurty rzeki.

Matka przymrużyła oczy nerwowo ze strachu i zbladła. Samo wspomnienie sprawowało jej dreszcze.

— Pan lubisz chodzić dobrze utartymi ścieżkami — rzuciła pytanie Zosia, nie ukrywając złośliwości.

— Są wygodniejsze — odpowiedział Czesław spokojnie. — Sądzę że i pani, mając do wyboru między złą a dobrą drogą, wybierzesz dobrą, jeżeli obie prowadzą do jednego celu.

— A gdyby prowadziły do różnych celów?

— To znowu inna kwestya.

Matka podczas rozmowy śledziła ruchy, uśmiech i wyraz twarzy młodego człowieka ze wzrastającą sympatją. Opinie jego były jej opiniami, tylko nie miała odwagi wypowiadać ich głośno w obec córki ze stanowczością i śmiałością, z jaką słyszała teraz wypowiedane.

— Czy mam być równie szczerą — spytała Zosia.

— Proszę panią.

— Zachwyca mnie pańska trzeźwość i niewzruszona logika.

— Czy trzeźwość może być zbytęzną?

Zosia rada była powiedzieć:

— Może być nieznośną, lecz — powiedziała — budującą.

Rozmawiając obeszlą Zwinger, plac teatralny i brzegiem Elby dostali się na Brühlowską terasę. Zdaleka widać było góry Saskiej Szwajcaryi, na dole ruch i życie — w porcie wielkiej rzeki i stolicy Sasów.

Zosia patrzyła na wspaniałą rzekę ginącą w załamie i na góry, ciemne od lasów świerkowych, kąpiących się w mgłę niebieskawej.

— Któryż pan z tych widoków przekładasz — rzuciła pytanie. — Czy ten w górze na skłonie widnokręgu, czy na dole — wskazała na przystań.

— W górze są widoki dla marzycieli, tu w dole dla ludzi pracy, dla trzeźwych — dodał z przyciskiem.

— A ponieważ pan należysz do trzeźwych...

— Przekładam ten na dole, pełen zmian, rozmaitości i przejawów pracy ludzkiej. Tam wieczny sen, słońce tylko ożywia i stroi drzemiące lasy i milczące góry. Piękność ich jest na łasce światła. Tu jest samodzielność, życie tryska, namiętności waleczą, siła się wyteża. Rodzajowe obrazy mają często wysoką wartość estetyczną, a obraz rozwijający się pod naszymi stopami posiada tę jeszcze zaletę, że mówi o bogactwie społeczeństwa.

— Mówi: żyć, aby jeść.

— Lub przeciwnie — pochwycił młody człowiek.

— Czyż to nie wszystko jedno?

— Nie pani, nie wszystko jedno. Według moich pojęć, jeżeli mamy ochotę żyć i powinniśmy żyć, zadaniem naszym starać się, abyśmy mieli co jeść.

— Podzielam w zupełności opinie pańskie — zabrała głos matka.

— Dwóch wielkich praktyków mama i pan, gdy sobie podacie ręce, pokonacie mnie. Jesteście trzeźwi, umiecie liczyć, znacie wartość bogactwa i dla tego cofam się przed walką. Nie mamy nawet wspólnego gruntu, na którym moglibyśmy walczyć, jak również nie zgadzamy się w pojęciach. Jako sprzymierzeniec podaj pan ramię mamie i prowadź nas do miejsca, gdzie stoją dorożki, jesteśmy zmęczone. Zwiedzać galerie to praca, piękne widoki nie tyle nużą.

Młody człowiek spełnił żądanie z pewną skwapliwością, której ukryć nie umiał.

Zosia zamyślona szła naprzód. Matka jej ze swym towarzyszem prowadziła rozmowę o szczęściu narodów bogatych.

Przy odjeździe Zosia podała mu pożegnanie rękę młodzieńcowi.

— Mamy łożę na dzisiejsze przedstawienie w operze. I jeżeli przez dzień nasycisz pan wzrok rodzajowemi obrazami, mówiącemi o bogactwie Sasów a słuch wrzaskami ich, może zechcesz zobaczyć idealne obrazy na scenie i usłyszeć piękną muzykę.

— W tak sympatyczném towarzystwie podwójną będę miał rozkosz.

— Komplementa pańskie przypominają mi... Czy mam być szczerą?

— Zawsze.

— Naszą okolicę. Do widzenia, łoża numer siódmy na parterze.

Zanim młody człowiek zdobył się na odpowiedź, sas zaciął konie i za chwilę powóz znikł w bramie królewskiego zamku.

— Piękna jest ta milionerka — mówił do siebie, idąc brzegiem rzeki. — Jakaś dziwna, rozkapryszona, przy wielkiej dozie racjonalizmu wyidealizowana. Zwyczajnie milionerka i jedynaczka. Mimo to, posiada czar w uśmiechu, głosie, spojrzeniu, w pytaniach i odpowiedziach, w zuchwalstwie swoim i oryginalności. Czesławie, miej się na baczności. Może byłoby lepiej, gdybyś zwinął manatki i uciekł... Nie mów tego, bo wiesz, że nie zrobisz. Siódmy numer, łoża parterowa, pójdziesz i trzeźwość twoja dostanie zawrotu. Milionerko i po cóż zostałaś katalog, a ja dla czego go odnosiłem? Gdybym wiedział, że to ona, gdybym wiedział, że to milionerka z Zalesia... Gdybyś to wszystko wiedział i mimo to poszedłbyś i nie chwał się przynajmniej przed sobą samym swą trzeźwością i mężstwem.

Po obiedzie w hotelu Wiktorya, gdy kobiety znalazły się w swoim apartamencie, matka zdobyta się na odwagę i zapytała:

— Cóż powiesz Zosiu o naszej nowej znajomości. Sympatyczna postać, w miarę poważny i spokojny.

— Prawda, wszystko to prawda, lecz przyznam się mamie, że robi on na mnie wrażenie zbyt porządnego młodzieńca. Znadto porządny człowiek, tyle mogę o nim dziś powiedzieć.

— Nie rozumiem cię.

— A ja nie umiem lepiej określić mych wróżen.

— Zosiu ostrzegam cię, jeżeli ci się nie podoba, nie ośmielaj go zbyt, aby się nie powtórzyły plotki krakowskie.

— Droga mammo, czyż ja mogę zmienić swe usposobienie, swój sposób bycia, swe wyobrażenia dla plotki? Mimo wszelkich plotek muszę być sobą.

— Cokolwiek powiesz o tym młodym człowieku, ze wszystkich, którzy cię otaczali, ten jest dla mnie najsympatyczniejszy.

— Aż tak? to może, jak na pierwsze spotkanie, za wiele.

— Nie zawiele, bo przedewszystkiemi ma on w obec ciebie odwagę powiedzenia swego zdania i bronięcia go.

— To w obec mnie trzeba mieć odwagę?...

— Niezawodnie, zteroryzowałaś matkę, a teraz teroryzujesz wszystkich, którzy się tylko poddadzą twój woli

— Czy despotyzm mój bardzo ci cięży — mówiła tuląc się do matki.

— Znoszę go cierpliwie i temu jedynie zawdzięczam twoją łaskę. Lecz biada tym, którzy stawiają opór. Młody człowiek, jeżeli ma zamiar pozyskać twoje serce, źle się wziął do rzeczy. Jego pewność siebie, odwaga i spokój, drażnią cię, a trzeźwość poglądów odpycha od niego. Nie mogąc mu nic zarzucić, dziwnie go nazywasz: nadto porządnym.

— Tak droga mammo, on robi wrażenie nadto porządnego. Mama widocznie przepada za porządnymi do zbytku i dla tego broni go świetnie. A broniąc go musi potępiać córkę. Nigdy na to nie pozwoli, aby on był maminy dzieckiem. W tej chwili nastąpiłaby koalicja przeciwko mnie, byłabym teroryzowana, a kto wie, czy nie maltretowana. Dopiero byście gospodarowali, liczyli, sprzedawali a mnie...

— Cóż tobie, moje dziecko, mów otwarcie.

— Zawojowana, trzymana w kurateli, osadzona w Zalesiu spędziłabym smutne i samotne życie.

— Szkoda, że się nie mogę porozumieć z młodym człowiekiem. Powiedziała bym mu, nie tędy droga do serca mojej córki.

— A gdyby się spytał, pani wskaż mi ją, jeżeli błędę.

— Droga pokory, uległości względem kaprysów, zachwytu i podziwu. Do tego dużo fantazyi i wiele wielkich planów.

— Prawda, protegowany mamy nie ma w sobie cienia fantazyi, nie z poezyi, nie jest zdolny do niczego się rozentuzymować. Jestem pewna, że nie zna koloru moich oczu, lecz za to dokładnie przedstawił stan mego majątku.

— Mylisz się, moje dziecko, nie spuszczał cię z oczu w chwili, gdy się wpatrywałaś w góry Saskiej Szwajcaryi. Sądzę, że nie jest bez fantazyi, gdyż ma poczucie piękna. Widziałaś, z jakim zachwytem patrzył na arcydzieło Coreggia?

— Być może, że obliczał perspektywę, która u Coreggia nie jest świetną.

— Gotowaś wszystko złe w nim widzieć.

— A mateczka wszystko dobre. Niedługo mamusia go zrobi bohaterem oszczędności i porządku. Bohater porządny! Mamo, to będzie coś osobliwego, to będzie coś wytwornego — rozśmiała się i podbiegłszy do matki pocałowała ją w czoło.

Była ożywiona i wesoła. Obcy świat, arcydzieła sztuki, nowe wrażenia dobrze podziały na jęj usposobienie. Nie zajmowała się młodym człowiekiem, nie myślała o nim, chociaż parę razy stawał jęj przed oczami i odsunięty powracał. Pewno skutkiem ciągłego powrotu ubrała się do teatru skromnie, lecz wykwintnie i nie bez cienia kokieteryi. Skromnie, aby się nie przedstawić jako milionerka, a delikatny odcień kokieteryi miał na celu zimnego rachmistrza opanować i upokorzyć. Nie myślała o tém głośno, lecz instykt kobiecy tak jęj kazał i usłuchała go.

VIII.

Na scenie nieśmiertelny Faust Gounoda. Dziewcze w łoży miało na sobie suknię koloru błękitu nieba, białą zarzutkę i białe róże we włosach.

Po skończonym pierwszym akcie odchyliły się pocichu drzwi, wszedł młody człowiek we fraku i białym krawacie. Zosia zaledwo dostrzegalnym uśmiechem spojrzała na matkę, witającą go serdecznie.

— Nie spóźniłeś się pan przecie, a już zaczynałam pana żałować. Niezawodnie ciekawy pan jesteś dla czego? Nie opuszcza się nigdy pieśni miłości, chociażby na scenie.

— Jeżeli nas na nią nie stać w życiu — odpowiedział.

— Czy pana byłoby na nią stać?

— Nie wiem pani. Nie doświadczałem tych rozkoszy.

— Czasem są one cierpieniami.

— Zawsze są to cierpienia rozkoszy. Może się źle wyraziłem, mimo to, zdaje mi się, że jestem zrozumiany.

Dziewcze spojrzało na niego swemi dużemi czarnymi oczami — matka, zdawało się, że tryumfuje. Batuta kapelmistrza uderzyła o budkę suflera raz, potem drugi, kurtyna cicho się podniosła i rozpoczął się akt pieśnią młodzieńczego Zybła, zrywającego kwiaty dla ubóstwianej.

— Czybyś pan był zdolny do miłości Zybła — rzuciła pytanie Zosia, przechylając się ku młodzieńcowi po skończonej pieśni i oklaskach.

— Zdaje mi się, że to mój los w przyszłości — odpowiedział cicho, nie bez drżenia w głosie.

Drżenie głosu podziały na dziewczynę i lekko ścisnęło jęj serce.

— Dobrowolnie skazywać się ze świadomością?...

— Fatalizm, w który mimowoli zaczynam wierzyć.

Ukazanie się Mefistofelesa z Faustem, mocne tony orkiestry, przebrały rozmowę. Oczy i słuch ludzi wypełniających po brzegi teatr,

zwróciły się na scenę. I rozpoczęły się dzieje serc tyle razy widziane, powtarzające się wiecznie na świecie, a zawsze nowe, świeże, urocze; zapierające oddech, tém więcej, że muzyka pięknnością czarowała, a Faust i Gretchen kołysali myśli, łagodzili nerwy, budząc pragnienia miłości i tęsknotę za szczęściem.

— Dla czego nie jestem tyle naiwna co Gretchen, nie umiem wierzyć jak ona i kochać jak ona. Dla czego ja szukam nadzwyczajnych ludzi, jak gdyby miłość pragnęła nadzwyczajności. Może szczęście moje jest obok mnie.— Obejrzała się. Młody człowiek poważny, zamyślony, miał utkwiony wzrok w scenę, zasłuchał się i nie zobaczył spojżenia.

Odrzuciła głowę, śpiew Fausta namiętny, tkliwy, przejmujący, wstrząsał jęj sercem, śpiew Gretchen upajał. Wszedł księżyc — kochanek odchodzi, Mefisto zatrzymuje go. Otworzyło się okno pokoiku Gretchen i pieśń tęsknoty i żalu wypełniła salę.

Zosia odrzuciła głowę, nie chciała patrzeć na słabość swego rodu, gniewało ją to i oburzało.

Po zapadnięciu kurtyny uczuła ból głowy i roztrój nerwów. Przed oczami jęj biegały ciemne płatki, zbladła, podała rękę matce i zwracając się do towarzysza, odezwała się z uśmiechem, wychodząc z łoży.

— Milionerka jest jeszcze wielką parafianką, nie potrafi wysłuchać jednej opery od początku do końca. Nerwy wypowiadają jęj posłuszeństwo i wśród świetnej wystawy i czarującej muzyki, zaczyna tęsknić za Zalesiem, ponurym parkiem i zupełnie niezachwycającemi okolicami.

— A więc wracać — odpowiedział młody człowiek ze źle utajoną radością.

— Jeszcze nie czas — mówiła zamyślając się.— Wrócę wtedy, gdy będę pewna, że za światem, za tém, co on daje i co dać może, już tęsknić nie będę. Niezawodnie pan, jako wielki zwolennik logiki, odpowiesz mi, że świat daje tyle różnorodnych rzeczy. Ja zaś panu powiem, że aby za tym światem przestać tęsknić, trzeba go poznać dobrze. Świat to Mefisto, a my jesteśmy albo przez niego zawojowani Fauści, albo oszukane Gretchen. Goethe, to sylogizm rozumu, anatom, duchowy ojciec Bismarka, matematyk — musisz go pan kochać?

— Nie pani, nie kocham.

— Podziwiać, bo pewno jeszcze kochać nie nauczyły pana dobre lub złe jego wróżki.

Służący hotelowy zatrzaskał drzwiczki remizy i skoczył na kozioł. Karetka zniknęła wśród szeregu latarni, młody człowiek stał na miejscu zamyślony. Wołania woźnicy nadjeżdżającego powozu i parskania koni zbudziły go. Odskoczył w bok i sam, nie wiedząc o tém znalazł się na wyniosłym brzegu rzeki.

Szedł powoli ze spuszczoną na dół głową, na „Brühlische Terasse“, stanął w tém samym miejscu, w którym przed paru zaledwie godzinami

mi rozmawiał z Zosią, patrzył na ciemne nurty rzeki i na jej powierzchni migoczące światełka. Nie wiedział sam o czém myśli, co mu jest i czego chce. Zimno przejęło go, dreszcz przeszedł po ciele i ocucił z zadumy. Powrócił do teatru, usiadł na miejscu Zosi i patrzył na scenę.

Gretchen w więzieniu zakuta w kajdany.

— Poznała świat i pewno już za nim nie tęskni — pomyślał.

Zjawienie się kochanka i walc czarujący wspomnieniami zgąste-go szczęścia i miłości, kołysał go i rozmarzał, tragiczność obrazów denerwowała. Zniknęło więzienie, aniołowie unoszą Gretchen do nieba, harfy śpiewają jej pieśń pożegnania.

— Poznała świat i pewno za nim nie tęskni — powtórzył. Wdział kapelusz z zamachem rezygnacyi, odebrał okrycie, zarzucił je na ramiona, przebiegł szybko schody i nie patrząc na nic i na nikogo znikł w ciemnych alejach Zwingeru.

— Czego ona odemnie chce. Czego chce od ludzi, świata, życia — zadawał sobie pytanie, nie znajdując na nie odpowiedzi.

Niezawodnie nie wie sama, czego chce, zawyrokował po długim namyśle. Młode serce pragnie kochać, kipiące w niej życie radeby rzucić się w wir walki, nie wie, którędy iść, jaką drogę wybrać. Wrażliwa natura gniewa się, szarpie i czaruje ludzi swym gniewem, piorunami złego humoru i zmiennością usposobień.

Stanął. Należy sobie postawić jasno pytanie i na nie odpowiedzieć. Czy ty ją kochasz? Nie wiem — powiedział głośno, lecz serce szeptało mu. Boisz się mówić tego głośno, co na dnie twego serca drzemie. Boisz się budzić i do życia powoływać uczuć, które cię powoli lecz stanowczo opanowują.

Czy się będziesz starał o jej rękę formalnie i urzędownie?...

Nie, nigdy — nie mogę być zdedycowanym konkurentem milionerki.

Czy masz nadzieję, że ona cię pokocha i zostanie twoją żoną?

Na to pytanie serce zaczęło mu bić.

Nie mam nadziei, zawołał. Nadzieja byłaby zuchwalstwem i niedorzecznością... Na dnie serca i w głębiach jego mózgu kryły się zaprzeczenia, lecz w obec woli nie śmiały wydobywać się na jaw, brakło im sił, bały się energii i trzeźwości młodzieńca.

Długo się błąkał po parku, przypominając sobie wyrazy i spojrzenia dziewczyny. Białe róże w czarnych włosach, oczy pełne tęsknoty i czoło rozumne, zamyślane, prześladowały go. Nie mógł ich zapomnieć, nie mógł się uwolnić od nich.

IX.

Nazajutrz przed samém południem rozmarzony i nieśmiały wszedł do hotelu „Wiktorya“ i kazał się zaauonsować paniom.

— Trzeba być dobrze wychowanym — powtarzał na schodach — i oddać wizytę, jeżeli poznałem i zostałem jak dobry znajomy przyjęty.

Ciekawy jestem, jaka ona jest u siebie w domu. Wyniosła, dumna...

Nie dokończył, służący otworzył drzwi i młody człowiek znalazł się w salonie naprzeciw matki, która go serdecznie witała.

— Przychodzisz pan w samą porę. Robimy wycieczkę do Saskiej Szwajcaryi, pragniemy być w Pirna lub na szczycie Königsteinu, a że nie mamy tu nikogo znajomego, liczyliśmy troszkę na pana. Litwini sąsiadów w jednym powiecie nazywają powietnikami i uważają za krewnych. Przypominam panu wczorajsze jego wyrażenie, że dopiero zagranicą przychodzimy do przeświadczenia, że należymy do jednej rodziny — i tém tłómaczę moję szczerłość względem pana.

Weszła Zosia ubrana do podróży z przewieszoną na pasku lornetą i długą, okutą laską, w okrągłym kapeluszu i w krótkiej, granatowej sukni. Nie było na nią widać śladu wczorajszego rozdrażnienia. Uśmiechnięta wesoło, wyglądała czerstwo, podobna do angielskiej turystki, dla której wspinanie się po górach jest zadaniem i celem życia.

— A więc i pan z nami? Mama jako powietnika zwyczajem litewskim uważa pana za kuzyna. Ja ze względu różnicy, jaka zachodzi między trzema tysiącami morgów, a trzystoma — czuję się nieco dotkniętą. Bo czyż to nie jest boleśnie mieć kuzyna choćby powiatowego, który się odważy posiadać tylko trzysta morgów. Aristokracja moja na tém cierpi, duma...

— Moja Zosiu nie oskarżaj się i nie przedstawiaj gorzej, aniżeli jesteś — przerwała jęj matka.

— Panna Zofia nie oskarża się, lecz raczej nam dokucza — pochwycił Czesław.

— Tém gorzej — dodała matka.

— Tém lepiej — odparł młody człowiek — gdyż to dowodzi, że panna Zofia, jest w dobrym humorze.

— Milionerka zdradza dobry humor, jeżeli raczy dokuczać — zaczęła Zosia.

Służący oświadczył, że remiza gotowa do odwiezienia pań na statek parowy.

— Jedziemy — zdecydowała matka. — I proszę milionerki, aby w ten sposób nie zdradzała dobrego humoru, a powietnika, aby milionerki nie drażnił.

Wyjechli. Statek parowy syczał i jęczał i od jęków swych drżał.

— Wyobraź pan sobie, jak jestem mimo miliona wielką parafianką, pierwszy raz w życiu jadę statkiem parowym.

— Jak to dobrze, żeś pani zapas wrażeń zaoszczędziła na czas, gdy je odczuć w całej pełni potrafisz.

— Oszczędność przede wszystkim — powiedziała z uśmiechem — jest ona matką bogactwa, prawda?

— Niczym dotąd niezachwiana — odparł Czesław.

Zadzwoniono raz i drugi, ściągnięto kładki, majtkowie wiosłami odepchnęli statek, koła zaczęły zwolna bić o powierzchnię wody — sternik z całych sił obrócił rudel i statek pełen szumu, zwolna się kołysząc wy dobył się na środek rzeki.

— Płyniemy — rzekło ze szczerą radością dziewczę.

— Spójrzaj pani na Brühlowski taras, na wieże i gmachy Dreżna, uciekają przed nami jak przeszłość, jak wspomnienie, tracimy je z oczu, potem i z pamięci.

— Jesteś pan smutno usposobiony i to w chwili, gdy słońce świeci, a cała przyroda uśmiecha się do nas swemi powabami. Nie patrzmy na uciekającą przeszłość, przyszłość przed nami, chodźmy ku niej — i poszła na przód statku, oparła się o zwiniętą w krąg linę, poddając się z rozkoszą nowym wrażeniom.

Młody człowiek podał rękę matce, oboje zawojowani przez dziewczę, poszli za nią, przesuwając się zwolna obok stosu koszów i siedzących przy nich rozgadanych saksonek.

Statek, płynąc pod wodę, ciężko pracował, koła z podwójną siłą uderzały o fale wód, wiatr go spychał z drogi, wstrząsał nim i kołysał, nadbrzeżne wille jedne po drugich zwolna znikaly, rzeka zaczęła się zwęzać, statek wpłynął w pasma gór pokrytych u wierzchołków ciemnym świerkiem i o białej korze jodłą. Krajobrazy stawały się coraz więcej dzikie, góry piękniejsze swoim ogromem i majestatem.

Dziewczyzna, oparta o zwoje lin, tak była pochłonięta przez czary zmieniających się co chwila widoków, że zapomniała o matce, młodym człowieku i świecie całym. Zapatrzona, przykładała co chwila lornetę do oczu, nie czuła potrzeby zwierzeń, nie czuła się opuszczoną, rada była, że jej nikt nie przerywa rozkosznej zadumy, w której myśli haotycznie przepływają przez mózg, łącząc przeszłość z terażniejszością, wspomnienia z pragnieniami przyszłości w jedną całość. Za to matka i Czesław, usiadłszy na ławeczce, zwróceni ku lewej stronie, udzielali sobie wzajemnie wrażeń. Młody człowiek zwracał się często po objaśnienia do Budekera i czytał je głośno. Usiłował być swobodnym, chociaż zapomnienie Zosi przygniatało go i bolało. Ani razu oczu nie zwróciła w stronę, w której siedział. Nie widziała, że był tak blisko i często patrzył na nią, nie czuła konieczności obejrzyć się. Nie przyznawał się, że ma nadzieję — myśl tę odpychał od siebie, lecz mimo to ciężko mu było na sercu i przykro. Widziała to matka, a raczej domyślała się instyunktem matki i wiarą, że ktokolwiek pozna jej dziecko, musi je pokochać. Starła się pocieszyć go i rozbawić. Mówiła dużo, młodzieniec odpowiadał serdecznie i otwarcie. Odczuła ciepło jego serca i coraz więcej sympatyzowała z nim.

Powoli między nimi utrwalala się przyjaźń, z jednej strony oparta na sympatii i współczuciu, z drugiej — na wspólności zasad. Młody człowiek, nie wiedząc o tém, przylgnął do tych kobiet, z których jedna była dla niego dobrocią, druga — wszystkiem. Zmęczeni pięknościami widoków, które zaczęły się powtarzać i grzeszyć mono-

tonnością, zwrócili rozmowę na stosunki kraju i zamieszkałą przez nich okolicę.

Zabsorbowani ważnemi kwestyami nie spostrzegli, że Zosia wpatrywała się w nich dość długo.

Rozgniewało dziewczynę to zapomnienie — przeszła na drugą stronę i pocichu oparłszy się o poręcz ławki słuchała.

Matka i Czesław jednocześnie obejrzeni się.

— Świetnie się państwo bawicie, dostrajając rozmowę do piękności widoków...

— Rozwiązywaniem kwestyi podniesienia naszego bogactwa — kończył młody człowiek z uśmiechem, nie rad, że został pochwycony na tak prozaicznej rozmowie.

— Role muszą się dzielić. Gdy jedni oddają się całą duszą pięknościom sztuki i przyrody, drudzy muszą myśleć i starać się, aby ci pierwsi zawsze mieli jednakową swobodę zachwytu.

— Na statku parowym w obec tych gór, oświetlonych słońcem, w obec ciemnych lasów i wspaniałej rzeki, dźwięczącej nas na swym grzbiecie, mówić o rolnictwie, to to samo, jak gdybyśmy, wpatrując się w maszynę parową statku, mówili specjalnie o oleju, którym się smarują jej tryby — odparła Zosia swobodnie.

— Siadaj przy nas i baw się z nami.

— I mów o rzepaku — dokończyło dziewczę.

— Mów o czém chcesz.

— W towarzystwie pani i pod jej czarem myśli nasze staną się idealniejszymi.

— I nie obawiasz się pan, abyśmy z głodu nie pomarli, gdy nikt się chlebem zajmować nie będzie?

— Nie — odpowiedział serdecznie. Nie obawiam się i patrzal w ciemne oczy dziewczęcia, jak gdyby w nich szukał odwagi, poparcia, zachęty.

Zosia uczuła ciepło spojrzenia i nie mogąc znieść jego siły, zwróciła wzrok na góry i zamyśliła się.

Matka nie śmiała przerwać zadumy, odgadując myśli ukochanego dziecka. Młody człowiek przeczuwał, że losy jego zaczynają się ważyć na szali i mimowolnie, nie zdając sobie sprawy ze swego optymizmu — zaczynał mieć nadzieję.

Dzwonek swym hałaśliwym dźwiękiem poszarpał cicho płynące myśli dziewczyny, jej matki i towarzysza. Statek zwrócił się do brzegu — powstał ruch, ludzie zbierali swe manatki, rzucono kładki i pod olbrzymią prostopadłą górę, matka prowadzona przez młodego człowieka i Zosia wyszli na brzeg.

— Chodźmy na wysokość — zawołało wesoło dziewczę — i to tak wysoko, abyśmy nie mogli dojrzieć kwitnącego rzepaku, łanów pszenicy, ani nawet beczek z kawą i śledziami, tych dowodów bogactwa narodów.

— I osiądziemy w chmurach jak Jowisz — dorzucił Czesław.

— To byłoby za wysoko—powiedziała.—Umieć utrzymać granicę wysokości w tém jest cała umiejętność życia.

— Prawda, lecz każdy z nas ma o téj granicy inne pojęcie i inną bierze skalę.

— Moja Zosiu, czy pomyślałaś—przerwała matka—że dla mnie niepodobna dostać się na taką wysokość. Spójrzj tylko.

Spójrzeli. Na szczycie prostopadłej prawie góry, zaledwie dojrzeć było można fortyfikacye Königsteinu.

— Serce mi bije z radości, na myśl, że i ja nareszcie stanę na tych wyżynach. A co do ciebie, mamó, nie obawiaj się, droga do fortecy musi być dobra, a saskie osiołki mają tradycyą łagodnych i posłusznych zwierzątek. I otóż przybywają.

— Siądziemy razem—zdecydowała matka.

— Z pewnością nie zostawimy cię samą. Panie Czesławie będziesz miał odwagę?

— Dosiąść ośła?

— Czy nie będziesz się obawiał śmieszności?

— W towarzystwie mogą być sceny komiczne, które powinny wspólnie nas bawić.

— Masz pan wielki przymiot.

— Co za nadzwyczajne odkrycie — zawołał z uśmiechem Czesław.

— Nie jesteś prózny—i dla tego nie obawiasz się śmieszności.

Nadbiegli przewodnicy z osiołkami przybranymi w dzwonki. Matka usiadła w urządzonym zamiast siodła krzesle. Zosia i Czesław pokłusowali naprzód i zwrócili się do matki.

— Wyobraźmy sobie biedną Kozel, jadącą do Königsteinu.

— Zmienne są koleje losu, dokończyła smutno matka.

— Zmienne są—powtórzyła dziewczyna.—Nie dajmy się losom —i dalej naprzód póki siły starczą.

Droga stawała się coraz bardziej stroma, biedne zwierzęta ze spuszczonei na dół głowami szły wolno. Widnokrąg za każdym krokiem rozszerzał się, coraz to nowa odkrywała się panorama, absorbując wzrok i umysł młodej dziewczyny.

Obok niej jechał Czesław poważny i zamyślony. I na nim piękność przyrody robiła silne wrażenie; tém większe, że patrząc musiał wzrok zatrzymać na twarzy dziewczyny, na jej kruczonych włosach wpadających w granat pod światłem promieni słońca, na jej duże oczy i usta na pół odchyłone z podziwu i ciekawości.

— Co dalej—myślał.—Czy bez niej będę mógł istnieć?

Będziesz musiał—odpowiadał sobie i coraz więcej smutniał i poważniał.

Wjechali za mury fortecy. Wiatr zimny przeciągał ze Wschodu, promienie słońca nie paliły, a nawet nie ogrzewały. Widnokrąg był lekko zabarwiony niebieską mgłą, na dole rzeka wita się jak wstę-

ga a po niej statek przepływał podobny do łupiny orzecha, ozdobionego długą kitą dymu.

— Jesteśmy już na takiej wysokości, że zaczyna być zimno. Słońce, które nazywają bogiem miłości, nie ogrzewa, a ten wiatr,—nie stać mnie na obrazowe porównanie, lecz mimowolnie przypomina mi egoizm. Jest zimny i bezwzględny.

Dziewcze wpatrzyło się w młodego człowieka uważnie, lecz bez gniewu.

— Jesteśmy za wysoko. Niebieska mgła zastania nam przedmioty. Nie widzimy ludzi lub zaledwo możemy ich dojrzeć i dla tego wiatr egoizmu zaczyna wiać. Lecz widok ztąd jest obszerny i wspaniały tak, że człowiek w nim ginie. Jeżeli go widać, to jak pełzającą mrówkę, a jego dzieła podobne do zabawek. Mamy się za panów świata, ua tej wysokości czujemy się upokorzeni, przekonywając się że świat ten specjalnie nie koniecznie dla nas był stworzony. Wysokość, na której stoimy, uśmiecha się z naszej wielkości i również oducza nas egoizmu, pokazując czém jesteśmy.

Czesław spojrział na dziewczynę, zapatrzył się w nią poważnie i rzewnie.

— Czy pan chcesz czytać myśli moje—zapytała żartobliwie.

— Już przeczytałem—odpowiedział smutno.

— Powiedz je pan głośno.

— Nie jest zwyczajem odczytywać wyroki na samego siebie. I nie chcąc usłyszeć odpowiedzi, odszedł do matki, jakby się chciał ukryć pod jej skrzydła.

Dziewczyna została sama zamyślona i poważna. Lornetę podniosła do oczu, rozglądając się w spanyłej panoramie. Wiatr szarpał jej woalką przypiętą do kapelusza i targał suknią. Nie zwracała na to uwagi. Widocznie jakaś walka odbywała się w jej umyśle i w jej sercu, zastłoniła oczy lornetą.

Młody człowiek podał ramię matce i prowadził ją na miejsce, z kąd wybornie widać było Elbę, świecącą od promieni słońca.

Przypatrywali się w milczeniu, przeczuwając razem zawiedzione nadzieje.

— W tych górach zimno — powiedziała półgłosem—wracajmy do ludzi.

— Do ich radości i cierpień,—dokończył Czesław—wśród nich będzie nam cieplój.

— Smutno — powtórzyła matka. — Za wielka wysokość. Zosiu skryj się do hotelu i tam cię czekać będę—odezwała się do córki.

— W takim razie i ja się skryję. Wiatr jest tak gwałtowny, że gotów mnie porwać, unieść i rzucić na Montblanc. I zostałaabyś mamó sama, tęskniłabyś za córką, może płakała. Podbiegła do matki, podała jej ramię i prowadziła do murowanego budynku, nęcącego białością i czystością niemiecką.

— Ta wspaniała wysokość może nam zawrócić głowy i nauczyć

pychy, lekceważenia spraw ziemskich, a za to pozwoli patrzeć śmiało w słońce, którego blask już nas nie oślepia. Uśmiechnęła się tryumfująco. Panie Czesławie, patrzeć w słońce i oczu nie mrużyć?...

— Łatwo dokonać tego i w dolinach przez ciemne szkła, wyręczyła w odpowiedzi młodego człowieka matka.

Zosia nic nie odpowiedziała, spojrzała na Czesława, lecz i on milczał.

Weszli do obszernej sali hotelu.

— Ponieważ jesteśmy oswobodzeni od słońca i wiatru, bądźmy w dobrych humorach, weseli i uśmiechnięci. Zwróciła się do Czesława. Zapraszamy pana na obiad niemiecki i wino reńskie.

Czesław się skłonił.

— Lecz w zamian za to prosimy o dużo, dużo wesołości.

— Przyrzekamy iść za twoim przykładem—odparła matka.

— Mama wyręcza pana Czesława. Czy istnieje porozumienie między państwem w tym kierunku?

— Ależ moja Zosiu... i uśmiechnęła się, uśmiechnął się również i Czesław.

— Widocznie mama bierze w opiekę swego powietnika. I kto wie, czy go nie myśli forytować na posła z małych posiadłości. Korzystaj pan, mama ma wielki wpływ na młodszych naszych braci, a i pan podobno lubiany jesteś przez lud, podajcie sobie ręce i do dzieła.

— Przyrzekam poparcie, gdyż jestem pewna, że pan Czesław na każdym stanowisku dzielnie odpowie zadaniu.

— Za to nic nie pozostaje panu, jak pocałować mamę w rękę na znak, że podzielasz jej zdanie w zupełności.

Czesław zbliżył się i ucałował rękę matki.

— Jako podziękowanie za wiarę, która wkłada wielkie obowiązki—powiedział seryo.

Powaga młodego człowieka, oziębła na chwilę wesołość dziewczyny. Spojrzała na matkę pytająco. Matka się uśmiechnęła, dziewczyna zsunęła brwi, lecz za chwilę rozpoznała czoło.

Siedli do obiadu. Reńskie wino okazało się dobre i ono powoli wpłynęło na łagodne ożywienie biesiadników.

Powrót był również wesoły. Chociaż nie mówili o tém głośno, radzi wracali w niziny do ludzi i cywilizacyi. Osiołki również rażno za przewodnikami zbiegały.

Turyści nasi spotkali gromadkę angielskich i angielskich, jadących pod górę. Jedna z pięknych miss utkwiła wzrok swych dużych, niebieskich oczu w Czesława, wytrzymała jego spojrzenie i obejrzała się, gdy ją minął.

— Czy to pańska znajoma—spytała Zosia.

— Zaledwie widziałem ją raz w Grossgartenie na koncercie.

— Widocznie podobasz się jej pan.

— Trudno to odgadnąć. Może rysy moje przypominają jój jednego ze znajomych lub krewnych.

— O nie — zawołała Zosia — nie takimi oczami patrzy się na młodego człowieka, którego rysy przypominają krewnego. Obróciła się, patrząc na angielską jadącą pod górę.

— Żadna dziewczyna, zgrabna i odważna. Może to jaka milionerka?

— Widocznie usiłujesz mnie pani odstraszyć od niej, rzekł wesoło Czesław.

— Przepraszam, zapomniałam o przyczynach, odpychających pana od Zalesia.

— Przyczyny te już nie istnieją. Wszak prawda, panie Czesławie, zapytała go matka.

— Przekonałem się, że miliony milionerki nie są straszne.

— I gdy poznasz pan angielską, będziesz tego samego zdania. Umie ona patrzeć.

— Ja zaś jestem innego zdania — rzekła poważnie matka — i nie życzyłabym sobie, abyś ty Zosiu w ten sposób kiedykolwiek patrzała.

— Panna Zofia nie potrafi, zapewniam panią, odpowiedział młody człowiek.

Dziewcze milczało, wysuwając się na osiołku naprzód. Trzeba było się spieszyć, statek zbliżał się do brzegu. Zwierzęta przyuczone do pośpiechu, biegły obok przewodników.

— Nareszcie jesteśmy na właściwej nam wysokości, otoczeni cywilizacją i ludźmi.

Dziewczyna nie odpowiedziała. Statek przybił do brzegu, rzucano pomost. Ludzie zaczęli się tłoczyć, za niemi weszli Zosia i matka prowadzona przez Czesława.

Statek popychany wodą i południowym wiatrem płynął szybko. Panorama widoków oświetlona zachodzącym słońcem przesuwała przed oczami patrzących ciemne lasy, które okrywała purpura, w dolinach unosiła się niebieskawa mgła. Przez nią przeświecały, jak czerwone gwiazdy, światła zapalonych latarni.

Późnym wieczorem wrócono do Drezna. Brühlowski taras roił się wypełniony cudzoziemcami i zakochanymi w muzyce saksonkami.

Czesław odprowadził panie do remizy. Matka miała ochotę zabrać go na kolację, bała się jednak córki i czekała na jój decyzję. Dziewczyna podaniem ręki pożegnała go, powóz odjechał. Młodzieniec wrócił na terasę i znalazłszy w odludnem miejscu ławeczkę usiadł, wsłuchując się w uwerturę Lohengrūna. Hałaśliwa muzyka, pełna kontrastów, przygłuszała bicia jego serca, niepokój i rozstrojone nerwy.

— I cóż Zosiu, zdecydowała się matka na pytanie, gdy obie przy otwartem oknie odpoczywały.

— Czy to zapytanie odnosi się do naszego powietnika mamó?

— Ogdajesz wybornie.

— Mama widocznie go proteguje.

— Im go więcej poznaję, tém silniej. Oprócz wielu zalet jest on bardzo przystojny. Pierwsza zwróciłaś uwagę na spojrzenia angielski.

— Tak, lecz droga mamó, mówiłaś o wielu zaletach, racz mi je wymienić.

— Znasz je doskonale.

— Ach prawda, jest „nadto porządnym“ i to mamę tak zachwycił. Przyznam się, że i ja go lubię, dobry z niego towarzysz podróży, mógłby być również dobry i przyjaciel, nawet opiekun, lecz aby się w nim rozkochać?... Próbowałam, radabym, choćby tylko dla tego, aby mamie przyjemność zrobić—lecz niestety nie mogę, nie jestem w stanie. A przecież i ja mam prawo do téj odrobiny rozkoszy na świecie, której najbiedniejsza dziewczyna doświadcza—do uczucia nazwanego przez ludzi miłością. Mamó i ja pragnę kochać, choćby się tylko upoić tym czarem. Serce moje radeby zaznać téj rozkoszy, dotąd jednak śpi i muszę czekać, aż się przebudzi. Gdybym była przez rok cały w towarzystwie powietnika i raptem opuścił nas, wyjechał, czuję że mogłabym za nim tęsknić.

— A więc niech będzie rok razem z nami, jestem pewna, że się i na to zgodzi.

— A jeżeli się potem serce zbudzi, mamó—jeżeli się serce zbudzi—dramat gotowy. Mama zna swą córkę, której przymiotem czy wadą jest wzywać przeciwności... W rodzinie naszej nie było dramatów... Mamie pewnieby serce pękło, a co by się stało zemną?

— W takim razie wyjeżdżajmy z Drezna, zdecydowała matka. Biedny chłopiec zaczyna roić i wierzyć. Żal mi go z całego serca.

— Uciekać jak z Krakowa—i po cóż? Pożegnamy się z nim jak dobrzy znajomi i powiemy mu do widzenia w Zalesiu.

— A jeżeli i on pojedzie do Paryża na jesień?

— To go zobaczymy w Paryżu, będziemy mieć więcej jednego znajomego.

— Przyjaciela, moje dziecko, serdecznego i zacnego.

— Co za szkoda, że ty go pokochać nie możesz.

— Boję się, czy będę zdolną pokochać. Nie mam w sobie nic tego, co nazywają zaślepieniem, nic z tego optymizmu, który pozwala widzieć samą doskonałość. Nic z tego upojenia pięknością, lub rozumem. Jakiś krytycyzm zamieszkał we mnie i uczy patrzeć przez mikroskop na ludzi. Żudzić się nie umiem, może i kochać nie potrafię. Jeżeli to się sprawdzi, dziecko twoje nie będzie szczęśliwe. Tuliła twarz do piersi matki.

— Pokochasz, pokochasz, pocieszała ją matka, gładząc ręką jej włosy. Gdybyś ty jego pokochała, spokojnie zamknęłabym oczy, pomyślała, lecz nie chciała głośno tego powiedzieć. Bała się zapowiedzianych dramatów.

Drugiego dnia Czesław nie śmiał przyjść, lecz za to czekał o południowej godzinie, obserwując zdaleka hotel.

Niebieska suknia i słomkowy kapelusz ukazały się naprzód w oknie, nieco później we drzwiach hotelu. Młody człowiek cofnął się pospiesznie na odległość, aby nie być poznanym, lecz by móżdż dojrzeć ruchy dwóch pań. Gdy się przekonał w którą idą stronę, przebiegł szybko parę ulic i spotkał się z nimi na „promenadzie drezdeńskiej.“

— W wycieczce swój po Europie nie zawadzisz pan o Paryż, rzuciła pytanie matka po przywitaniu.

— Radbym jeżeli nie jesień, to zimę w nim przepędzić.

— Spotkamy się mam nadzieję, dodała Zosia. Paryż jest wielki, lecz cudzoziemcy łatwo się w nim odnajdują, na wspólnym dla wszystkich salonie—na Polach Elizejskich.

— A zatem na Polach Elizejskich—rzekł Czesław.

— Do widzenia na placu Zgody, lub obok bramy Tryumfálnój... Pan nie znasz Paryża?

— Nie pani,—gorączka, ciekawość popycha mnie, abym go jak najprędzej zobaczył.

— I mnie ciągną oprócz piękności miasta i sztuki, nowe idee, które się tam rodzą i rozwijają, za nim rozleją się na świat i opanują ludzkość. Poznać je, patrzeć na proces tworzenia, być przy samym ich źródle—to co mnie popycha do Paryża. Widzisz pan jestem szczerą.

Czesław patrzył na nią zdziwiony, nie mogąc na razie zdać sobie sprawy z tego, co mówiła.

Matka, idąc za niemi nie słyszała rozmowy.

— Kiedyż panie porzucicie Drezno, spytał, siląc się na spokój.

— Niezawodnie jutro, jeżeli Elba nie wyleje i nie potamie mostów, jeżeli trzęsienie ziemi nie zniszczy dróg żelaznych.

— Ponieważ to jednak podług wszelkiego prawdopodobieństwa nie nastąpi—a zatem...

— Wracają panie do Zalesia zanim się do Paryża wybiorą?

— Nie wracamy. Mama jest tak zakochaną w Zalesiu, że nie miałabym odwagi namawiać ją do powtórnego wyjazdu. Jedziemy prosto do Szwajcaryi, a potem przez Genewę, Lyon do Paryża.

Czesław czekał na choćby nieznaczne napomknięcie o spotkaniu się w Szwajcaryi. Wymagał tego od milionerki ze względu na jej milion.

Milionerka nie zachęciła go ani jednym wyrazem, matka jęj również milczała.

— I pocóż mam jechać do Paryża, pomyślał.

Mimo to pojedę. Nie jestem ukuty ze stali, nie posiadam ani wielkiej energii, ani silnej woli, któraby mi pozwoliła wrócić do kraju, zapomnieć i pracować. Nie mam żadnej nadziei, a jednak pojedę... Coby to można było zrobić dobrego, będąc opartym o milionową fortunę. Można zrobić dziesięć razy mniej, mając sto tysięcy—trzeba tylko chcieć i pracować a nie „światami gonić.“ Moznaby, gdyby nie

młodość, ciekawość, nasze polskie lenistwo i gdyby nie czarne oczy milionerki...

I dlaczego goniłem za niemi, a potem nie miałem sił odejść. Dziewczyna tak niepodobna do innych, nieokreślona, nieuchwytna, a odskakująca od mego charakteru i pozytywnych mych zasad. Dla czego za nią gonię, jestem smutny i poważny w jej towarzystwie, radbym od niej uciec a zostaję. Tęsknię, gdy jej nie widzę, świat dla mnie traci swój powab, gdy ona jest zdaleka.

— Precz z marzeniami, wracaj do domu do cichój pracy. Gdybym mógł? Młodość ma swe prawa do tęsknoty i wymarzonych cierpień. Trzeba przejść i przez to piekło—czy niebo. Powoli wrażliwość stępuje, a z nią i wyidealizowany ból.

— Zapakować manatki i wracać! Po cóż ten wykrzyknik, gdy wgłębi serca czujesz, że tego nie zrobisz. Nie stać cię na tyle heroizmu. Jedźmy do Paryża gonić czarne oczy i tlejący w nich ogień.

— Jakbyśmy świetnie przeszli przez życie, gdyby ona nie miała miliona, a ja posiadał więcej odwagi, raczej: gdyby ona kochać umiała i mogła tak trzeźwego człowieka jak ja. Powiedz tak pospolitego. Nie posiadam wielkich talentów, nie jestem żadną wielkością... Załedwo umiem kochać swój kraj, a radbym cicho pracować dla niego.

— Radbyś, a włączysz się bez celu po świecie, marnujesz czas i grosz, zostawiony ci przez ojca.

Wracajmy... z tem postanowieniem poszedł do hotelu, spakował rzeczy, lecz zamiast kupić bilet do Wrocławia, kupił do Wiednia.

Przez drogę wyrzucał sobie nikczemną słabość, brak woli, zdradę swych przekonań, zaniedbanie obowiązków. W Wiedniu oprzytomniał—i wrócił na Kraków do domu.

(c. d. n.).

CHATA NAD RZEKĄ.

SIELANKA.

PRZEZ

Romana Zawilińskiego.

Walek i Marysia nie mieli nic, kiedy się pobrali. On bywał fornałem u księdza i we dworze, ale kiedy po wysłużeniu w wojsku powrócił, służby na razie dostać nie mógł i zarobkował, chodząc do młocki. Marysia służyła u pani organiściny i ta dała jej młodą jałoweczkę, z której krówki doczekać się wnet mogła.

Było to ładne stworzenie: cała maści kasztanowatěj, miała białą gwiazdkę na czole i białe „pończoszki” ponad kopytami. Marysia oceniła jej piękność i nadała jej imię „gwiazdula.” Radość atoli z jej posiadania zamieniła się w smutek, kiedy zabrawszy skrzynkę niewielką na plecy i prowadząc na powrózku „gwiazdulę,” udała się po ślubie do Walka.

Walek nie miał własnej chaty, ale „komorował” i to u ubogiego budnika, który nad jedną izbinę więcej nie miał.

— Byle kącik na skrzynkę i ława na spanie—mówił Walek—to sobie ta już damy radę.

Kącik jednak w rzeczywistości okazał się za szczupły, bo potrzeba było w nim prócz skrzynki umieścić i „gwiazdulę.” Nie było innej rady, tylko uchwycić za nogi gospodarstwo chałupy i prosić o komorę i dla jałoweczki. Stała tedy w przeciwnym kącie „gwiazdula” obok stariej i jasnokościstěj krowiny gospodarstwa. Musiało jej tam być niewygodnie, bo przywykła do obszerněj stajni, a do tego stara „czarnocho” długą szyją dostawała zawsze najlepszej trawy, którą Marysia swojēj jałoweczce przynosiła. Trudno było wzbraniać, boć przecie ta chudoba na łasce tam stała, a jednak Marysi było

przykro i nieraz, gdy gospodarstwo nie widzieli, stawała między czarnochą a gwiazdulą niby pieszcząc się z ostatnią, w rzeczy zaś samą, aby wzbronić czarnosze podziału. Musiała też i liści zbierać na podściótkę, i słać zarazem i czarnosze, — a mimo to nieraz trzeba było usłyszeć cierpkie słowo od gospodyni, że jej to „ciele“ (tak pogardliwie nazywała śliczną gwiazdulę) zawadza koło nalepy. Znosiła to wszystko Marysia, bo cóż było począć, ale wdychała do własnej chaty, nie dla siebie, bo jej kącika było dosyć, skoro Walek był zadowolony, ale dla swjej ukochanej „gwiazdulki.“

Traf szczęśliwy pierwój spełnił jej gorące życzenie, niżby się tego była sama spodziewała. Jakoś w lecie następnego roku wezbrały wody niesłychanie, tak, że cała dolina była jednem jeziorem. A że to było w czasie sianozęci, niosta więc woda i siano, i drzewa kawałki i duże kłody — przyniosła nakoniec i trzy ściany prawie całe jakiejś chaty, nawet z kawałkiem powały i dachu.

Walek stał na brzegu rozlanego potoku i chwycił osęką niesione kawałki drzewa. Zahaczył i o niesioną chałupę, która jakoś na bok skierowała, ale prąd silniejszy uderzył i chałupa z osęką popłynęła. Przy pomocy ludzi udało mu się nakoniec do brzegu ją przyciągnąć i powoli wydobyć. Prawdę mówią ludzie, że woda jednym bierze a drugim daje.

Łatwo pojąć radość Marysi. Widziała się już w swojej chałupie i gwiazdulę w swoim kąciku. Ale chałupina była bardzo zdefektowana, a do tego nie było jej gdzie postawić. Zkądże wziąć biednym kórnornikom kawałka ziemi pod budowę? Na drugiej stronie rzeki od miejsc, gdzie Walek chatę utąpił, był na zakręcie rzeki między nią a drogą kawałek łąki, a raczej pustego zamulonego zwykle brzegu. W najszerszem miejscu mógł mieć szerokości trzech średnich zagonów, potem klinowato się zwężał aż do miejsca, w którym droga tuż nad potokiem biegła. Pole to właściwie do nikogo nie należało. Paśły się na niem, jeżeli mogły co znaleźć gęsi kmiecia zwanego Dziadoszem, którego własność ciągnęła się w górę od drogi.

Do niego tedy udał się Walek z prośbą, aby mu na tém kawałku chałupinę pozwoził postawić.

— A bo ci to źle u ludzi — gderał Maciej Dziadosz — potrzebusz być chałupnym panem?

Mimo gderania Walek prosił, obiecywał corocznie chodzić do kośby, a Marysię wysyłać do żniwa. Maciej miękł.

— Ano, niechże ta już i tak będzie — wyrzekł w końcu — ale żebyście mi byli na zawołanie, jak was będę potrzebował.

Walek uchwycił Macieja za nogi i z pogodnym obliczem i wesołą wieścią pobiegł do Marysi.

Wkrótce chałupina stanęła nad rzeką. Wprawdzie brakowało jeszcze wiele, by ją uczynić mieszkalną, lecz małżonkowie tém się nie zrażali. Nie było okien — a toć przecie nadchodzi lato, pocóżby ta kto oknami jeszcze dziury zatykał. Dachu tylko kawałeczek — do

zniw niedaleko, a potem ludzie litościwi choćby po jednej „kiczce“ słomy dali, to i tak się jakoś dach połata.

A potem ściany nie było jednej i drzew do niej — nie było pieca i nalepy, nie było nawet dyla, aby go położyć w kącie, gdzie miała stać gwiazdula. A cóż dopiero mówić o sprzętach..

Walek jak mógł powoli radził. Ścianę upłócił z chrustu i z chrustu plecione drzwi jej dał, a potem ścianę jeszcze okrył choiną od góry do dołu, aby wiatr nie tak silnie dmuchał. Z kamyków leżących na brzegu rzeczki i z gliny, której w szkarpie na Dziadoszowem nikt mu brać nie wzbraniał, ulepił piec i nalepę; Marysia tą gliną wylepiła wewnątrz nawet szpary chałupy, że wyglądała jak pobielana. Ziemi też powoli наносili i ubili, żeby dołów nie było. Znalazły się potem i dyle dla gwiazduli—i łoża szerokie i niezgrabne z garścią barłogu, i deski kawałek na pniaku w bitym w ziemię, a ta razem z ławką stanowiąca całość umeblowania.

I tak jakoś szło im powoli po Bogu, chociaż ludzie z początku jedni drwili, drudzy głowami kiwali niedowierzająco, a byli i tacy, co przestrzegali przed powodzią, któraby niespodzianie w nocy nawet mogła ich razem z chałupiną „sprzątnąć“ z tego brzegu.

* * *

Zima była sroga, kiedy Marysia została matką. Kubuś, sprawiając rodzicom radość, przysporzył im zarazem i kłopotu. W chacie było zimno, bardzo zimno, chociaż Walek mchem utkał plecioną ścianę i oblepił gliną, jedno okno deskami zabił, a tylko drugie kawałczkami szkła zaprawił, aby choć trochę dnia do izby wpadało. Marysia tuliła niemowlę do piersi i własnym je ogrzewała ciepłem; uspiwszy je zaś obwijąca w wytarty kabat wojskowy Walka, pamiątkę czasów żołnierskich. Gdyby się mieli lepiej, stałoby w chacie więcej chudoby, toby im było cieplej; ale w ich biedzie jedna gwiazdula w kącie się kręcąc spoglądała, czy jej zamiast suchej jęczmieniarki, choć trochę lepszej nie podadzą siczki.

Walek cieszył się Kubusiem, a martwił się o każde jutro. Zamiast iść na zarobek, musiał chodzić do Macieja, bo ten nastawał i groził, że jeżeli do roboty „na zawołanie“ nie przyjdzie, każe mu „bude“ rozwalić. Walek wzdychał, spoglądając na wybladłą Marysię, jak zamiast czegoś lepszego, choćby odrobinę mleka, musiała się cały dzień kontentować odrobiną ziemniaków z żurem i Kubusia karmić. Wzdychał i nieraz złorzeczył złej doli, ale do Dziadosza iść musiał. Wreszcie kończył się i szczupły zapas ziemniaków, jakie Marysia z łaski w jesieni od p. organiściny dostała. Walek, chcąc się od głodu uchronić, postanowił iść do dworu na zarobek, choćby się miał narazić Dziadoszowi.

Właśnie Marysia nałamawszy trochę suchych gałązek choiny, stanowiącej zewnętrzne pokrycie ściany wechodowej, rozpałała na na-

lepie, aby zagrzać Kubusiowi wody na „kapiółkę“ i ugotować zarazem Walkowi żuru, kiedy niespodziewanie wpadł Dziadosz.

— A, dziady, tero, panie, ja was tu każę psami wykurzyć — to ja będę jeszcze do młocki najmował, a wy będziecie z mego gruntu darmo chleb jeść.

Marysia osłupiała. Nie wiedziała o co chodzi. Zbudzony krzykiem Kubuś począł kwilić w powiciu z munduru; Marysia wzięta go na ręce i tuląc, skłoniła się do kolan Maciejowi.

— Mój gospodarzu — przecież my też odrabiamy, co możemy, Walek codzień...

— Walek, Walek, gdzież jest ten Walek, miał skończyć do soboty młócić pszenicę, w poniedziałek rozpocząć jęczmień—nie ma go, a gdzież jest, może już do karczmy zagląda. A dziady jakieś, brać to wszyscy potrafią, a do roboty to go nie ma...

— Mościewy, Macieju, a dyc on poszedł raniuteńko z cepami...

— Poszedł, poszedł, lichy go wie, gdzie poszedł, może poszedł do Ruchli, na leśniczówkę...

Od drzwi odwrócił się jeszcze i dodał:

— A żeby mi jutro był do młocki, bo inaczej tę budę rozwalę.

I wyszedł trzasnąwszy drzwiami, aż nalepiono gliu kawałkami od nich odpadać poczęło.

Marysia została sama. Smutne myśli ogarnęły ją niespodziewanie. Nie była o Walka zazdrosną, nigdy jej to nawet na myśl nie przyszło, aby jej mógł być niewiernym, a przecież teraz jakoś ją to tak tknęło jak nożem w serce, owo wspomnienie Ruchli. Słyszała już raz coś o tém, że tam kiedyś przed wojskiem Walek, rębując sągi w lesie, zaglądał często „na leśniczówkę“ do karczmy, gdzie była ładna żydóweczka wspomnianego imienia. Dziś była już starsza i choć ją ojcowie wydać chcieli, nie poszła za nikogo. To dawało także Marysi do myślenia. A nuż w rzeczy samój... Ale przecie Walek dla niej zawsze dobry—i teraz osobiwicie przychylny, chociaż są chwile, że go poznać nie może. Jakiś chmurny i niemowny; jak siedzie na nalepie, to założy ręce i patrzy w okno nieruchomie i długo, choć tam nic nie widać, bo mróz szybki „zamurował.“ Może on sobie teraz Ruchlę przypomniał...

Marysi zakręciło się w oczach i ciurkiem się jej łzy puściły. Zaczęła całować niemowlę, powtarzając po cichu: „Oj, biedne my sieroty, biedne!..“

Zdawało się jej, że ją już Walek opuścił. Nie rozumowała i nie zastanawiała się nad faktami—więc nie mogła wiedzieć, że ją Walek nie opuścił, ale że bieda mrozi miłość, chociaż jej nie wysusza...

Płaczącą zastał żyd Liber, noszący w koszyku towary, a zbierający za nie jaja, skórki i co kto dał. Liber był znany z wesotego usposobienia, zawsze coś do śmiechu powiedział i rozweselił najbardziej zafrasowanego. Lubiano go też we wsi, zwłaszcza, że był w po-

równaniu do innych sumienniejszy, dawał towar nie najgorszy, a za masło płacił gotówką.

Marysi się zdawało, że go Pan Bóg przyniósł na pociechę. Nie miała mu wprawdzie co sprzedać, ani nie miała co i za co kupić, ale rada była, że nadszedł, że nie zostanie sama ze swojém strapieniem.

— Jak się macie, Walentowa — rzekł Liber, stawiając kosz na stole—co tu u was słyszać?

Marysia na razie nie umiała mu nic odpowiedzieć.

Siadł na ławie i wtedy zobaczył, że Marysia płacze.

— A co to, Walentowa, wy płaczecie? Co to płakać, na co to płakać. Macie chłopca walnego, chodaka, wyrznij djable Walek, macie spencer na owijanie, na co wam więcéj potrzeba?

Marysia na wspomnienie „walnego chodaka,” z uśmiechem rozkoszy spojrzała na Kubusia i serdecznie przycisnęła go do piersi.

— Co innego ja, biedny żyd—ciągnął Liber—nie mam nic, ino tych parę paczek patyczków w opałce i trochę tasiemki, nawet Pan Bóg nie dał drobiazgu...

Liber czuł najdotkliwiej brak potomstwa, uważając to wraz z współwyznawcami za brak błogosławieństwa Bożego.

— No—i patrzcież — rzekł, ocierając łzę rękawem—jakie to ja mam miękkie serce, jak widzę, że kto płacze, nie mogę się sam utamować. Ale dajcie no już pokój i powiedzcie, co wam to takiego dogarą.

— E, co wam ta z tego, choćbym i powiedziała—odparła Marysia. — Ani mi nie pomożecie, ani uic. Ot, człowiek zawsze biedny i lada bogatszy zawsze się nad nim pastwi...

Żyd przeczuwał już o co chodzi.

— Czy to Dziadosz może na was nasiada, bom go widział jak szedł z kądś z téj strony?

— A no, jużci on. Wpadł do mnie z hukiem i nuż wymyślać, że nam chałupinę rozwalić każe, że nas wyrzuci bez to, że dziś Walek do niego nie przyszedł do młocki. Ani ja nawet nie wiem, gdzie on poszedł i czemu tam nie poszedł, człowiek ma już tyle zmartwienia z tém, że doprawdy życie się przykrzy. Oj, Boże, Boże...

— Słuchajcie no, Walentowa, czego to zaraz płakać i bożykać. Walek pewnie poszedł na zarobek do dworu, bom go widział na gruncie jak młócił, a Dziadosza tobyście się mogli pozbyć, jakbyście chcieli.

— Widzieliście go we dworze? — podchwyciła żywo Marysia — i w tej chwili jakby jój kamień spadł z serca. — Widzieliście go na prawdę?

— A cóżbym wam miał mówić na żarty. Tu żartów nie ma, i tyła. Dziadosz straszy, może was wyrzucić, trzeba co radzić...

Marysia myślała ciągle o Walku młócającym we dworze, a myśl ta rozjaśniła jój czoło i rozradowała serce. Wyrzucała sobie nawet, że go mogła podejrzyc, ale czemuż jój nie powiedział, że idzie do

dworu? Prawda, możeby mu była zganiła ten zamiar i radziła iść do Dziadosza... Zamyśliła się.

Przerwał jój Liber.

— Nie ma co długo myśleć, Walentowa; ja wam dobrze radzę, pono ta klempa (inówił, wskazując na gwiazdulę) cielna, to jak będzie cieleg, klempę sprzedacie, Dziadosza zaspokoicie i będzie kwita.

— O nie mówcie mi ta o tém, Librze, bo jabym gwiazduli za nic nie oddała. Tyle całej chudoby i jeszczebym sie tego pozbywała. Pan Bóg nas ta przecie ze swój opieki nie wypuści, i może sie ta jako Dziadoszowi obronimy.

To powiedziawszy zakrepiła się po izbie, jakby miała co pilnego do rodoty, a Liber, który i tak za długo się zasiedział, powiedziawszy „ostajcie z Bogiem“ zabrał koszyk z towarami i poszedł.

W zimie południe prędkie, a prędszy jeszcze wieczór. Walek na gumnie pańskim młóćąc, musiał iść na obiad do domu, bo tam tylko płacili. Kiedy wszedł do izby, Marysia się nim ucieszyła, jakby go nagle po mniemanój stracie odzyskała.

Ale wnet i sama posmutniała, przypomniawszy sobie, że ma tylko żur zimny na obiad dla Walka i że mu musi o napaści Dziadosza opowiedzieć. Nie długo myśląc, wylała na miskę resztę żuru, i ostatni suchy kawałek chleba wzięwszy, położyła to na ławce przed Walkiem.

Walek odeszedł od rózka, na którém dziecko leżało, siadł na ławce, zdjął czapkę, a wdrobiwszy chleb do żuru, wymieszał to łyżką, przeżegnał się i spożywać począł.

Po chwili podniósł oczy na przewijającą malca Marysię i rzekł jednostajnym głosem:

— Żur zimny...

— Ano, mój Walku, nie wiedziałam, że przydzies, a po prawie mówiąc i nie było przy czém zagraać...

— Poszedłem do dworu, boby my z głodu zdechli... bąknął.

— Oj wiem, żeś nie poszedł do Dziadosza, bo tu był u nas...

— Był tu?—zapytał żywo Walek.—No i cóż?

— A nic, naprzeklinał mnie i ciebie, powiedział, że nas z budy wyrzuci...

Walkowi się oczy zaiskrzyły, ale potem ochłonął.

— Żebym ja mógł... — zaczął i przerwał ciężkiem westchnieniem. Położył łyżkę, przeżegnał się, wsunął czapkę aż po uszy i zabrał się do wyjścia.

Marysia go zatrzymała.

— Był tu i Liber...

— A tego to żyda po co?—odburknął Walek. — Czy chce naszę biedę po wsi obnosić?

— On widział Dziadosza i przyszedł nam poradzić, ale mnie to nie do serca.

— Poradzić? może z namowy Dziadosza? I cóż radził?

— Mówił, żeby gwiazdulę po ociełeniu sprzedać i Dziadosza zaspokoić.

Walek postąpił bliżej na środek izby i nagle mu się oblicze rozjaśniło. Spojrzał na gwiazdulę, potem na Marysię i łagodnym głosem przemówił:

— A tobie sie ta rada nie nadaje?

— Gdzieby ja też, mój Walku, dała gwiazdulę z chatupy, a jeszcze do tego sprzedała. Toż to tyle nasy chudoby, tyle ino...

— Ano prawda, że żal zwierza, ale wiesz, że żyd dobrze radzi...

Obejrzał się jeszcze raz na gwiazdulę i powiedziawszy „ano będziemy widzieć“ wyszedł.

* * *

Jakoś przy pomocy Bożej minęła szczęśliwie ciężka zima. Już przy końcu marca zrobiło się dobrze ciepło, śniegi poschodziły z pola i spłynęły do rzeczutki — na strapienie Walka i Marysi. Woda wezbrała, wystąpiła ponad brzegi i dostała się do budziny, tak, że gwiazdula stała we wodzie po kostki. Bali się bardzo, aby woda chatupiny nie zabrała, a więcéj jeszcze trwożyli się o gwiazdulę, bo się właśnie wówczas ociełiła. Małą cielisę musiano podstawić do wymienia na desce, aby się nie zamoczyła, a nie mogąc doczekać się opadu wody, przeprowadzono i krowę i cielę ku nalepie, gdzie trochę wyżéj było i woda tam nie doszła.

Powoli i woda opadła i izba się osuszyła, cielisia nabrała sił i już nawet podskakiwała po izbie, a że na świecie było coraz ciepléj, coraz zieleniéj i weseléj, więcéj w téj budzinie weseléj się zrobiło. Mały Kubuś zaczął już głowę dźwigać, a potém i do siedzenia rwał się coprędzéj, Marysia zaczęła lepiéj wyglądać, bo udoiwszy trochę mleka przecieź więcéj się pokrzepiła, a i Walek nie chodził taki strapiiony, bo widok śmiejącéj się dzieciny, skaczącéj cielisi i zielonéj wiosny, obiecującéj lepszy zarobek musiał wpłynąć i na niego.

Kiedy już młoda „Julska“ miała cztery niedziele i już chwytala się jeść nawet młodéj trawy, zaczął raz Walek wieczór do Marysi:

— W poniedziałek jarmak w Wielopolu... Bydło teraz w cenie... Możebyśmy pošli z gwiazdulą?...

Marysia nic nie odpowiedziała, tylko westchnęła głębokó.

— Możeby dali z pięćdziesiątkę — ciągnął daléj Walek — klem-pina się dosyc wybrała...

— Ze wy téż chłopy nie macie dla chudoby ani odrobiny serca. Wychowało się to u nas w biedzie, doczekaliśmy się od tego przychowku, i zaraz sprzedać i sprzedać...

— Ano, to chyba zabierzemy na plecy gwiazdulę z cielicką i pójdziemy w świat, jak nam Dziadosz chatupinę rozwali...

Marysia nic na to nie odpowiedziała. Czula, że twarda koniecz-

ność rozdzieli ją z ulubioném stworzeniem. Stała się też dla niej czulszą i czém mogła krowinie dogadzała.

W niedzielę po sumie zajrzał z Walkiem do Marysi jój wujek, Jakób. Marysia ucieszyła się odwiedzinami, bo wujka dawno nie widziała; mieszkał on bowiem na drugim końcu wsi pod lasem i pełnił obowiązki leśnego.

— Cóż tu u ciebie słychać?—pytał Jakób Marysi.

— Ee—cóżby, moi piekni, stara bieda zawsze i tyła.

— Jeszcze ci bieda, masz chłopaka tęgiego, masz i krowę i przychowek...

— Ta i cóż mi z tego, kiedy mi Walek gwiazdulę chce sprzedać.

— A mówił on mi o tém, i jabym to samo na waszém miejscu zrobił. Co ta, z cielęciami się dockacie krowy wnetki, a Dziadosza trzeba zaspokoić, boby wam spokoju nie dał.

Marysia spojrzała z wyrzutem na Walka, jakby się domyśliła, że on umyślnie sprowadził wujka, aby ją przekonać.

Nazajutrz prawie równo ze świtem rozpoczął się ruch na „gościńcu“ w kierunku Wielopola, miasteczka o kilka kilometrów leżącego. Pędzono trzodę, woły, konie, niesiono masło, ser, jaja i co kto miał, a byli i tacy co dla zwyczaju, dla poczęstunku, ciągnęli razem z drugimi, chociaż w polu były pilne roboty.

Marysia pozwoliła „tysulce“ rano wszystko mléko wyssać, nakarmiła dobrze gwiazdulę, wzięła trochę uzbieranęj nad rzeką trawy w zawiniątko na plecy i była gotową do drogi, kiedy ją zawołał Walek do kręcenia powroza. Przyniósł on zkądś kłaków i kazał Marysi kręcić sznur ze sobą, bo co prawda nie było starego do prowadzenia na nim gwiazduli, ale i nie dobrze prowadzić na starym powrozie...

Kiedy skręcili, obwiązał go gwiazduli koło rogów, Marysia obrzuciła ją trzaskami, aby było za nią dużo pieniędzy i zabrawszy na jedną rękę małego Kubusia a w drugą kija kawałek, pogoniła gwiazdulę za Walkiem. Markotno jój było bardzo, jak gwiazdula zaczęła do cielisi ryczeć i rozpłakała się za nią, ale że ją wstyd było idących i jadących ludzi, więc żyzy czempredzėj ukryła i pognęła dalej.

* * *

Blizko na dwa kilometry przed miasteczkiem spostrzedz można było przy drodze siedzących żydów i żydówki, którzy przechodzących zatrzymywali, niesione na sprzedaż wiktuały i nabiał prawie z rąk wydzielali i poniżej wszelkiej ceny za nie ptalili. Niejedna kobieta, nie mogąc już wydrżnąć z rąk lub z koszyka swego garnuszka masła, wolała dostać jaką taką zapłatę byle się od natrętów uwolnić, którzy w ostatecznym razie odsyłali niechętnych do żon, mężów, synów, matek i t. p. szynkujących w miasteczku, przyobiecując, że skoro się do nich zgłoszą, z pewnością tyle kieliszków haraku, lub tyle szklanek piwa otrzymają. W rzeczy samój kobieta, sprzedawszy przed miaste-

czkiem masło, a nie mając zresztą żadnego interesu prócz może kupienia funta soli lub stereotypowego garnka, jeżeli nie z innego powodu, to dlatego wstąpi do szynku, wypije—ale i zapłacić musi! Takie interesa umieją robić nasi małomiasteczkowi żydkowie!

Kiedy Walkowie zbliżali się do Wielopola przyskoczyła do Marysi jakaś żydówka i pytając, co ma na sprzedaż, poczęła jej przetrząsać chustkę, zajrzała do zawiniątka, w którym na plecach niosła trawę dla gwiazduli, omal że jej dziecka z rąk zdjąć nie kazała, nie wierząc, aby tak szła na jarmark z gołemi rękami. Marysia odganiała natrętną, ale nie mogąc się uwolnić wezwała pomocy Walka i ten dopiero groźbą potrafił usunąć z drogi niebezpieczną zapórę.

Rynek wielopolski prawie już cały zapełniony był wozami, kramami, trzodą, bydłem i końmi. Wśród tego taboru przesuwwały się ruchome fale ludzi, kłócąc się, wrzeszcząc i poszturchując wzajemnie. Nie mogąc się docisnąć do głównej targowicy, stanęli Walkowie na uboczu—a że to było przed t. zw. „pod cieniami,” usiedli na podmurowaniu, dali trawy ryczącęj gwiazduli i sami czemś posiłić się postanowili.

Długo nie było żadnego kupca. Już słońce zeszło z południa, a o gwiazdulę zaledwo się jakiś żyd spytał, a uznawszy, że na rzeź za chuda, poszedł nie nawet nie obiecawszy. Stracili Walkowie powoli nadzieję sprzedania, gdy w tém zjawił się jakiś otyły gospodarz ze Szkodny i przypatrzwszy się gwiazduli, zapytał o cenę.

— Sześćdziesiąt—odpowiedział Walek.

— Ho, ho, to się ta skarucha chyba złotem doi!... — zaczął żartować, oglądając jej wymię, rogi, a wreszcie patrząc na zęby dla poznania wieku.

— Moiściewy—zagadnęła Marysia—przecież tóż to krowa młoda, dopiero po ocieleniu i daje na podój dobry garniec mleka.

— Takie zbiedzone, schudzone...—gderając mówił gospodarz.

— A to się tóż właśnie u was odnieda!—mówił Walek—bo przecie młoda krowa, to i przyrośnie i nabierze mięsa.

— No—rzekł w końcu gospodarz—dam cztery i styrdzieści.

— O, moi piekni—rzekła Marysia—przecie tóż naszój krzywdy nie chcecie, a za te pieniądze, to chyba jałówkę dostaniecie.

— Kupię woty!—zaśmiał się gospodarz i poszedł.

— Pirsy i pono ostatni—zakonkludował Walek.

Ale gospodarz ze Szkodny zakreślił się między bydłem i nie tracąc naszych z oka po chwili powrócić.

— No, od czego nie dacie? — zapytał, biorąc rękę Walka i silnie w nią uderzając swą dłońią. Był to znak, że chce kupić.

— Nie dam, bo nie mogę—odparł Walek. — Jak chcecie gospodarzu kupić, to dacie pięć i pięćdziesiąt i weźmiecie gwiazdulę.

— Słuchajcie — rzekł gospodarz — ja chcę kupić, wy chcecie sprzedać, dam osiem i styrdzieści i krowa moja! — dodał, uderzając znowu w rękę Walka.

W tej chwili stanął obok nich Liber. Podczas jarmarku nie wychodził on na wieś, ale chodził po targowicy i faktorował, co się dało.

— Kupujecie Grzegorz? — zapytał gospodarza — kupujecie tę krowę? Ee, piękna krowa, młoda krowa, — rzekł zaglądając jej w zęby — warta sześćdziesiątkę.

— Posedbyś, żydzie, między gęsi, a nie wtrącał się tu do nas — ofuknął go Grzegorz.

— Po co między gęsi, na co między gęsi? Cy wy myślicie, że ja krowy nie mogę kupić. Ile dają? ile dają? — pytał się natarczywie, zwróciwszy się do Walka.

Zanim Walek potrafił odpowiedzieć, zawołał Grzegorz:

— Pięćdziesiąt! — dać?

— Co? pięćdziesiąt? — przerwał Liber — za taką krowę? ja daję pięćdziesiąt dwa.

Grzegorz się rozgniewał, zaczął lżyć Libra i obiecywał go skarżyć. Walek mrugnął na Libra.

— No jeżeli chcecie, Grzegorzu, gwałtem kupić, to dajcie, ile ja daję a ustąpię.

Targ w targ, Grzegorz nadłożył i pięć szóstek dodał Marysi na igły i... gwiazdula przeszła w obce ręce.

Walek obejrzał się za Librem, aby mu podziękować i podług możliwości dać faktorne, ale Liber szepnął mu tylko do ucha: „Dziadosz u Borucha“ i zniknął w pobliskiej sieni.

Marysia spłakała się przy oddawaniu gwiazduli. Ugłaskała ją po łbie, po grzbiecie, poskrobała za uszy, i tylko ciągnięta przez Walka ustąpiła, pozwalając Grzegorzowemu parobkowi uprowadzić ryczącą gwiazdule.

Pamiętając na słowa Libra, poszedł Walek do Borucha i pociągnął za sobą Marysię.

Boruch, był to jeden z najzamożniejszych żydów w miasteczku. Miał sklep korzenny i wyszynk piwa i wina; miał trafikę tytoniu i cygar, a przytém sprzedaż stempli, słowem prawie wszystko. Do niego podczas jarmarku gromadzili się wójtowie wsi okolicznych a racząc się nawzajem „harbatą“ nieraz z obecnym tam pisarzem, p. Cybuchem, załatwiali sprawy urzędowe. Oprócz nich gromadzili się tam zamożniejsi gospodarze, także na harbatę, bo ta stała się od pewnego czasu modnym napojem chłopów.

Gwar i ścisł nie do opisania panował w sklepie i dwu izbach, które Boruch na usługi publiczności oddał. Miał on jeszcze pobocz swoją sypialnię, ale tę otwierał tylko dla szczególnie szanowanych gości. Wprawdzie Dziadosz nie należał do najpoważniejszych, ale zostając w stosunkach z Boruchem potrafił uzyskać wstęp do tego sanctuarium wraz z wójtem swjej wioski i pisarzem. Zeszło Walkowi dosyć czasu na szukanie Dziadosza, aż się o niego u p. Boruchowej dopytał. Zastał go rezonującego i rozpartego na wytłoczonej Boruchowej sofie, palącego cygaro. Na widok Walka nasrożył się trochę.

— A, tero panie, cegóz tu potrzebujes?

Walek zostawił Marysię przy drzwiach, a sam uchwycił za nogi po kolei wszystkich trzech obecnych, i przedstawił Dziadoszowi swą prośbę o odstąpienie mu placu pod budą na wieczyste.

— A skądże ty taki pan, że ty możesz kupić kawałek gruntu?

— Ot sprzedałem ta klempinę, ta i chciałbym się jakoś z powinności dla was wypłacić. Ja wiem, żeście się na mnie o młockę gniewali, ale darujcie Macieju, bo trudno było o głodzie babę z dzieckiem w chałupie zostawić.

— Nie byłbym ja ci folgował—odparł Maciej—zeby nie ten zyd Liber, co mię ciągiem mitygował. A cożes mu dał za faktorne?

— A cozbym mu dawał, skoro ja o nicem nie wiem.

— No—przerwał p. pisarz Cybuch—jak ma być interes, to naglikiem. Akuratnie mam stemple, spisz się kontrakt i sprawa skończona, bo i pan wójt przytém.

— Ja ta nie od tego—rzekł Maciej—bo ta z tego kawałka nie mam użytku. Ale dasz trzydzieści papierków?—zapytał Walek.

Walek począł się spraszać i chwytając za nogi znowu obecnych prosił o opust.

— O jaki to kawałek idzie?—zapytał wójt.

— A ten nad rzeką, gdzie moja buda stoi—objaśnił Walek.—Będzie tego nie wielkie trzy zagony...

— Ho, ho,—przerwał Maciej—będzie ta tego więcéj, ale dam ci naprawdę za dwadzieścia.

I Marysia począła go ścisnąć za nogi, prosząc; ale od dwudziestu nie odstąpił. Spisano kontrakt, Walek zapłacił Maciejowi, p. pisarzowi za stemple podwójną należytość i za pisanie, a chowając resztę pieniędzy na taksy, podatki i t. p. miał już z Marysią wychodzić.

— O poczekajno jeszcze—rzekł zmieniony i udobruchany Maciej.—Skoroś ty teraz gospodarz, to się możesz z gospodarzami harbaty napić, abyś wiedział, z kim masz do czynienia.

Huknął na żyda i kazał przynieść nowe szklanki herbaty dla wszystkich. Żyd przyniósł flaszkę „haraku” i pięć szklanek ciepłej wody; ponalewano sobie do pełna araku, i potem po upiciu jeszcze doczyniono, czestując się i trącając szklankami.

Podchmielony Maciej nie pozwolił odejść Walkowi, choć go Marysia kilkakrotnie za sukmanę pociągała, bo już zmrok zapadł. Walek musiał także kazać dać herbaty, i czekać tak długo, aż Macieja wyniesiono prawie na wóz czekający na niego. Walkowie oboje siedli także, bo im Maciej kazał.

— Znajcie, żem dobry—mówił chwając się na wozie.

Marysi nie przywykłej do „haraku” zawróciła się nieco głowa. Przypomniała sobie w drodze gwiazdulę i w głoś płakać począła.

— Cichobyś była babo,—zakonkludował Walek—przecie i z cieglecia będzie krowa.

— Ta jużci prawda—odparła Marysia—a przecie żal stworzenia i tyła.

Z LITERATURY NADOBNEJ.

PRZEZ

St. M. Rzętkowskiego.

1. Deotyma: Polska w pieśni. „Wanda.“ Warsz., 1887, str. 286.
2. J. Gadowski: „Larik.“ Tragedya z motywów dziejowych. Warsz., 1886.
3. J. Łabuński: „Agrypina, Neron.“ dramat historyczny w 5-ciu aktach z prologiem. Warsz., 1885.
4. Zenobiusz Drakuli (pseudonym): „Domna Rozanda.“ Dramat historyczny w 5-ciu aktach. Krakow, 1886.

Mam pisać sprawozdanie z belletrystyki?... Tak. Nie kryję przed sobą trudności, jakie to zadanie nastęrcza, ale nie mam też zamiaru wmawiać w czytelnika, że nie przedstawia ono ponęt i uroków. Zawsze to sztuka, choć tylko pisana, a sztuka ciągnie ku sobie, wabi, uśmiecha się, czaruje i upaja. Kto wkracza w słoneczną jej krainę, ten mimowoli poddaje się wszystkim jej wpływom i silnie na wodzy trzymać się musi, aby zamiast rozważnego sprawozdawcy, nie stał się zeń bezwarunkowy wielbiciel. Tak to łatwo, tak bezwiednie przychodzi, że doprawdy nic dziwnego, iż na punkcie sztuki panuje taki nieprzebrany chaos pojęć, sądów i wyroków.

Oczywiście, nie będzie mnie tu zajmować belletrystyka obca, chociaż i to przyznać muszę, że będę zniewolony nieraz zbacać do źródeł, z których płyną wzory dla naszych autorów. A niezawodna to rzecz, że źródła te biorą początek przeważnie w piśmiennictwie nadobném francuzkiém. Kto bowiem sobie wyobraża, że różni się dzisiaj bardzo od naszych praocjów, dla których Racine, Voltaire, Boileau i Laharpe byli prototypami, ten się grubo myli; zmienity się tylko czasy i osobistości. Hugo, Musset, Dumas i cała falanga ich rodzimych epigonów stanowią dla nas kohortę kadrową; idziemy za nią wytrwale, a codzienna krytyka nasza tak bardzo nam w tém dopomaga, że aż szkodzi rozwojowi narodowych idei i samodzielności kierunku własnej naszej literatury. Na komedyi, na dramacie, na poezyi odbija się ten wpływ wyraziście; powieść zdradza więcęć samodzielno-

ści, a od krótkiego nawet czasu kopie sobie odrębny gościniec, dzięki wpływom postępowego prądu. Wołanie o realizm zwraca powieściopisarzy naszych ku najbliższej ich naturze; chwytanie typów miejscowych, malowidło rodzimego krajobrazu, śledzenie rozwoju idei własnego społeczeństwa jest już dzisiaj tak dobrze obowiązkiem piszących, jak niegdyś było nim mdłe i ulotne szkicowanie różnych Julii i Alfredów, którzy mogliby się przystrajać zarówno w wycięte gorsy i żółte sztylpy Księstwa warszawskiego, jak w pudrowane peruki i haftowane zaboty z czasów Ludwika XV-go.

Niepodobna też zaprzeczyć, że ten zwrot realistyczny wychodzi na wielką korzyść powieści naszój. Nie jest już ona dzisiaj romansem, który pozwalał na beceremonialne lekceważenie prawdy—staje się powoli wizerunkiem i dokumentem.

Powieść dzisiejsza depcze zawzięcie starą zasadę „sztuka dla sztuki.“ Lat temu kilkanaście zastąpiono ją zasadą tendencyjności, która zwolna wkradała się do piśmiennictwa nadobnego i zwolna też zmieniała jego fizyognomię. Pamiętamy zapewne wszystkie doskonale rymowane utwory, które w szumnych frazesach opiewały wysokie zalety programu „pracy organicznój.“ Z drugiej też strony nieuniknionem się stało wglądanie w te sfery życia, w które ów program najpierw zapuszczał swoje korzenie, lub których na gruncie dedukcyjnie wyrastał. Gwoli takiemu wglądaniu poezya zaczęła się obrazkami zadymionych kuźni, pędzących lokomotyw, brudnych suteren, w łachmany przyodzianych nędzarzy — zaczęła się owym naturalizmem, co to był tylko krańcowym przewrotem romantyzmu, nieczem więcej. Walono kowalskimi młotami w marmurowe statuy poetyckich ideałów, kopcono szyderczo bóstwom idealizmu, miasto im kadzić, i poeta (co prawda nie każdy) między rokiem 1865 a 1875 nie mógł nie uderzyć w huczący tołumbas programowy, jeśli nie chciał przepaść w natychmiastowem zapomnieniu. Jeżeli jaki.. nadpleśniały trubadur strumyka i wiosny na słodkim bardonie poważył się zabrzdąkać piosenkę na temat wiecznej miłości i poezyi — śmiano się z niego tak wesoło, jak się dzisiaj śmieją z clownów cyrkowych.

Potrosze otrząśnięto się z tego brudnego naturalizmu; złagodzone go, rozszerzone, zmierzono z prawdą życiową i z tego amalgamatu zrodził się realizm. Tendencyjność programowa, mająca na celu kowali, przekupki, stróżów kamienicznych, podpalaczy urosłych w sferze determinizmu, krzycząca w niebogłose przeciwko wszystkiemu, co sięgało ponad ulubione podstawy, złagodniała o wiele i zajęła stanowisko na ogólnym gruncie humanitarności. Jeszcze są wprawdzie i dzisiaj tacy, co grożą pisaniem epepei chłopskiej, ale zapowiedź taka budzi natychmiastowy śmiech i taka poezya programowa nie zyskuje już naiwnej wiary. Po kilkoletnich próbach przekonano się, że nie ma ona siły rozplomieniania umysłów i serc, że kończy się na szumnych wykrzykach i strzelistych frazesach,—że ta jój naturalistyczna i reformacyjna tendencyjność nie brata się bynajmniej z pięk-

nem, które, bądźcobądź, zostanie na wieki wieków poezyi żywiołem naczelnym, jój duszą i jój siłą.

Dawnemi czasy powieść była tylko poddziałem poezyi, a działo się to wtedy, kiedy nie wykraczała jeszcze poza zakres romansu. Dzisiaj idzie ona na czele, a jest tak dla tego, że życie, rozbite na najrozmaitsze kierunki i ścieżki, szuka w niej jakiegoś dośrodkowego punktu, ogniska, w którémby się w cząstkach swoich w całość zespolić mogło. Powieść jest jego wizerunkiem, jest odbiciem tych rozstrzelonych dążeń, jest potężnym tygłem, w którym oddzielne grudki topią się i spływają w jedną bryłę. Jednostki coraz bardziej zastępują w niej społeczeństwo, ze swemi brakami, potrzebami i dążeniami. Powieść na tój drodze oddala się szybko od romansu i od poezyi, a nie skryształizowana w formie, wtlacza w nią i traktaty filozoficzne, i tezy moralno-społeczne i drobnostkowe badania charakterów i typów. I ci, co lekceważą zadanie powieści, są w niemałym błędzie: wszak-ci to ona, jako obraz życia, jednostkowego czy społecznego, jest apostołką głoszącą jego prawa ogólne, wnioski z rozbitych zjawisk wyprowadzane, idee poczerpnięte z faktów i kolizyi, z objawów poszczególnych, których już nie wytwarza z fantazyi, ale je czerpie z rzeczywistości. Dlatego właśnie, mojem zdaniem, powieść dzisiaj jest bardziej wyrazem czasu i jego ducha, niż sama nawet poezya; ona jój przygotowuje ścieżki, prostuje drogi, trzebi gościńce pochodu w umysłach mas i tłumów. Tak bliska życia i prawdy życiowej, tak obszerna co do zadań swoich, tak rozlicznemi działająca środkami — powieść niezaprzeczenie jest i być musi najpopularniejszym ze wszystkich tworów literatury.

Czémże więc ma być poezya?

Oczywiście nie traktatem filozoficznym lub etycznym, nie obrazem realnym życia, nie wykrzyknikiem programowym, ale tém, czém była istotnie po wsze wieki: wcieleniem czystego piękna. A gdzie go szukać, po czém je poznać i jak je zdefiniować? To już dla ludzi zostanie na wieki tajemnicą—zagadką, do której klucz leży w sercach poetów, w fantazyjach artystów, w tworach ich twórczości—w tém, co musi być faktem pierwej, niż jakąś stałą regułą tworzenia. I naprózno teoretyczne spekulacye usiłują ująć to w definicyą, co jest nieujętem—piękno jest tém, czém jest—oto wszystko, a ponad to nic więcej. Pozwala się tworzyć, pozwala się w gloryi ukazywać oczom tłumów, pozwala się uwielbiać, ale nie daje się rozpoznać i określić. Zstępuje do poezyi i do sztuki, jak duch ożywiający, lecz ucieka podstępnie od wszystkiego, co się go brutalnie chce dotknąć. Dlatego to krytyka wobec sztuki i piękna po wsze czasy będzie tylko sporem de lana caprina, rozterką bez końca. Piękno jest jak źródło żywej wody, które dla wszystkich wystarczy, tylko dla tych bić przestaje, co nie mają pragnienia i nie potrzebują ochłody.

Jeżeli, jak chcą najświeższe twierdzenia dosyć absolutnej postępowości, ideały są głupstwem, tedy i sama poezya głupstwem jest,

a piękno urojeniem. Proszę się o to zapytać poetów i artystów, co sądzą o podobnych twierdzeniach. Uśmiechną się litośnie, wzruszą ramionami, a w chwili, gdy ich ogarnie zapal twórczości, zawołają wielkim głosem: kłamstwo! Ani ideały, ani piękno urojeniem nie są — są za to najrzeczywistszą rzeczywistością. Ale gdzie źródło jednych i drugiego, to znowu zagadka. Że i jedne i drugie zmieniają się wraz ze zmianą pojęć, to niezawodna, ale ideały są najprostszym właśnie wynikiem tego ustawicznego porywania się ku rzeczom nieznanym, tego dążenia w krainę tajemnic, bez którego sam postęp byłby niemożliwym. Są one nie czem innem, tylko ową wielką niewiadomą, owem wiekuistém X, które po cząsteczce umysłowi ludzkiemu odślania się, ale nigdy całkowicie poznać się nie daje. I zdaje się, że w przestrzeni olbrzymiej, dzielącej pragnienia wiedzy od ostatniej zagadki wszechbytu, w tęsknocie, w bezsilności, w rozpacz, w dumnych porywach na owo X, w rozkoszy poznawania, zdobywania i samej walki tkwi źródło piękna, które czem jest — ach, któż to powie?

Poezyo, ty mówisz to najlepiej i najwyraźniej, gdy tęsknisz, pragniesz, gdy cierpisz, bolejesz, gdy nawet bluźnisz i przeklinasz. Mówisz to najjaśniej, skoro przemawiasz uczuciem, bo ono jedno jest żywym świadectwem piękna i żywym jego wynikiem. Jest jego objawem i echem, miarą i świadectwem, jest jedynym sprawdzianem jego obecności...

Okazało się to najdowodniej w epoce romantyzmu, który na uczuciu się oparł, przeciw wyrozumowanym teoryom postawił zaciętą walkę fantazyi, który niepowszedniość zaliczył do ideałów i tak silnie wierzył w nieokiełznaną swobodę twórczości, aż ją nieledwie do absurdu doprowadził. Ale jakże go odczuwano, jak chłöniono, jak mu otwierano na oścież serca i dusze! A gdy przebrzmiał w fałszywym, końcowym akordzie, zarzucono go kłótwami, niby szaleńca, który tak szkodzić umie przez głupstwo, jak łotr przez niegodziwość. Nie policzono mu nawet i tego za zasługę, że był zwiastunem swobody w walkach umysłowych o prawdę i rzeczywistość, że rozwiązał powijaki, w których skrepowana ludzkość lękała się stąpać nie po utartych ścieżynach. Zapomniano, że gdyby nie ta rozkiełznana fantazyja, co otworzyła wrota do krainy upiórów, widm i mar, aniołów i szatanów, co używała kolosalnych rysów na drobne rzeczy i świat martwy ożywiała technieniem demonów, dzisiaj kto wie, czy wyswobodzony z kajdan formalistyki umysł odważyłby się wołać: precz z ideałami!

Dzisiaj, co prawda, wołanie to zaczyna eichnąć; ludzie potrosze poczynają rozumieć, że ideał niekoniecznie jest kołkiem do zabijania głowy i gwoździem do trumny dla zdrowego rozsądku. Rozumieją też nieźle, że cel nieznan, do którego się dąży, którego osiągnięcia pragnie, który się nadewszystko przeczuwa na zasadzie prenis, jakie nagromadziła przeszłość — nie jest znowu czemś tak niedorzecznem, aby go bezwarunkowo na zatracenie skazywać należało. I nie jest to już tajemnicą, że ideał nie potrzebuje być romantycznem przywidzeniem,

widmem przystrojoném w świecidelka. Wolny oddech tłumów, dobro ogólne, dojrzałość umysłów, równość dusz bratnich, światło, które jest przynależnością wszystkich umysłów, sprawiedliwość bez wyjątków, ach doprawdy, czyż to nie są najpiękniejsze ideały wszystkich, nawet tych, co im prawa bytu przeczą? A gdzież jest ich wcielenie w rzeczywistości? Niéma go i zawsze będziemy mieli do czegoś dążyć, czegoś pragnąć i za czémś tęsknić... nawet w stanie tak zwanéj umysłowej trzeźwości.

Po wybujająć nad wyraz fantastyczności romantyzmu, po reakcyi, wołająć precz z ideałami! po bezwarunkowéj tendencyjności przyszła kolej na zwrot do piękna, do ideałów praktycznych, że tak powiem, stokroć wznioślejszych niż romantyczne. Ale nazwać je po imieniu występkiem nie jest i wypierać się ich nie należy. Wszak ci bez nich pożyzi i sztuki być nie może.

W szeregu najświeższych nabytków poezyi znajdujemy utwór, któtemu się należy pierwszeństwo „z wieku i urzędu...“ Jest to „Wanda“ Deotymy, owa „Wanda,” która poczęła się temu lat dwadzieścia i kilka, a niedawno dopiéro ujrzała światło dzienne.

Autorka na karcie tytułowój nie wypisała bynajmniej słowa „dramat,” ale wolno się domyślać, iż utwór swój do tego zalicza rodzaju. Świadczy o tém końcowy dopisek, w którym Deotyma twierdzi, iż „Wanda,” przy odpowiedniém skróceniu, na scenie wystawionaby być mogła. Z drugiej jednak strony utwór ten, ściśle biorąc, dramatem nie jest, bo dramat nadewszystko musi być obrazem czynu, walki, podejmowanój bez przymusu i prowadzonój samodzielnie, tymczasem w „Wandzie“ na rozwój akcyi wpływają siły zaświatowe, wola bogów, która w niej bierze udział czynny przez pośrednictwo działających widomych, księż, kapłanek, w części tylko postaciujących w sobie idee i siły nadprzyrodzone.

Legenda o Wandzie i Rytygierze służy tu za wątek, około którego akcyja płacze wypadki, gwoli dosyć swobodnemu pomysłowi autorki. Wanda naprawdę nie dlatego nie chce Rytygiera, że jest niemcem, lecz że w wiosnie swego życia zaprzysięgła bóstwom dośmiertną samotność. Kocha go i sama mu to wyznaje, ale ślubów targać nie chce i woli się utopić, niż bogom swoim wiare złamać.

Walka uczucia z obowiązkiem to śliczny motyw dla poezyi i dla dramatu, ale w „Wandzie“ nie jest wyzyskany dramatycznie. Bez interwencyi i ostrzeżenia księż, Wanda uległaby napewno namiętności i śluby złamała; zdaje się to najzupełniój prawdopodobnióm. Interwencya ta paraliżuje niezmiernie dramatyczną siłę walki uczuć, zabarwiając kulminacyjne sceny liryzmem. Wanda przez to traci wiele na samodzielnej energii bohaterki dramatu, ale zyskuje na charakterze postaci legendowój. Szkoda jednak, że pod innym względem piękna królowa Lechii przedstawia się mgliście i niejasno; oto autorka,

opierając się na podaniu o Libuszy czeskiej, której kroniki przypisują zachcianki emancypacyjne, zrobita Wandę naczelniczką jakiegoś niewieściego ruchu postępowego, przewodniczką amazonek, walczących o jakieś urojone, bo nigdzie niesformułowane prawa kobiety. Przenosi to córę Krakusową w jakieś czasy romantyzmu rycerskiego, o wiele późniejsze, a intencją jej skonu, jako ofiary dla „ducha narodu,” robi trochę niejasną. Czy Wanda umiera dlatego że nie chciała Niemca, czy że zaprzysięgła bogom czystość dziewiczą, czy też że nauczała swoje amazonki, iż się kobieta bez mężczyzny obejść może — to w rezultacie wydaje się niejasnym. Płaczą się te trzy kwestye w utworze tak, że wkońcu pozostawiają w czytelniku wrażenie niepokojącej niepewności.

Dramatem tedy „Wanda“ nie jest, ale jest poematem udramatyzowanym, którego legendowe żywioły pozwoliły autorce nadać mu cechy bogatej fantastyczności. Jeżeli w postaciach głównych nie odnajdujemy czystych pierwiastków dramatyczności, a nadewszystko obiektywizmu, który w odniesieniu do epoki bajecznej byłby czemś nienaturalnym i poprostu niemożliwym, to przynajmniej w pewnych a dosyć częstych momentach musimy im przyznać wybuchy dramatyczne, porywy siły i namiętności, niestety, rychło paraliżowane przez siłę wyższą pozaświatowej interwencji. Ten Rytygier, to postać niepowszednia, ale przez to i nie ludzka. Namiętny, wrzący, ufny w szczęśliwą swą gwiazdę, dumny, piękny, zuchwały, pochopny do walki, chciwy władzy i wielkości — nosi w swęj duszy wszystkie zarodki bohatera tragicznego. Niestety, znowu pozaświatowe fatum marnuje w nim te wszystkie zasoby dramatyczne i czyni narzędziem i celem przypadkowej konieczności. Tak mu to szkodzi, tak go wynaturza, że biedny książę Rugii w chwilach najnamiętniejszych wybuchów nie krzyczy, nie woła, nie przemawia — śpiewa jak sztucznie unoszący się trubadur! Liryzm w takich momentach mści się bez miłosierdzia na dramatyczności, prześladuje ją zawzięcie, a całość przyobleka w miękką szatę fantazyi, górującej tu i królującej wszechwładnie.

I istotnie, rozsiewa ona po całym utworze niepospolite skarby piękności. Cały prolog, cały akt II (na Rugii), to czyste perty poczty, które potyskują wszystkimi blaskami natchnienia. Krajobraz karpacki w prologu, z Wandą i ksieniami, z postami narodu, którzy córce Krakusa tron ofiarują — wszystko to stanowi całość prześliczną i pełną uroku. Jest w tém jakieś delikatne, subtelne echo „ciszy greckiej,” rozlewającej wokoło łagodny czar upajających wdzięków. Pogoda i jasność królują nad zrębami skał — to ustronie ulubione przez bogów staréj Lechii nie przeraża niczem, oddycha łagodnością mitologii lechickiej, słodką wonią miodu i dziewanny.

Przepięknym kontrastem tego obrazu jest Rugia, z zastępem swoich bojowników i Rytygierem na ich czele, z obrządkiem krwawym Herty, z walką arcykapłana o władzę, z buntem rycerstwa i rykiem niedalekiego Baltyku. Istne siedlisko demonów, co przyjęli kształty

ludzkie. Karpaty i Rugia (a pierwsze powtarzają się raz jeszcze w akcie IV-ym), to niezaprzeczenie najpiękniejsze ustępy poematu, który, mimo to, że dramatem nie jest, jest przecież fenomenem poetycznych niemałego blasku. Ogromne bogactwo szczegółów, przyodziewającym całość w szatę królewskiej wystawności, ogromne bogactwo formy wiersza, niepospolita piękność języka, z którym się tu autorka pieści miłośnicie, najzupełniejszy brak programowości tendencyjnej, którą zastępuje ukochanie poezji dla niej samej, jasna pogoda myśli twórczej, niezamącona pamiętaniem o wymaganiach chwili i pojęć obecnych— to cechy tego utworu, które go stawiają w rzędzie cennych nabytków literatury. Jest on sam w sobie oddźwiękiem tych lepszych czasów, w których umysł poety, niespełnany więzami rzeczywistości smutnego istnienia, oddawał się całkowicie swoim aspiracyom, niemi żył, niemi oddychał i przez nie tworzył.

Bardzo wyrazistym kontrastem tej twórczej pogody jest „Larik,” tragedia „z motywów dziejowych” napisana przez J. Gadomskiego. Larik nie jest ani królem, ani niewolnikiem — nie rozkoszuje się władzą, nie cierpi przez niewolę. Ukochał swój naród, miłość tę wszczepił w krew swoją i dobrowolnie podejmuje walkę, aby w niej zginąć. Rzeczą odbywa się w epoce najazdu rzymskiego na Brytanię. Larik kocha i nienawidzi zarazem; nienawiść jego odnosi się do rzymian i jest drugim czynnikiem jego psychicznego rozwoju. Miłość nakazuje mu lekceważyć własne bezpieczeństwo, poświęcić wszystko, nawet rodzinę i życie swoje; nienawiść czyni go zabójcą, podpalaczem, obłudnikiem, kłamcą... Przeklina ją i złorzeczy jej, ale raz dawszy jej się pchnąć na drogę czynu, spada w przepaść zaguby bez chwili przestanku, jak rzucony kamień.

Kiedy Larik ukazuje się poraz pierwszy, jest tylko konspiratorem; rychło jednak przychodzi mu stanąć na czele obmyślanej przez się sprawy, a to już wprowadza go na drogę czynu. Tu istotnie bierze początek tragiczny rozwój jego duszy. Aby skompromitować rzymian, każe podpalić cyrk wczasie widowiska. Mniejsza o to, że w tym płonąącym cyrku spłoną tysiące jego ziomeków; on wie doskonale, że to tylko cząstka tej wielkiej całości, za którą sam gotów umierać. Pierwej przecież morduje pośrednio jednego z wysłańców Galgaka, wodza brytańskiego, z którym jest w zmwowie. Ha, konieczność! Wszak-ci to sprawa walki o niepodległość, a walka taka, to nie odpoczynek, nie sen, nie spokój, nie miękkość! A gdy zdradzony dostaje się do więzienia, morduje tam drugiego człowieka już własnymi rękami, byle go uczynić martwym narzędziem swojej woli. Morduje potem własną córkę, nałożnicę znienawidzonego rzymianina, i przeklina samego siebie za to, że był jej ojcem. Już mu nie pora ustawać w tej krwawej gonitwie za mordem, skoro raz ją rozpoczął. Musi tak być, bo tak chce nieublagana logika przyczyn i skutków, niecofnięte nigdy następ-

stwo czynów, których śmiertelny łańcuch sięgnął dlań ostatniem ogniwem aż do karzącego krzyża.

W postaci Larika, w akcji, która z niego bierze początek i na nim się kończy, w tym stopniowym rozwoju uczuć i namiętności, jakich on jest wcieleniem, autor przeprowadził rzecz swą niezmiernie konsekwentnie i dosadnie. Siła wrząca, druzgocząca wszystko, dominuje tu niepodzielnie. Dramat rozpoczyna się nią jak z kopyta—bez żadnych zdawkowych ekspozycyjnych przygotowań. Na Lariku też od pierwszego ujrzenia pomylić się nie można: czytelnik czuje, że człowiek ten, pozornie zimny, podstępny, rozważny choć bystry, jest uosobieniem energii i siły, która się nie chwieje nigdy i nigdy nie ustępuje.

Tę samą energią i stanowczością, tylko w odwrotnym kierunku, daje dowody Branio, krańcowe przeciwieństwo Larika. Jest on wcieleniem egoizmu i wypływającego ztąd oportunistyzmu. Dobrze jest, tak jak jest, byleby jemu nie było źle. O to postara się sam. I stara się naprawdę, podstępem, zdradą, zatrąca sprawę narodową, całą przyszłością ogólną niedoli. Gubi Larika i podniesioną przezeń walkę, bo tym sposobem w oczach rzymian zyskuje uznanie, a zasługę w oczach tłumów, co w walce udziału mieć nie chcieli. Rzymianie wynagrodzą go, a brytowie okrzykną swoim dobroczyńcą. Zyska wiele na powadze i na stanowisku. Powszechna burza przypędzi wodę na jego prywatny młynek, na którym mleć będzie potem gorliwie, oczywiście dla siebie. Wprawdzie widok konającego na szubienicy Larika rodzi w umyśle jego pewne wątpliwości, sumienie kołacze mu do serca chwilowym wyrzutem, ale to uczucie Judaszowe odpędza słowem perswazyi: „Musiałem,“ — które mu może wystarczy do spokojnego spożywania owoców swej pracy.

Okolo naczelną w tragedyi postaci Larika wypadki grupują całą tłum figur przeważnie, prócz Brania, drugorzędnych. Trzeba jednak przyznać, że żadna z tych figur, najszczuplejszy nawet udział w sztuce biorących, nie jest traktowana szablonowo i pobieżnie. A jest dużo takich, które charakterem swoim i dosadnością rysów budzą bardzo żywy interes. Kuno, syn Larika, młodzieniec pełen zapału i ślepej wiary w powodzenie sprawy i kierunek ojca, walczy szczęśliwie o bezwarunkową sympatyą czytelnika. Letta, córka, zaślepiona miłością dla rzymianina Marona na wszystkie inne sprawy świata, oddająca mu się duszą i ciałem przez tę miłość, która dla niej jest prawem nad wszystkie prawa — pojęciami tak oddalona od ojca, jak niebo od ziemi, nierozumiejąca ani jego wymagań, ani swoich obowiązków, nad które przenosi togę elegantki rzymskiej i utrefione włosy — na poły sroka i gęś, na poły suka (jak ją za rubasznie tytułuje ojciec *Red.*)— jest wybornym typem kobiety ograniczonej, głupiej, zepsutej poziomem marzeniami i pragnieniami, w której poza chucią i nerwami zwierzęcemi niema nic więcej. Powiedziałem, że Larik ją zabija... zabija w okrutny sposób, pastwi się nad nią. Miecz jednak, którym wierci w jej wypie-

szczoném ciele, nie wydobywa z niej ani jednego jęku żalu, ani jednego słowa, zdradzającego, że Letta zrozumiała o co mianowicie chodzi. „Czego chcesz odemnie?“—to wszystko, czém swoją niewiadomość manifestuje. Dowiedzieć się zresztą niczego nie pragnie—wszystko już poznała, co ją obchodziło, wśród pieśzcot Maronowych.

Wyborne sceny zbiorowe—lud bezmyślny i jak trzcina chwiejny, młodzież w małpowaniu swych zdobywców rozlubowana, lub do czynu ze ślepych zapalem skora, wodzowie Galgaka, intrygujący przez egoizm przeciw Larikowi, Legat rzymski w otoczeniu współziomków, którzy wierzą w prawomocność swęj władzy i wyższości z całym przekonaniem brutalnej siły — to pyszna całość tragedyi, opartęj na „motywach dziejowych.“

A gdzie są te motywy? O najeździe rzymian na Brytanię i jęj buncie przeciw najezdnikom historia mówi tak mało, że z tego okrucucha tragedyi zbudować niepodobna. Wysnuł ją tęż autor z fantazyi własnej, tylko echu „motywów dziejowych“ kazał się odzywać w działaniu Larika, w jego walce zewnętrznej i wewnętrznej, w przejściach jego psychicznych, cierpieniach, kłótwach, w jego klęsce i skonie. Motywów tu dziejowych bardzo wiele, bo Larik jest jak stu innych, jak cały zastęp tych ludzi, co ongi porywali się z motyką na słońce i bohaterскими ciałami śkali ludzkości drogę do przyszłych tryumfów. Tak mu bardzo brakuje cech rodzajowości, rysów charakterystyki czasu i miejsca, a mimo to jest w sobie samym tak ludzki, tak prawdziwy, tak nieledwie realistyczny, że może wystarczyć za wizerunek całemu zastępowi podobnych sobie, do których sam tęż jest podobnym.

„Larik“ jest dziecięciem bólu i urodził się z cierpienia. Atmosfera, co jego krwią trąci, ciężka jest, gniotąca. I dlatego widzę w nim żywy kontrast „Wandy“, przeciwieństwo „ciszy greckiej“, której tamta jest echem słodkiem i łagodnym odblaskiem. „Larik“ jest synem swojego czasu, swęj chwili, tych niespokojnych szamotań się ducha, których najlepszym wyrazem byłyby Mickiewiczowskie słowa: „Co to będzie, co to będzie?...“

To gorączkowe usposobienie, ten niepokój umysłu wyraźnie się przejawia i w języku, jakim „Larik“ napisany został. Nie jest to język „bogów“, wyokrąglony, wygłaskany, ale szorstka mowa ludzi, którzy bardzo często nie dobierają wyrazów. Czasem odzywają się bezceremonialnie, nie obwijając słów w bawelnę, ale wogóle przemawiają jasno i zrozumiale, a nadewszystko tak, jak czują. Oczywiście jest to zaleta, bo jest w tęp harmonia mowy i uczuć, jest prawda. Mimo to przecież, że autora stać na język własny, pozwala on częstokroć ze słów swoich podzwaniać echem Szekspira, mianowicie tam, gdzie nietylko w mowie go naśladuje, a są i takie miejsca, w których, co do toku myśli, zwięzłości i siły zapożycza się u Biblii. Trzeba mu jednak przyznać, że dopuszcza się tych nieoryginalności w chwilach bardzo odpowiednich. Jego Galgakas, wódz brytański, reprezentują-

cy majestat narodowy i ogniskujący w sobie wszystkie najskrytsze marzenia patriotów, mówi wogóle bardzo mało, ale gdy się odzywa, przemawia stylem biblijnym. Oto próba: „Pokój tym, którzy polegli w nieszczęśliwej walce. Lepiej zawinić zbytciem poświęcenia, niż brakiem. A jak ci miłowali ojczyznę, niech was ich śmierć nauczy, i niech was łzy Larikowe nauczą, od których moje oczy zwilgotniały. A takich ludzi wydać rzymianom byłaby hańba. A że ją najbardziej ci miłowali, którzy jęj najbardziej nie mieli, niech was nauczy jak ona skarb jest i jaki skarb tracą ci, co ją tracą. A ja ją tak miłuję, jakbym tu nad jęj nieszczęściami płakał. Ale moje oczy nie do płakania. Przeto wam powiadam, że wysłuchane jest wołanie wasze. I jest wołanie wasze takie, jak moje rozkazanie“ i t. d.

Próbka ta wykazuje, jaki jest nastrój tragedji J. Gadomskiego, jak podniosłą jest jęj akcja i jakim to szczytnym ulegał wzorom autor, gdy ją pisał. Zapewne, że tu i owdzie dałoby się wynaleźć usterki i uchybienia, ale całość jest tego rodzaju, że przykuwa do siebie, zniewala i do rzędu niepospolitości literackich zaliczać się każe. A kiedy wystawiono ją na scenie krakowskiej i stwierdzono tym sposobem wysokie jęj zalety pod względem sceniczności, godzi się autorowi przyklasnąć serdecznie i... oczekiwać odeń prac następnych.

Skoro wkroczyłem w dziedzinę dramatu, nie od rzeczy mi tu będzie wspomnieć choć pokrótce o dwóch świeżych produkcjach tego rodzaju, z których pierwszą jest „Agrypina,“ dramat historyczny w pięciu aktach z prologiem J. Łabuńskiego, drugą zaś „Domna Rozanda,“ także dramat historyczny pięcioaktowy Zenobiusza Drakuli (pseudonym).

„Agrypina“ ma jeszcze pod głównym tytułem napis: (Neron). co znaczy ni mniej ni więcej, jak tylko, że sam autor nie mógł się zdecydować na główną postać w dramacie. Treść polega na tém, że Neron, przygotowany do zbrodni przez matkę swą Agrypinę, morderstwem spełnionem na młodziutkim Klaudyuszu wywalcza sobie tron, a nie chcąc dzielić władzy z nikczemną rodzicielką, sprzątnąć ją nakazuje. Są to fakta dziejowe, stwierdzone przez historją, a bardzo wiernie przez autora wyzyskane. Ścisłość pod tym względem jest naczelną zaletą sztuki, która jeżeli w epizodach tu i owdzie świadczy o talencie autora, w całości jest utworem słabym i zdradzającym artystyczną niedojrzałość. Bardzo wiele jeszcze p. Łabuński pracować musi, by z tego pierwszego ziarnka jego twórczości wybujało drzewo pewnego siebie i świadomego zadań swych talentu. Sam już jego język wymaga téj pracy, a język to bardzo wpływami obcemi okaleczały. Oto jego próbki: „Z jakim łakomstwem“ (żarłocznością) (str. 7); „niech oko nie zajrzy“ (nie dopatrzy) (11); „musi być tajemnicą, aż...“ (dopóki) (14); „Nero, odejdz“ (16); „błaga

o pozwolenie przysięgać“ (21); „kazała prosić przyjść do niej“ (23); „częścięj jak“ (niż) (32); „w mym ręku“ (36); „moje słowa słuchali“ (moich słów) (39); „urzęda“ (44); „Silana ci pewno natchnęła takie zachcenia“ (45); „wyblanszowanėj“ (w odniesieniu do rzymianki z czasów Nerona!) (48); „z tego zacząć potrzeba“ (od tego) (51); „prosi wybaczyć“ (o przebaczenie) (51); „jeszcze jedno spróbujmy“ (jednego) (51); „ktokolwiek z nas d w ó c h na tronie, ja czy ona“ (dwojga) (53); „dla nas obu“ (zam. obojga) (55); „jesteś nako niec“ (55); „niestworzone rzeczy namówili“ (nagadali niestworzonych...) (60); „senat prosi wyrok ten potwierdzić“ (65); „smutnie uśmiechnięte dziecię“ (gorzko-słodkie) (80); „chowa się odemnie“ (86); „dajcie miecza“ (78). Są to błędy językowe, wybrane na chybił trafitt.

„Domna Rozanda“ jest pracą poważnego zakroju i wykonania. Historia to krwawych dziejów bohaterki tego imienia, córki Bazylego Lupuła, niegdys hospodara wołoskiego, a krótko bardzo żony Tymka, syna Bohdana Chmielnickiego. Za tło dramatowi służą krwawe czasy wojen kozackich i walącój się w gruzy upadku Rzeczypospolitėj. Wprawdzie autor na tém tle uwydatnia tylko rysy dziejów jednej postaci, i to kobiety, która istnieniem swém na sprawy publiczne nie wpłynęła, a to może sztuce odbiera cechę historyczności; z drugiej jednak strony czuć tu w atmosferze ogólny zapach krwi, rozlany w walkach, widać cały tłum postaci historycznych, a za widownię akcji służy szerokie pole wypadków dziejowych, z którymi losy Rozandy plączą się pośrednio.

Dramat, o którym mowa, nie jest produkcją wrzącego talentem dramatopisarza, ale autora, który umie sobie zdawać sprawę z zadania, zna dobrze wymagania formy, w dorywczosć pracy nie wierzy i gmach swój buduje cegiełka po cegiełce, rozważnie, troskliwie, miśternie. Niéma tu epizodów gromowych siłą lub efektem, ale nie brak stopniowania w dramatycznym rozwoju akcji. Cały utwór, napisany jedenastozgłoskowym wierszem, zaleca się poprawnością języka, szlachetnością dykcji i form szczegółowych. Nie brak mu téż i zalet scenicznosci. Nie wywołuje wrażenia potężnego, ale pozostawia czytelnika w silném przekonaniu, że miał do czynienia z dziełem poważném, którego twórca celów swych nie lekceważy, do pracy bez studyów literackich się nie zabiera i dobrze pamięta o kardynalnym przykazaniu: „nie psuj dobrego smaku.“

(D. n.).

PIŚMIENICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Towarzystwo kredytowe ziemskie w Królestwie Polskiem i Kredyt rolny. Napisał J. Kirszrot-Prawnicki. Warsz. 1887. Nakładem S. Lewentala. Str. 340, t. II, 8-o m.

P. J. Kirszrot-Prawnicki, magister prawa i administracji b. Szkoły głównej, pracuje wytrwale i nie bez koszty już od dosyć dawna na zachwaszczonęj u nas jeszcze niwie nauk ekonomicznych i społecznych. Pierwszą pracę jego spotykamy w „Ekonomiście“ 1865 r. p. t. „O stowarzyszeniach zaliczkowych“ (zesz. grudniowy). W latach następujących nie ustawał w pracach na témże polu, bo czytamy studia jego nie tylko w czasopismach („Ekonomista,” „Gazeta Polska,” „Ateneum“), ale i w osobnych książkach, a między niemi rzeczy takie, jak: „Stanowisko stowarzyszeń ludowych w ekonomice“ (1866); „O stowarzyszeniach kredytu ludowego we Francyi“ (1867). „Prawa o procentach ze stanowiska historycznego, prawnego i ekonomicznego“ (1868); „O stowarzyszeniach zaliczkowych, a w szczególności o kasie pożyczkowej przemysłowców warszawskich“ (1870); „Kredyt rolniczy ze stanowiska prawa obowiązującego“ (1872); „Dziesięcioletnia działalność kasy pożyczkowej przemysłowców warszawskich“ (1880). Oprócz tego ogłaszał p. K. w prasie codziennęj liczne drobniejsze rozprawy o kwestiach bieżących, z których zawsze widniała dążność obywatelska, postępową, ale bez zaciekłości doktrynerskiej, która, mierząc łokciem ideologów zagranicznych nie tylko dzisiejsze, ale i dawniejsze stosunki krajowe, nie opierając się na gruncie historycznym poważnych studyów ekonomicznych nie przymnaża w umysłach społeczeństwa światła ożywczego; lecz sieje wiatr przeróżnych teoryi, których korzyść naukowa nader skromna, bo „citius emergit veritas ex errore quam ex confusione.“ (Baco Verulamski)

t. j. że „prędzej wypłynie prawda z pojęcia błędnego aniżeli z pomieszanych różnych opinii i teorii.” W pracach p. K. nie widać gonitwy za jaskrawymi hasłami; ale poważną dążność szerzenia światła zdrowych pojęć ekonomicznych, z chwalebna myślą zastosowania ich w życiu na korzyść społeczeństwa naszego. P. K. nie jest apostołem doktryn, ale badaczem zasad.

Tym samym duchem tchnie także obszerniejsze dzieło autora, którego tytuł w nagłówku niniejszego sprawozdania wypisaliśmy. Nie jest to poślednią zaletą pracy poważnej i naukowej w obec taktyki, jaką się zwykła kierować znaczna część publicystyki naszej względem Towarzystwa kredytowego ziemskiego, względem instytucji finansowej bez zaprzeczenia dobrze zasłużonej krajowi. O żadnym bowiem przedmiocie nie głoszą się tak błędne opinie jak o Towarzystwie kredytowym ziemskim; niczego nie czepia się lekkomyślność z taką pohopnością, powiedzielibyśmy prawie rozkoszą jak — choćby najdonioślejszej — działalności organów władzy tej instytucji. Odgrywa w tém wprawdzie znaczną rolę rozzuchwalona bardzo w towarzystwie naszym żyłka satyry, chęć lubiącego się popisać dowcipu a nawet frazesu; ale najczęściej zupełna nieświadomość przedmiotu, chociaż władze Towarzystwa kred. ziemsk. nie szczędziły pracy i nakładu, aby zgromadzić i uprzystępnić każdemu dostateczny materiał autentyczny, z którego ktokolwiek chce może się dokładnie objaśnić nie tylko o zasadach prawnych, na których opierają się ustawy Towarzystwa kred. ziemsk. w Królestwie Polskiem, ale i o granicach i środkach działalności tej instytucji. (Zob. ich szereg u Kirszota str. 4). Tymczasem najpokazniejsi reformatorowie naszych stosunków społecznych, owi Katoni, co ich od Brutusików nie odróżnisz, nie zadają sobie tej pracy, aby, rozbierając sprawy działalności Towarzystwa kred. ziemsk., rachowali się też nieco z „Przepisami“ rządowymi, któremi instytucja rządzić się obowiązana. Są publicyści, którym się zdaje, że up. zebrania władz Towarzystwa są ciałami nie tylko prawodawczymi, ale wykonawczymi, że to są wskrzeszone sejmy „szlacheckiego samorządu;“ że fundusze Towarzystwa, mające przecie prawne swoje przeznaczenie, powinny być na każde zawołanie balsamem dla cierpiących na przeróżne dolegliwości, powinny być wiecznie otwartą kasą zasiłków dla obdłużonych lub nieogłędnie gospodarujących rolników, urzędników, ofycjalistów, jeometrów i t. p. choćby ze szkodą ogólnego majątku stowarzyszonych. Tymczasem Towarzystwo kred. ziemsk. opiera wszelką działalność swoją na „Ustawie,“ zatwierdzonej przez Władzę Najwyższą i na „Przepisach“ też ustawę rozwijających, a przez ministra zatwierdzonych, na przepisach, których najskrupulatniej trzymać się obowiązane dla swego bezpieczeństwa i dla dobra ogółu stowarzyszonych, bez względu na pojedyncze interesy osób prywatnych, gdyby te miały w czemkolwiek naruszać przepisy lub podkopywać bezpieczeństwo pożyczki albo też prawa innych wierzycieli hipotecznych.

Zasady te, zdawałoby się, powinny być powszechnie znane z dotychczasowej przeszło 60-cio letniej działalności tej instytucji; tymczasem jesteśmy jeszcze dziś świadkami napaści namiętnej, niepomiarowanej, wymierzonej przeciwko władzom Tow. kred. ziem. przez dr. K. Waliszewskiego (Zob. „Kraj“ petersburski z dn. 18 (30) stycznia 1887, nr. 3, str. 4—6, korespondencya pod tyt. „Z nad Wisły“ d. 15 grudnia n. 5, 1886). P. W. mieszkający zwykle w Paryżu, ogłaszający studia naukowo-literackie w czasopismach polskich, pozwolił w chwili zapomnienia wziąć górę przy wacie nad postanowieniami prawa, — podrażniony w odrębnych swoich afektach ekonomicznych nie zawahał się skrzywdzić organów tej instytucji oraz jej stowarzyszonych, — nie cofnął się nawet przed insynuacjami, krzywdzącymi obywateli nieposzlakowanych, — co więcej: rzucił nawet na pastwę złej woli i łatwowierności cały kredyt rolniczy, głosząc, że „w dzisiejszym stanie rzeczy gwarancya hipoteki ziemskiej na tu tejszych (pisze się do tygodnika wychodzącego w Petersburgu) majątkach jest gwarancją żadną, nie przedstawiającą absolutnie żadnej wartości; właściciel ziemski zaś jest najgorszym, najmniej pewnym ze wszystkich dłużników,“ dla tego rzekomo, że na 100 majątków jest 90 przeładowanych Towarzystwem, a gdy nie jest, to pozostałe po Towarzystwie wartości obyczaj miejscowy dopuszcza bezkarnie urochomiać czyli rozkradać. Do wniosków takich, nieuzasadnionych w tej jaskrawości jednostronnej, jak to wykazała p. Waliszewskiemu bardzo szczegółowo Gazeta Warszawska (r. b. nr. 79 i następne), a najfaktyczniej „Gazeta rolnicza“ (z r. b. nr. 9 i 10) przyszedł sz. prawnik-literat, zamieszkały w Paryżu, przy kupnie majątku Russowo, sprzedanego na licytacji publicznej przez Dyr. szczegółową w Kaliszu z zachowaniem wszelkich przepisów Towarzystwa i Kodeksu cywilnego.

Ubolewamy nad tém, że przy potępieniu godnej pobłażliwości naszej opinii równie w obec podstępnych bankructw w zawodzie handlu i przemysłu, jak i w obec łupieskiej gospodarki zbankrutowanych właścicieli ziemskich, dzieją się nadużycia, obrażające z największym cynizmem zasady moralności publicznej; ale za to nie można przecie winić ani w pierwszym razie Sądu handlowego ani w drugim wypadku władz Tow. kred. ziem.; dla tego nie ma nikt prawa pisać dekretów proskrypcyjnych na rękojmie kredytu publicznego w jego ustroju ekonomicznym.

Książka p. Kirszrota przynosi nam prawdziwszą, gruntowniej i wszechstronniej zbadaną i jaśniej pojętą naukę o kredycie rolnym oraz o jedynym jego najważniejszym organie, jakim jest Towarzystwo kredytowe ziemskie w Królestwie Polskiem.

Z tego, cośmy przy zagajeniu niniejszej relacji powiedzieli, każdy mógł się dokładnie przekonać, że p. K. przystąpił do dzieła swego dobrze przygotowany. Zajęty studjami nad kredytem i zakładami kredytowymi natrafił w kraju naszym na instytucją, „która ze względu na

wzorową swoją organizacją i administracją," nie mniej i na ten fakt, że „kilkakrotnie kraj cały z najkrytyczniejszego wyprowadziła położenia“ zwrócić powinna na siebie uwagę ludzi myślących, pragnących ocenić sprawiedliwie jej wpływ nie tylko na stosunki ekonomiczne, ale i na inne pokrewne sobie instytucje kredytowe w kraju. Dla osiągnięcia tego celu rozszerzał się sz. autor na całym obszernym polu nauki o kredycie, a w szczególności o kredycie rolnym, i na tym tle wyłożył działalność praktyczną Towarzystwa. Według tej zasady, której pod względem metodologicznym żadnego zarzutu czynić nie można, złożyło się dzieło p. K. z dwóch części, w których pierwszej, stanowiącej jakby obszerny wstęp naukowy, rozbiera autor wiadomości teoretyczne o kredycie w ogóle a o kredycie rolnym w szczególności, w drugiej zaś, zajmującej się Towarzystwem kredytowym ziemskim, przedstawia zasady działalności tej instytucji, opierając się na prawach, obowiązujących Tow. i to mając przeważny wzgląd na organizm tej instytucji, a dotykając jej mechanizmu tylko o tyle, o ile środki formalne przyczynić się mogą do objaśnienia faktów zasadniczych. Autor nie pominął nawet projektów władz Tow., czekających dotychczas na zatwierdzenie rządu, co wprawdzie charakteryzuje zamiary władz Tow.; ale dla mniej wtajemniczonych w cały mechanizm tak wielkiej instytucji, może się stać powodem zaciemnienia niektórych kwestyi w dzisiejszym ich stanie (np. w kwestyi egzekucji, wybieralności członków władz Tow. i t. p.). Dla dokładniejszego zgłębienia przedmiotu autor nie ogranicza się na naszym kraju; ale porównywa zasady polskiego Towarzystwa kred. ziem. z zasadami kredytowymi podobnych instytucji w innych krajach, zdobywając w ten sposób obszerną podstawę dla krytyki naukowej, z której w łagodnym świetle przezierają widoki zmian i ulepszeń możliwych. Autor wystrzega się przezornie radykalizmu, bo pamięta zawsze o tym, „iż przyszłość jest dziecięciem przeszłości, iż nowe wówczas tylko jest trwałe, kiedy silnie opiera się na starém.“

Autor rachował się z tą okolicznością, że nie biorąc czynnego udziału w działalności instytucji, o której pisze, może niedopatrzyć drobniejszych szczegółów jej mechanizmu; ale sądząmy z nim, że właśnie stanowisko takie poza rutyną funkcjonującego mechanizmu, daje mu większą swobodę krytyki, ułatwia mu dostrzeżenie w budowie instytucji szczelin, które naprawione być mogą i naprawione być powinny.

Obnajmiwszy w ten sposób czytelników Bibl. ze stanowiskiem autora i z całą dyspozycją dzieła, którą za najodpowiedniejszą uważamy, możemy zastanowić się nad ważniejszymi faktami jej osnowy, ponieważ dla szczegółowego rozbioru jej treści za ciasne są granice działu „Przeglądu piśmiennictwa krajowego i zagranicznego“ w piśmie peryodycznym.

Autor rozpoczyna rzecz swoją od określenia „definicji i znaczenia kredytu“ (§ 1, str. 9—23), sprowadzając objawione na ten przed-

miot poglądy do trzech następujących teorii. Jedna uważa kredyt za sposób wymiany, w której wyświadczenie usługi z jednej, a zwrócenie jej z drugiej strony, przegradza czas; druga nazywa kredyt zaufaniem do tego, że czas nie zniszczy możliwości ani chęci zwrócenia usługi, wyświadczonej w chwili udzielania kredytu, że za wyświadczoną obecnie usługę, daną będzie w przyszłości kompensata, wywzajemnienie się (wierzyć=credere); trzecia wreszcie jednoczy w sobie obie te cechy: tj. rozdział czasu pomiędzy dwoma aktami wymiany, i zaufanie—i można ją zawrzeć w tych słowach: „Kredyt jest to wyświadczenie usługi w zaufaniu, iż wzajemna usługa w przyszłości nastąpi” (str. 12). Zdobywszy w ten sposób jasne pojęcie zadania i celu, któremu kredyt tylko służyć może, rozbiera autor opinie, przeceniające wartość i doniosłość kredytu, który niektórzy chcieliby uważać za cudotwórczą siłę, zdolną nawet z niczego tworzyć potęgę do zażęgniwania wszelkich dolegliwości ludzkich. Za pomocą przekonywającej argumentacji zbija tedy złudzenie, jakoby kredyt tworzył kapitały, jakoby z powiększeniem się środków kredytowych, powiększała się jednocześnie masa kapitałów w społeczeństwie. „Jak wymieniać można tylko to, co ma rzeczywistą wymienną wartość, tak i przedmiotem kredytu, nie może być fikcja, papiererek, oznaka wartości, ale istotna wartość. Kapitał nie może być jednocześnie użyty i przez wierzyciela i przez dłużnika, bo o ile jeden z nich jest w jego posiadaniu, o tyle ogołoconym zostaje z niego drugi“ (str. 12). Autor ilustruje swoje twierdzenie na fabrykancie, który sprzedał wytworzoną machinę za weksel otrzymany na kapitał, który ta machina reprezentuje. Złudzenie, jakiemu ulegają obrońcy owęj błędnej opinii, płynie z tego źródła, że pogląd ten nie odróżnia jasno i wyraźnie znaczenia kredytu, w stosunku jego do osoby pojedynczej, od znaczenia kredytu, w stosunku jego do całego społeczeństwa. Indywiduum może czasowo powiększyć swój kapitał przez kredyt; ale społeczeństwo go nie powiększa (str. 13). Dowodu na to, że kredyt nie jest w stanie tworzyć nowych kapitałów, dostarcza autorowi historia rewolucji francuskiej ze swemi assygnatami, które nie zdołały zastąpić wartości dóbr poduchownych; ale przekonały ludzkość, że kapitału nie można pomnożyć za pomocą żadnego dekretu kredytowego, ale tylko przez pracę i oszczędność. „Chcąc cokolwiek wymieniać, czy to przez sprzedaż, czy też przez kredyt, trzeba przedewszystkiemi wytworzyć rzecz, mającą wartość, bez wytworzenia nowęj wartości nie ma sprzedaży, nie ma kredytu.“

Załatwiwszy się ze złudzeniami, zwraca autor uwagę swoją na istotne korzyści, które kredyt przynosi. Znaczenie ekonomiczne kredytu polega na tém, że on przenosi kapitały z miejsc, w których one dla zbyt wielkiego nagromadzenia nie mogą być należycie spożytkowane i są mniej użyteczne, do miejsc, w których ich niedostaje, a w których są potrzebniejsze,—albo też na odwrót z miejsc i od osób, gdzie są rozproszone i z powodu nadmiernego rozdrobnienia nie produ-

kują, do miejsc i instytucji, gdzie skoncentrowane, tworzą poważną siłę zbiorową, mogącą stać się narzędziem pracy wytworczej,—lub wreszcie od osób nie umiejących lub nie chcących skutecznie używać kapitałów, w ręce ludzi pracowitych, energicznych i inteligentnych (str. 15). W dalszej konsekwencji tych zasad przychodzi autor do wniosku, że „kredyt tworzy niejako spółkę pomiędzy kapitałem a pracą i zdolnością. Ze spółki tej korzysta wierzyciel, który nie mógłby sam produkcyjnie użyć swego kapitału, i wynajmuje go za umówione wynagrodzenie (procent); ze spółki tej korzysta dłużnik, który bez kapitału nie byłby w stanie spożytkować należycie ani swojej zdolności ani swojej pracy; ze spółki tej korzysta wreszcie całe społeczeństwo, które z bogaca się wytworzonymi wartościami, jakieby nigdy nie powstały, gdyby się kapitał nie był połączył z inteligencją i pracą (str. 15).

Oprócz tego polega ekonomiczne znaczenie kredytu na tём, że przy jego pomocy gromadzą się i centralizują drobne oszczędności w odpowiednich kasach, bankach, towarzystwach. Mali kapitaliści kupują akcje lub obligacje jakiegoś przedsiębiorstwa przemysłowego albo finansowego, przez co oddają swoje kapitały produkcji, przyjmują udział w olbrzymich przedsiębiorstwach; gdy bez organizacji kredytowej leżałyby one bezczynne, bezpożyteczne równie dla swych właścicieli jak i dla społeczeństwa, nie stałyby się nigdy bodźcem do zbierania dalszych oszczędności, przestałyby być siłą, pobudzającą ludzi do postępu, do cywilizacji (str. 16). W ten sposób zawiązuje kredyt spółki nie tylko między osobami, ale między narodami i państwami na całej kuli ziemskiej. Znaczna część naszych listów zastawnych również ziemskich jak i miejskich znajduje się za granicą, przez co kapitaliści zagraniczni, szczególnie berlińscy i wrocławscy, są spółnikami naszego rolnika, posiadają część jego ziemi, reprezentowaną w liście zastawnym, za co dostarczają mu kapitałów na ulepszenia gospodarcze. Usługę tę trzeba tedy kapitaliście akuratnie opłacać, o czém zapominają często ci, którzy, bez względu na przyszłość, widzą źródło szczęśliwości swojej w jak najwyższej pożyczce, i gubią się lekkomyślnie, gdy pożyczkę trwonią na zbytki a nie na potrzebne ulepszenia gospodarcze.

„Jeżeli tedy kredyt nie powiększa sumy kapitałów w społeczeństwie istniejących, to powiększa sumę kapitałów użytych do produkcji, potęguje pracę, daje zatrudnienie większej liczbie ludzi, wzbogaca ludzkość o wszystkie te dzieła pracy które wytwarzają się za pomocą kapitałów, powołanych do produkcji przez kredyt, o wszystkie te oszczędności, do których on był podniętą najskuteczniejszą (str. 17). Niepoślednie wreszcie znaczenie posiada kredyt w gospodarstwie pieniężnym w ogóle przez to, że ułatwia za pomocą rozmaitych surrogatów pieniężnych (weksel, przekaz, czek, bilet bankowy i t. p.) cyrkulacją pieniędzy, przy zmniejszonych kosztach i oszczędzeniu pracy (Clearing-house—banki wymiany).

Obok wykazanych powyżej korzyści ekonomicznych, materialnych, posiada także kredyt nie małe znaczenie pod względem moralnym i socyalnym.

Ogromne masy ludności, nie posiadające w swoim odosobnieniu większych kapitałów, byłyby bez kredytu wskazane na wieczną stagnacją, bo nie mogłyby spożytkować ani swojej przez pracę nabytej zręczności ani też zdolności wrodzonej i nie wzniosłyby się nigdy na wyższy szczebel społeczny. Klasy zaś posiadające wielkie bogactwa nie potrzebując rachować się z konkurencją i z przyptywem klas uboższych, świeżych, zasnęłyby w swoich dostatkach.

Przy pomocy kredytu, praca, zdolność, talent, geniusz zdobywają sobie możliwość co raz większego rozwinięcia swego, oraz możliwość ciągłego wzbogacania ludzkości swemi dobrodziejstwami duchowemi i materialnemi. Kredyt, oddając na usługi biednych kapitały możnych, przyczynia się w znacznej mierze do zrównania stanów, do podnoszenia klas niższych i to nie w ten sposób, aby jednym odbierał a drugim dawał; ale przez to, że większe zapotrzebowanie kapitałów przez nieposiadających ich do celów produkcyjnych, pociąga za sobą wyższą stopę procentową czyli większy dochód kapitalistów.

Przy tém wszystkim zaprzeczyć jednak nie można, że przy dotychczasowej wadliwej jeszcze organizacji kredytu,—kredyt nie spełnia, wskazaney wyżej misji cywilizacyjnej, ale pod pewnym względem przyczynia się do rozszerzenia przepaści pomiędzy reprezentantami pracy i kapitału, przyczynia się do nieproporcjonalnego rozdziału bogactw, do wytworzenia znacznych różnic majątkowych za pomocą wielkich zakładów fabrycznych i potężnych warsztatów rolniczych. „Idźcie więc o to, aby wynaleźć i utorować drogi, któremiby część oszczędności narodowych, część swobodnych kapitałów, szukających pewnego i korzystnego pomieszczenia, spływała w łóżysko pracy ludowej i tym sposobem ułatwiła i powiększyła jęj twórczość i uzdolniła ją do współzawodniczenia z produkcją na wielką skalę.“ (str. 21.)

Celowi temu może najskuteczniej zadość uczynić dobre zorganizowanie kredytu ludowego, będącego jednem z najważniejszych zadań chwili bieżącej.

Po treściwej wzmiance o kredycie państwowym, rozbiera autor rozmaite rodzaje kredytu, stosownie do przeznaczenia, jakiemu specjalnie kredyt ma służyć. Mówi tedy o kredycie wytwórczym i spożywczym (str. 23—29), o zdolności kredytowej (str. 29—33), o kredycie osobistym i rzeczowym (str. 33—38). W dalszym ciągu mówi Autor o „organizacji kredytu“ (str. 38—46) i przechodzi w rozdziale II do „kredytu rolnego“, przez co rozumie wszelki kredyt służący rolnictwu, a zatem zasilający równie kapitał zakładowy jak i obrotowy, w odróżnieniu od kredytu „rolniczego.“ Przez to wyrażenie specjalnie rozumie p. Kirsztrot kredyt, przeznaczony tylko do celów kapitału obrotowego.—Ponieważ w chwili, gdy właściciel dóbr zaciąga pożyczkę nie można dokładnie wiedzieć, do jakiego celu on tego kredytu użyje, czy

na powiększenie kapitału zakładowego, czy na zasilenie kapitału obrotowego, czy też wreszcie na cel zupełnie odrębny, przeto Autor, idąc za podziałem kapitału przez Supińskiego na 3 kategorie, oparł swój podział kredytu rolnego na cechach zewnętrznych i mówi tedy w następujących rozdziałach: rozdz. III o kredycie ziemskim (str. 50—87), mianowicie: 1.) Kapitał zakładowy i kredyt ziemski; 2.) System rentowy; 3) Hipoteka; 4) Organizacja kredytu ziemskiego; 5) Ubezpieczenia hipoteczne. Rozdz. IV Kredyt rolniczy rzeczowy (str. 88—107), gdzie rozbiera 1) Kapitał obrotowy i kredyt rolniczy; 2) Zastaw; 3) Kredyt rolniczy rzeczowy Banku Państwa. W rozdz. ostatnim V mówi Autor o kredycie rolniczym osobistym (str. 108—118) w następujących ustępach: 1) Zastosowanie kredytu osobistego do rolnictwa; 2) Organizacja kredytu rolniczego, rzeczowego i osobistego. Autor korzystał z odpowiedniej literatury ekonomicznej i finansów z całą sumiennością (L. Wołowski, Aug. hr. Cieszkowski, dr. R. Zeulmann, E. Montagnon, W. Bezobrazow i. i.), z polskiej oświecał się, nie pomijając źródłowych wydawnictw Towarzystwa, dziełami Supińskiego, Bilińskiego, Ant. Wrotnowskiego i Ludwika Górskiego oraz sprawozdaniami z dyskusji delegacji rolniej w Tow. popierania przemysłu i handlu. Praca p. L. Górskiego „Znacznie większej własności ziemskiej“ dostarczyła Autorowi wiele szacownych wskazówek, szkoda, że p. Kirsztrot nie mógł jeszcze korzystać z ostatniego pod każdym względem dokładnego studjum p. Ludwika Górskiego „kilka uwag o rozszerzeniu zdolności wekslowej do właścicieli ziemskich w królestwie Polskiem” („N i w a”. Zesz. 287 z dnia 1-go Grudnia 1886 roku str. 801—825), bo § 4 w rozdz. I oraz § 2 w rozdz. V, byłyby niezawodnie na tém zyskał.

Wyłożywszy w ten sposób w części pierwszej swojego dzieła całą teorią kredytu ziemskiego, przechodzi Autor w części drugiej do przedstawienia obrazu Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego w Królestwie Polskiem w zestawieniu nie tylko „Ustawy”, ale i obowiązujących „Przepisów” prawnych, któremi się ta instytucja rządzić obowiązana, z panującymi dziś na polu nauk ekonomicznych teoriami oraz w porównaniu z praktyką ważniejszych Towarzystw Kredytowych w Europie. Równie jak w I części potrzeba dokładnego objaśnienia teorii, zniewalała już niekiedy Autora do sięgnięcia po fakta, uwydatnione dopiero w części 2-iej, tak znowu w tej części drugiej nie mógł Autor uniknąć zupełnie wywodów teoretycznych. Z tego wynikało, że obok powtórnego niekiedy omawiania tej samej kwestyi (jakkolwiek w możliwie najmniejszej liczbie wypadków), dzieło p. Kirsztrota robi wrażenie pracy nie zupełnie równomiernej. Obok przeważającego charakteru sprawozdawczego w części drugiej, nie przedstawia ta druga połowa książki rozbioru tak gruntownie przemysłanego organizmu, jakimiś w części I znaleźli. Nie możemy się w tych ciasnych granicach sprawozdawczych zapuszczać w rozbiór tak obszernego przedmiotu, jaki dla ekonomisty przedstawia Towarzystwo Kred. Ziemskie, z całą swo-

ją ogromną działalnością. Przedmiot ten wypełnia w dziele Autora 12 obszernych rozdziałów z 22 paragrafami, poświęconemi rozbirowi kwestyi szczegółowych. Autor przedstawił wiernie, obiektywnie, uietylko powstanie, wzrost i rozwój organizacyi Tow. kred. ziemsk. w Królestwie Polskiem pod względem historycznym; ale i pod względem ekonomicznym, finansowym i prawnym. Sposób téj relacyi zasad, rządzących instytucją, przypomina niekiedy czytelnikowi autora, stojącego po za sferą i po za granicami tego gmachu, którego ustrój opisał, ale rachy życiowego nie dosyć uwydatnił. Są momenta bardzo ważne w historycznym rozwoju téj instytucyi, których autor albo nie objaśnił dostatecznie (np. oprócz projektu „Skupu czynszów“), wiele projektów z polecenia Rządu wypracowanych (pożyczki dla miast, ubezpieczeń od ognia i. i.), projekt użycia funduszu Konarskiego, projekt pożyczek na melioracye rolne, — albo też zaledwie tylko potrącił, jak np. udzielanie pożyczek taksowych z mnożnika 56, (str. 165). Operacya taksowa i pożyczkowa na podstawie przepisów z roku 1872 miała dla stosunków krajowych doniosłe bardzo znaczenie i była dla saméj instytucyi do pewnego stopnia szkołą prawdziwego determinowania pożyczek z taksy, wprowadziła do czynności Towarzystwa nowy organ w delegatach taksowych, nastręczyła możność zrobienia uzasadnionego wniosku: czy przyjęta dotychczasowa norma pożyczki znajduje dostateczną rękojmię na majątkach Towarzystwu zastawionych, czy nie jest za niską — i o ile podwyższoną być może, bez nadmiernego przeciążenia własności ziemskiej ze względu na bezpieczeństwo kapitału i na regularną wypłatność rat. W obec taksy tracił mnożnik, swoje znaczenie wszechwładne a hamulcem wysokości pożyczki nie była sama rękojmia kapitału; ale władze Tow. musiały się równie troszczyć o regularną wypłatność rat Towarzystwu przypadających. Nie wartość przedażna, nie szacunek taksowy sam — ale funkcjonowanie całego warsztatu gospodarczego musiało regulować wysokość pożyczki. Jest to wzgląd bardzo ważny, o którym zwykle zapominają nie tylko stowarzyszeni, ale i ekonomiści. Operacya na podstawie „Przepisów“ z r. 1872, otworzyła dopiero — i wyrobiła, że tak powiem, zaufanie do pożyczek z taksy. Jeżeli w kraju podnosiły się w ostatnich czasach niejaki sarkania na rozwekłe, często nader drobiazgowe, techniczno-subtelne, a bezcelowe czynności nadzwyczaj kosztowne (taksy jeometrów), na czynności zapominające rzekomo ze względów filantropijnych dla osób trzecich, o kieszeni stowarzyszonych, to sarkania te wynikały przeważnie z porównania przepisów taksowych z r. 1884 (przejranych w r. 1886), z takimiż przepisami z r. 1872, do których się kraj przyzwyczaił, delegaci i jeometry nawykli, i finansieci zaufania już byli nabrali. Dzieło z r. 1872 należało tylko udokładnić w tych punktach, które doświadczenie wskazało, a byłoby się uniknęło echa wielu powołanych i niepowołanych głosów i utyskiwań. Autor téj kwestyi nie dojrzał i dla tego jéj doniosłości nie ocenił, chociaż samo porównanie instrukcyi taksowój

z r. 1872 (§§ 71), z instrukcją z r. 1884 resp. 1886 (§§ 256), dostarczało mu wszelki do tego materyał. Oprócz tego zastanowił nas mylny zupełnie pogląd autora na zasady szacunku podatkowego i szacunku pożyczkowego własności ziemskiej w Królestwie Polskiem (str. 163 i 176), które nie tylko ze względu na naukę ekonomii państwowej; ale i ze względu na wyraźnie obowiązujące prawo, na zupełnie odrębnych opierają się przepisach rządowych. Samo porównanie klasyfikacji użytków rolnych w przepisach o podatku gruntowym z r. 1866 (klass 5), z klasyfikacją Towarzystwa (gruntów ornych kl.: 7; łąk 5; pastewników polnych 6; pastewników łąkowych 5; pastwisk polnych 4; pastwisk nizinnych 4; gruntów pod lasem 7; gruntu łąkowego pod lasem 4; gruntów wikliną obsadzonych 4; razem kl. 46 oprócz wód i t. d.) bytoby przekonało autora o tém, że to są rzeczy zupełnie różne, do zupełnie innych celów wiedące. Autor zaciemnił sobie wzrok przez zapatwienie się na zbyt gorliwe zapędy niektórych Izb skarbowych, które ze względów fiskalnych gotowe były w nieświadomości swojej, podkopać siłę podatkową kraju.

Pragnęlibyśmy także, aby autor był dokładniej rozebrał kwestyą mnożnika podatku gruntowego, jako czynnika w determinowaniu wysokości pożyczki w kraju naszym, bo przykłady obce nie dadzą się u nas zastosować z taką łatwością, jak się to autorowi zdaje (str. 176—177).—Kwestye te stanowią przedmiot tak obszernej dyskusyi, że chociaż dla usprawiedliwienia naszych desideratów co do tych punktów w książce p. Kirszrota i dla objaśnienia czytelników, nie możemy go pominąć, to ze względu na samo dzieło autora musimy poprzestać na następujących uwagach ogólnych.

Ustawa Towarzystwa nie mniej i „Przepisy taksy“, zatwierdzone przez Rząd, wskazują środki, za pomocą których władze Towarzystwa przy współdziałaniu swych organów pomocniczych w delegacjach taksowych, starają się jak najdokładniej wypośredkować szacunek kredytowy dóbr dla bezpiecznego lokowania pożyczki w pierwszej połowie wynalezienia dóbr prawidłowo wartości kredytowej dóbr. Właściciel w akcie przystąpienia objawia wysokość swojego żądania w danej chwili, które nie powinno pod żadnym względem wpływać na rachunek delegacji ani *in plus*, ani *in minus*. Oprócz tego postawiły „Przepisy” pewną najwyższą granicę pożyczki w cyfrze podatku gruntowego. Przepis ten okazał się w praktyce nie tylko hamulcem zwodniczym, ale owszem nastęrczył łatwą sposobność i zachęcającą prawie pobudkę do obarczania dóbr jak najcięższym ciężarem gospodarstwa rolnego przez lekkomyślne podwyższanie podatku gruntowego. Oprócz tego przyczynił się ten przepis do zamieszania opinii stowarzyszonych równie jak i delegacji taksowych, które nie odróżniają szacunku kredytowego dóbr od szacunku podatkowego, z czego wynikają bardzo niebezpieczne następstwa i skutki.

Szacunek kredytowy dóbr powinien reprezentować realną, trwałą wartość nieruchomości z całym warsztatem gospodarskim (bu-

dowlami, inwentarzem etc.) na długi przeciąg czasu, uzbrojony w siłę odporną i obronną na wszelkie przejściowe kataklizmy. Szacunek zaś podatkowy reprezentować tylko może umiarkowany procent od dochodu czystego, podlega fluktuacji potrzeb finansowych skarbu Państwa; nie zna prawie żadnej ulgi, nie rachuje się ani z nieurodzajem, ani z klęskami sił elementarnych przyrodzenia, zbrodniczej ręki podpalacza i t. p. Spotęgowany strach grozy téj esekucyi jest dla majątku zastawionego Towarzystwu pod tym względem niebezpieczny, że podcina środki wypłatności dóbr. Gdy do powyższego dodamy jeszcze jednego kusiciela wyobraźni taksatorów, mianowicie szacunek przedaźny dóbr, nadzwyczaj ruchomy, nawet na jeden rok prawie niepewny, od konjunktur handlowych chwili i od kursu waluty naszej zależący, to będziemy mieli wskazane powody i okoliczności, wśród których delegaci taksowi mogą nie zawsze równie bystro zapatrywać się na ogólną wartość kredytową majątków, a właściciele dóbr sami, bez żadnej złej wiary, postępują nieogłędnie, gdy dla wyższej pożyczki podnoszą podatek, bo on, zasilając inne fundusze, nie decyduje o wysokości pożyczki, jak tego niejeden z przerażeniem doświadczył. Rękojmią bowiem pożyczki powinien zawsze stanowić szacunek kredytowy dóbr, prawidłowo przez delegacye taksowe i dyrekcye szczegółowe wypośredkowany, a przez Dyrekcyą główną, po dokładnem zbadaaniu ustanowiony i zatwierdzony. Na wysokość zaś pożyczki wpływa mnożnik z podatku gruntowego tak długo, dopóki władze Towarzystwa nie potrafią go usunąć z „Przepisów.“ Dopóki podatek gruntowy, czyli wynikający z niego szacunek podatkowy albo tak zwany normalny, chociaż jest jak najnienormalniejszy występuje w przepisach, jako jeden z czynników determinujących wysokość pożyczki, to należy głównie nad tém czuwać, żeby taksa prawidłowa, ścisła bez pedanteryi, trzymała na wodzy tego falsyfikatora prawidłowej wysokości pożyczki. Nie w interesie fiskalnym ani téż przeciw temu interesowi; ale dla bezpieczeństwa pożyczki i pewności wypłatności rat przez dobra Towarzystwu zastawione, powinna jak najdokładniejsza taksa kontrolować szacunek podatkowy, który z wielką łatwością i to niekiedy najlekkomyślniej zmieniać można. Praktyka zatem sama przemieniła role tych dwóch czynników pożyczkowych, czego p. Kirszrot dostatecznie nie objaśnił.

W rozdziale IX-ym (str. 293—303) mówi autor o przedmiocie, który nastęrcza prasie naszej najczęściej powodu do zajmowania się Towarzystwem, z obwoływana nieprzezornie co raz to nową marszrutą, mówimy „O funduszu rezerwowym Towarzystwa.“ Autor przedstawił sprawę tę zgodnie z duchem obowiązujących przepisów, wskazując przeznaczenie, jakie prawo funduszowi temu jak najwyraźniej przepisało z dodaniem nowych wniosków, o których równie jak i o „odpowiedzialności stowarzyszonych i Towarzystwa” (rozd. VII) szczegółowszą wzmiankę uczynić nam wypada.

Ustawa, zatwierdzona przez Władzę Najwyższą, przecięta wła-

dzom Towarzystwa wszelką możność odwrócenia choćby najdrobniejszego grosza funduszu rezerwowego, na cele „Ustawą“ i „Przepisami“ wyraźnie nie wskazane. Przeprowadzenie zatem jakiegokolwiek projektu chociażby się odnosił do przyznania pewnych ulg dla stowarzyszonych w opłacie rat Towarzystwu, lub do otworzenia kredytów krótkoterminowych, lub do popierania spółek rolnych, lub do pomagania czynności parcelacji zbyt wielkich obszarów,—żadna z tych z ł u d n y c h aspiracyi nie leży weale w atrybucyach władz Towarzystwa, o ile w czémkolwiek dotyka funduszu, rezerwowego. Przeznaczenia prawnego tego funduszu, nie mógłby bez sankcyi Najwyższej nawet minister w niczem zmienić, bo fundusz ten stanowi w znacznej części rekojmię regularnej wypłaty za Listy zastawne wylosowane i kupony płatne, gdyby dochód z rat miał uiedopisywać. Na tym wreszcie funduszu mają wszyscy dotychczasowi właściciele Listów zastawnych pewne prawa nabyte, których ukracać nikomu nie wolno. Władze Towarzystwa mogłyby po akademicku radzić nad tego rodzaju projektami, mogłyby wnioski swoje przedstawić Rządowi do zatwierdzenia; ale siły wykonania swych postanowień na tém polu nie posiadają—i dlatego obwoływacze takich projektów chimerycznych wyrządzają sprawie dobra publicznego krzywdę nie małą, gdy wprowadzają publiczność na drogę błędnego rozumowania i nieuzasadnionych przy puszczeń i nadziel, gdy władze Towarzystwa czynią odpowiedzialnymi za gromadzenie się tego rodzaju byłych i nie byłych projektów w archiwum Towarzystwa bez żadnego skutku praktycznego. Nie sądzimy sprawy tój in merito, ale konstatujemy fakt, z którym się dbała o dobro kraju publicystyka w przeczności swojej rachować powinna.

„W projekcie „kodyfikacyi“ dotychczasowych ustaw Tow. kred. ziem., przedstawionego już w r. 1885-ym do zatwierdzenia Najwyższego, proponują władze Towarzystwa spożytkowanie oszczędności, pozostałych po zaspokojeniu potrzeb funduszu rezerwowego, w kierunku udzielania stowarzyszonym pożyczek krótkoterminowych na potrzeby kapitału obrotowego, oraz na specjalne melioracye rolne. Spełniwszy pierwotne swoje zadanie przez utrwalenie i wzmocnienie bytu własności ziemskiej przez udzielanie kredytu długoterminowego, pragnie teraz Towarzystwo kred. ziemskie, nie wychodząc poza granice kredytu rolnego, rozszerzyć działalność swoją przez zasilenie rolników kredytem już nie ziemskim (długoterminowym), ale rolniczym (krótkoterminowym) w celu ulepszenia i wydoskonalenia warsztatu rolniczego (str. 302, 303). Taką byłaby przewodnia idea dalszego organicznego rozwoju pożytecznej działalności Tow. kred. ziem. w Królestwie Polskiem. Przykłady francuzkiego „Credit agricole“ i szląckiego „Landwirthschaftliche Bank,“ mogą być dla nas szkołą, zastępującą kosztowne czasem doświadczenie.

W rozdziałach VII-ym i IX-ym części 2-jej, mówiąc o „Odpowiedzialności stowarzyszonych i Towarzystwa“ oraz o „Oszczędnościach towarzystwa i o funduszu rezerwowym“ porusza p. Kirsztrot kwestye

nadzwyczaj ważne i bardzo doniosłego znaczenia społecznego, które równie dla teraźniejszości jak i dla przyszłości kraju ogromnej są wartości i wpływu tak, że zasługiwałyby na gruntowniejszy rozbiór aniżeli będzie ta wzmianka, którą w relacji niniejszej pomieścić tu możemy. Zaznaczymy tylko ogólne widoki i zapatrywania się autora na odpowiedzialność stowarzyszonych względem Towarzystwa i Towarzystwa względem właścicieli listów zastawnych.

Położenie teraźniejsze stosunków rolniczo-ekonomicznych nie mniej i zaburzona nieco atmosfera moralnej godności obywatelskiej w kraju, każe nam zwrócić się przedewszystkiem do chwili obecnej, do kwestyi rozszerzenia odpowiedzialności stowarzyszonych właścicieli dóbr nawet do ich majątku osobistego w ogóle, gdy dzisiaj odpowiadają względem Towarzystwa tylko same dobra. Wzgląd na te okoliczności nie może być bez wpływu na determinowanie wysokości mogącej się udzielić pożyczki na dobra. Przy lekceważeniu przez sądy obecne Postanowienia ks. namiestnika z dnia 8 lipca 1823 r. ¹⁾, objaśniającego w obec naszego prawa hipotecznego tytuł I-y ks. 2-ój, art. 524 Kodeksu cywilnego o „nieruchomości z przeznaczenia“ ²⁾ oraz przy braku funduszków na administracyą zachowawczą, przy braku dosyć energicznego ramienia dozoru przez sąsiednich stowarzyszonych, otwarta jest nie tylko właścicielowi, ale i wierzycielom nawet niehypotecznym, najszersza droga dewastacyi dóbr, sprzedażą nieuniknioną zagrożonych. Dopóki prawo powszechne przez władze sądowe i administracyjne nie poda władzom Towarzystwa skutecznej pomocy, to Towarzystwo samo, chociażby się składało wyłącznie z Salomonów, Arystydesów i Katonów nie posiada środków skutecznych do zabezpieczenia praw wierzycieli hipotecznych, pomiędzy którymi ono samo pierwsze zajmuje miejsce. Praktykujące się coraz częściej dewastacye i formalne rabunki majątków wystawianych na sprzedaż przymusową, przynoszą nie tylko ogromne stosunkowo straty dla ekonomii publicznej przez marnowanie wartości materiału i warsztatu gospodarskiego,—nie tylko krzywdzą wierzycieli hipotecznych z podeptaniem zasad sprawiedliwości,—nie tylko podkopują kredyt rolny; lecz demoralizują w najwyższym stopniu ogół ziemiański, bo dewastacye subastowanych majątków przez ich właścicieli i wierzycieli niehypotecznych są w gruncie rzeczy najohydniejszą kradzieżą obcego mienia, oddanego właścicielom przez wierzycieli hipotecznych tylko do użytku czasowego i to na zasadzie bezpieczeństwa publicznego, które im w prawie hipotecznym zapewniło całe społeczeństwo nie mniej i publiczna opieka władzy. Pustoszenie majątku, na sprzedaż publiczną wystawionego, czy to przez właściciela czy przez wierzycieli, zaspakajających swoje pretensye w sposób gwałtowny, podstępny, jest pogwałceniem najelementarniejszej zasady poszanowania cudzej własności. Lecz przeciwko takiej pla-

¹⁾ Dziennik Praw. t. VIII, str. 98.

²⁾ Porówn. ukaz Senatu rządzącego (6-go marca 1875 r.). Wprowadzenia do Król. Polskiego Ustaw sądowych z dn. 20 listop. 1864, Art. 174—973 punkt 8; oraz ustawę postępowania cywilnego art. 974 i 975.

dze, traktowanój z pewną pobłażliwością przez źle zrozumiany sentymentalizm, nie dokażą niczego ani najgruntowniejsze dyskusye teoretyczne władz Tow. kred. ziemsk. ani najsurowsze „Przepisy” o dozorcze lub administracyi zachowawczej, ani najtroskliwsza czujność dozoru stowarzyszonych sąsiadów, sołtysów i wujtów, ani najsprawiedliwsze gromy prasy na upadek moralności publicznej,—jeśli nie wkroczy tu silne ramię prawa, rozciągającego odpowiedzialność użytkującego z majątku właściciela na cały jego majątek osobisty, przy skutecznej energii władz sądzących i towarzyszącej jej skutecznej ekzekucyi władz administracyjnych. Przykład instytucyi kredytowych zagranicznych, jak *Crédit foncier* (art. 12), Tow. kred. Poznańskiego (§ 3 ustawy z r. 1857), Tow. kr. szląskiego, rozciągających odpowiedzialność dłużnika do całego jego ruchomego i nieruchomego majątku, wskazuje drogę, którą i Towarzystwo nasze kredytowe przy zmienionych warunkach swojej działalności, przy wyższych aniżeli w r. 1826 pożyczkach, jakkolwiek w porównaniu z zagranicznymi jeszcze dosyć niskich, przy zapewnionój ciągłości swojej egzystencji na nieokreślony przeciąg czasu—przykład, mówię, takich instytucyi wskazuje wypróbowaną już jedyną drogę, którą i nasze Towarzystwo pójść musi, zwłaszcza, że nie tylko władze Towarzystwa, ale i sami stowarzyszeni (Wniosek zebrania wyborczego w Kaliszu z r. 1886) szukają hamulca na dewastacyą dóbr Towarzystwu zastawionych. Wystąpienie w tym kierunku władz Towarzystwa z odpowiedniami wnioskami do rządu w celu udokładnienia ustawy co do rozszerzenia odpowiedzialności właścicieli majątków stowarzyszonych, oraz co do szanowania przez sądy postanowienia ks. namiestnika lub nowego odpowiedniego przepisu prawodawczego, zdaje się być jednym z pilniejszych środków zapobieżenia dewastacyi dóbr wystawionych na sprzedaż publiczną.

Nie mniej ważną dla przyszłości ogółu stowarzyszonych jest kwestya odpowiedzialności ogólnój stowarzyszonych względem właścicieli listów zastawnych. Odpowiedzialność ogólna stowarzyszonych jest jednym ze środków wzmacniających bezpieczeństwo dla złożonego w listach zastawnych kapitału i nie przedstawia żadnego niebezpieczeństwa przy zadawalniającym rozwoju Towarzystwa; lecz na przypadek niepomyślnego obrotu interesów Towarzystwa, o czém przezorność choćby najpotężniejszej instytucyi finansowej zapominac nigdy nie powinna na taki przypadek, mówię, zawisłaby owa odpowiedzialność ogólna stowarzyszonych niby miecz Damoklesa nad głowami i całym mieniem właśnie najakuratniejszych dłużników Towarzystwa, jakimi są stowarzyszeni. Na podstawie obowiązującej dotychczas ustawy, którój i projektowana „kodyfikacya” w tym punkcie dostatecznie nie rozwija i nie udoskonala, mogliby właściciele listów zastawnych szukać należności za listy zastawne wylosowane i kupony płatne na każdych dobrach Towarzystwu zastawionych, gdyby Towarzystwo, w obec rosnących zaległości w opłatach rat, nie mniej w obec deprecyacyi majątków przez zbrodnicze rabunki właścicieli i wierzycieli, po wyczerpaniu funduszu rezerwowe-

go nie mogło uczynić zadość swoim zobowiązaniom względem właścicieli listów zastawnych. Autor rozbiera gruntownie (str. 277—286) pojęcia prawne odpowiedzialności solidarnéj i odpowiedzialności ogólnej,—a zaznaczywszy groźne nader następstwa jakieby—choć dzisiaj nieprawdopodobne—wśród nieszczęśliwych warunków przyszłości, przy obowiązującej ustawie, mogły nastąpić dla ogółu własności ziemskiej Towarzystwu zastawionéj, przychodzi do wniosku, że i w tym razie powinny władze Towarzystwa korzystać z przykładu innych Towarzystw kredytowych na wzajemności opartych, jak np. nowe Tow. Prus Zachodnich, Szląskie, Pomorskie, Brandenburskie wreszcie i Towarzystwo kredytowe miasta Warszawy,—i powinno postarać się u Rządu o takie prawo, któreby je upoważniło do zastąpienia fikcyjnéj do pewnego stopnia odpowiedzialności ogólnej przez zgromadzenie takiego funduszu rezerwowego (odpowiadającego funduszowi zakładowemu przy towarzystwach akcyjnych), któryby usuwał zupełnie potrzebę odpowiedzialności ogólnej. P. Kirszrot uważa za dostateczny na ten cel fundusz rezerwowy, równający się 10% zahypotekowanych pożyczek. Autor zwraca jeszcze uwagę na ten fakt, że dla wzmocnienia bezpieczeństwa właścicieli listów zastawnych posiadają się niektóre instytucje kredytowe Tow. kr. miasta Warszawy, Prus Zachodnich, Szląskie, Pomorskie, Brandenburskie), innemi jeszcze środkami, a mianowicie opóźniają o kilka lat (od 2 do 12) rozpoczęcie amortyzacji przy pobieraniu rat całkowitych, z których tylko procent się strąca a reszta składa się na kapitał zasobowy. Fundusz taki nie stanowi własności Towarzystwa, ale jest funduszem osobistym każdego stowarzyszonego, nie liczy się do funduszu rezerwowego i ulega rozdzieleniu pomiędzy stowarzyszonymi, po ukończeniu okresu amortyzacyjnego. Losy funduszu użyteczności ogólnej mogą wśród ogółu budzić tu pewne obawy; ale fundusz użyteczności ogólnej nie miał celu ściśle określonego, a fundusze, o których wyżej mówimy, miałyby cel i zadanie wyraźnie wskazane, tak że bez zachwiania wiary publicznej na inne postronne cele obrócićby ich nie można. Możnaby przeciw wnioskosz. autora wskazać jeszcze na drugą przestrożę, mianowicie na fundusz rezerwowy b. dyrekcji rządowej ubezpieczeń od ognia; ale fundusz ten, zostający już tylko pod opieką organów administracyjnych, nie zmarniał przecie, lecz służył za kapitał zakładowy dla 10-ciu szczegółowych towarzystw gubernialnych. Nie przesądzając poglądu władz Towarzystwa, czuwających z wypróbowaną troskliwością nad bezpieczeństwem kredytu ziemskiego, mniemamy, że kwestye te są téj doniosłości, że zasługują na pilną uwagę i wszechstronny rozbiór.

Pogląd autora (§ 4 rozdziału IV-go, str. 206—218) na podniesiony przed paru laty, w naszych warunkach ekonomicznych nadzwyczaj niebezpieczny projekt konwersyi dotychczasowych Listów zastawnych na metaliczne, odpowiada zasadom nauki i ocenia trzeźwo praktyczną stronę téj sprawy ze względu na rolników, na bankierów i kapitalistów. Z równą dokładnością objaśnia także autor (§ 4 rozdz.

VI-ty, str. 259 — 272) kwestyą Listów zastawnych bezterminowych, czyli kwestyą konwersyi dotychczasowych seryi na Listy zastawne bezseryjne. Kwestya konwersyi Listów zastawnych pięcioprocentowych na Listy zastaw. z niższym procentem, może najżywotniejsza dla racjonalnego rozwoju własności ziemskiej, równie mniejszj jak i większj, oczekuje jeszcze głębszego i wszechstronniejszego rozbioru, i zależy w znacznej mierze od konjunktur kredytu powszechnego.

Rozdział XII-ty, zamykający książkę a zawierający „Wiadomości statystyczne,” nie przedstawia już dziś wiernego obrazu stanu i położenia własności ziemskiej, bo pomijając błędną podstawę, na której się w r. 1881-ym opierał p. Witold Załęski (mapa Anuczyna), przy obliczeniu przestrzeni Królestwa Polskiego (zob. artykuł p. Aleksandra Bosakiewicza w Bibl. Warsz. 1883, zes. listopadowy, str. 185—193), to zaszkę w późniejszym czasie równie w ustroju gospodarczym wielu majątków większych rozparcelowanych, jak i w stanie hipotecznym własności ziemskiej zmiany, utworzyły taki stan rzeczy, że wydany w r. 1881 przez władze Towarzystwa „Zbiór wiadomości statystycznych,” nie odpowiada już aktualnemu położeniu tych stosunków. Autor czuł to dobrze i dlatego posilkował się także późniejszymi pracami, zawierającymi wiadomości odpowiednie (np. Sprawozdanie Towarzystwa kred. ziem. za czas od 1 listopada 1885 r. do dnia 1 maja 1886 r., z tabliczką na str. 142, 143; „Pamiętnik Towarzystwa,” oraz studia G. Plewaki).

Co do samego wykładu nie nastęcza książka p. Kirszrota powodu do uwag szczególnych: język i styl nie obrażają ducha naszego języka, bo płaczące się czasem niepotrzebnie „takowy, a, e,” — nie zagłusza zanadto innych odpowiedniejszych zaimków, a nazwę Towarzystwa pomerańskiego (str. 301) zamiast „pomorskiego“ za lapsus calami uważamy. W ogólnym tedy sądzie przychodzimy do wniosku, że dzieło p. Kirszrota stanowi cenny nabytek naszj literatury ekonomicznj.

J. K. Plebański.

Frederic Seeböhm, Die englische Dorfgemeinde in ihren Beziehungen zur Gutsherrlichkeit, zu der ursprünglichen Stammesverfassung, zur Flureintheilung und Feldgemeinschaft. Ein Beitrag zur Volkswirtschaft. Nach der 3-ten Auflage aus dem Englischen uebertragen von Theodor Bunsen, Mit 14 Taf. Heidelberg 1885. (str. XII, 320, 8-a m.).

Dzieła, gromadzące tak nieoceniony materiał społeczno-ekonomiczny, rozklasyfikowany podług ogólnych idei naukowych, jak to

czynią w literaturze polskiej prace A. Pawińskiego ¹⁾ i Fr. Pickosińskiego ²⁾, we francuskiej p. René Belloc ³⁾, w niemieckiej Lambrechta ⁴⁾, w angielskiej Seebohma, mają pierwszorzędne znaczenie dla badaczy stosunków agrarnych i dziejów ludności rolnej w Europie zachodniej, gdyż dostarczają nam wiele faktów i niezawodnych dokumentów kultury minionych wieków, których najbystrzejsze oko kronikarza współczesnego dojrzeć nie było w stanie. Z pomiędzy dzieł, jakie się na téj niwie badań ekonomiczno-historycznych w ostatnich latach pojawiły w literaturze europejskiej, zajmuje wybitniejsze znaczenie gruntowne studjum Seebohma z tego względu, że ono może służyć za wzór metody, podług której tego rodzaju przedmiot powinien być badany. Ważność przedmiotu nie uszła baczno oka uczonych niemieckich, z pomiędzy których znany na tém polu statysta pruski Meitzen (D. L. Ztg. 1886, № 11 pg. 375—378, a także Litter. Centralblatt 1886 № 49, pg. 1688), podał o niej treściwą relacyą, z której także korzystamy.

Fr. Seebohm wydał już w r. 1883 swoje gruntowne studjum pod tytułem: „the English village Community's etc. An Essay in economic history“, które w krótkim czasie doczekało się trzech wydań. Th. Bunsen, porozumiewszy się z autorem, przełożył to dzieło na język niemiecki w sposób jaknajdokładniejszy we wszystkich szczegółach, przez co powiększył znacznie pożytek pracy Seebohma, która mimo systematycznego i przejrzystego wykładu autora, nie byłaby dla wielu czytelników przystępną już dla tego samego, że odnosi się do stosunków zbyt odległych, obcych już dziś dla pojęć i wyobrażeń stałego ładu, do tego stopnia, że tylko za pomocą historycznie zrozumiałych nazw i wyrazów technicznych, w sposób jasny określić je można. Dokładne tłumaczenie stanowi w tym razie nawet dla specjalisty na polu tych badań, znakomitą pomoc naukową.

Dzieło Seebohma, którego cel i zadanie szczegółowe określa dosyć dokładnie tytuł w nagłówku przywiedziony, zamierza przedstawić nam obraz, angielskiej gminy wiejskiej w stosunku do własności dominalnej oraz w stosunku do pierwotnej organizacyi plemiennój, nie

¹⁾ Polska XVI wieku pod względem geograficzno-statystycznym opisana p. A. Pawińskiego. Warsz. 1883—1886, w zbiorze „Źródła dziejowe“ T. 12, 13, 14 i 15, gdzie p. P. poprzedza zawsze zebrany materiał statystyczny ooszerzonymi studjami, w których w sposób jak najstaranniejszy i systematycznie naukowy, rozbiera sprawy gospodarskie, wykazująco stosunek większej własności ziemskiej do mniejszej, — stosunek własności wioskowej do folwarcznej i kmiećej. Wyszło dotychczas 4-ty tomy, dają dokładny obraz stosunków gospodarczych w Wielko- i Małopolsce w XVI w.

²⁾ O łanach w Polsce wieków średnich (Rozpr. Akad. Krak. 1887).

³⁾ Un departament français w Revue des deux mondes, 1883—15 Juillet.

⁴⁾ Deutsches Wirtschaftsleben im Mittelalter. Lipsk 1886, 3 grube tomy z 18 mapami i 6 drzeworytami.

mniej z uwzględnieniem zasad, przestrzeganych przy podziale pól i wspólnej własności gruntowej. Pod względem metody badania należy ono do tych dzieł najnowszej historyografii angielskiej, która stara się odtwarzać starożytne organizacje urzędów państwowych na podstawie zbadanej pierwotnej organizacyi stosunków gospodarskich a nie wysnuwa swych poglądów z oderwanych cytatów kronikarzy współczesnych, nieświadomych zupełnie na szerokiem polu stosunków ogólnych ekonomicznych. Zwolennicy tej metody badań prowadzą nas, podobnie jak naturaliści od pojedynczej komórki w organizmie do poznania całego organizmu, od urzędów jednej gminy, od urzędów uprawy mniejszej do ustroju gospodarstw większych, do wielkiej uprawy na obszernych terytoryach dominialnych. Seeborn, pragnąc wyświecić niejasne i sporne stosunki oraz kwestye, jakie się następują przy ocenianiu doniosłości cywilizacyjnej, mniejszej uprawy rolnej w stosunku do większej własności ziemskiej, postępuje drogą dedukcyi,—trzyma się metody a posteriori.

Autor, dążąc do wyjaśnienia najstarszych stosunków rolnych w Anglii, bierze za punkt wyjścia swego badania mapę pól wsi H i t s c h i n'a pod Londynem. Wybór autora padł z tego powodu na wieś wzmiankowaną, że ona jest od najdawniejszych czasów własnością korony, i że rozkład jej pól i pojedynczych łąnów uległ tylko w stopniu bardzo nieznacznym, z łatwością oznaczyć się dającym, powszechnie wiadomym zamachom i przewrotom, które od czasów reformacyi w sposób jak najgwałtowniejszy, burzyły starożytny organizm stosunków agrarnych w Anglii, bądź przez rozerwanie całości wioskowych na odrębne własności, bądź też przez zmassowanie mniejszych jedności w ogromnych przestrzeniach częściowo dziś dzierzawionych.

Z badań p. Pawińskiego, okazuje się, że w ziemiach lechickich Polski wieku XVI, przedstawiał typową formę własności ziemskiej mniej lub więcej znaczny obszar ziemi, stanowiący w jak najobszerniejszém tego słowa znaczeniu, całość gospodarczą, obszar, nazwany wsią. Oprócz wsi spotykamy w Polsce jeszcze dwie inne osiadłości, mianowicie t. z. powszechnie część czyli s o r s, tj. pewien obszar gruntu, stanowiący zwykle odrębny folwarczek z osobnym dworem i pewną ilością kmieci pańszczyźnianych;—drugą zaś kategorią tworzą osiadłości drobnej szlachty, która kmieci nie miała.—Każda tedy wieś w powyższem znaczeniu rozpada się zwykle u nas w w. XVI na dwie części: 1) na folwark dworski i należące do niego grunta i 2) na osadę wiejską czyli samą wieś, złożoną z kmieci i zagrodników. Wieś właściwa, czyli ogół osady wiejskiej rozpada się na kilka łąnów. Podobne stosunki spotykamy w całej Europie zachodniej z pewnemi atoli różnicami, będącemi wynikiem nie koniecznie prawnych, ale często lokalnych tylko warunków.

Pola wsi H i t s c h i n podzielone były na pojedyncze łąny, liche czyli włóki w równej ile możności glebie. Z każdej takiej włóki otrzymywała każda większa osiadłość, jeden pasek, jako swój udział. Se-

ebohm wykazuje tedy kilka takich posiadłości, które w postaci włóki rozrzucone były na całej przestrzeni pól, znajdujących się w granicach osobnej jednostki wioskowej. Te role albo pola u nas także „pólkami” zwane, rozrzucone po różnych łanach czyli włótkach, stanowią zwykle paski, odpowiadające w Anglii, co do wielkości swojej starożytnej miarze angielskiej „statut acre” zwaną, równającą się mniej więcej 40,5 acrom. Długość ich wynosiła około 1 „fuslong” czyli około 200 metrów. Półka takie rozdzielone były od siebie miedzą 2 stopy szeroką, nietykalną przez uprawę. Na przestrzeni tych łanów obowiązywał jednaki porządek uprawy roli, przy wspólności pastwisk i pól.

Seebolm przedstawia nam tedy obraz urzędzeń, znacznej liczby takich wsi czyli pól „open fields”, jeszcze dziś widocznych, jak tego mają dowodzić liczne tablice rysunkowe.— Za tym przewodnikiem wraca autor z pomocą tabel prestacyjnych, zawierających rejestra pól, czynszów i robocizn,—do czasów najdawniejszych, (wiek 6-ty po Chr.) wykazując, że wspólność używalności pól równie jak i szachownica i pomieszanie pojedynczych łanów można odnaleźć w czasach najdawniejszych. Autor przedstawia tedy dzieje stosunków włościańskich w Anglii, wychodząc z chwili terażniejszej, postępuje przy pomocy całej literatury nowszej do dyplomów z epoki Edwarda III (1346), dalej do urzędzeń wsi (hundred rolls około 1279 r.) za Edwarda I, a przy pomocy rejestrow, przeróżnych klasztorów i miast, oraz przy pomocy wielu dyplomów z XII i XIII wieku, sięga aż do owój niewyczerpanej dla tych stosunków skarbnicy materiału statystycznego, jaki w sobie zawiera tak zwana „Domesday book” z r. 1086, przedstawiająca klasyfikacją całą gromadę ludności rolniczej na pojedyncze grupy. Autor szuka prócz tego jeszcze poparcia kwestyi szczegółowych w takich publikacjach zbiorowych, jak Kemble’go „Codex diplomaticus”, dyplomata Abingdonu, „Liber de Hyda”, Prawa króla Ethelreda (978—1016) i Edgara (959—975), w tak zwanych „Certitudines singularum personarum” z téjże epoki; w starszych jeszcze „Exceptiones” arcybiskupa Egberta (735—766) i w zebranych przez króla Alfreda „prawach króla Jny” (689—726).—Wszędzie spotykamy już stały, normalny rozdział osiadłości, na osiadłości pańskie, folwarczne czyli dominialne i osiadłości chłopskie. Grunta chłopskie, osiadłe są w części przez gospodarzy wolnych, w części przez poddanych, zależnych od folwarku z rozmaitem ustąpieniem obowiązków, ale przy mniej więcej równomiernych obszarach pól, które się przez przeciąg następných wieków nie tylko co do sposobu ich uprawy, ale i co do nazwisk niezmiennie zachowały. W téj organizacji gospodarstwa wioskowego spotykamy racjonalne ustosunkowanie pomiędzy osobnymi udziałami a obowiązkami i ciężarami, jakie do każdego są przywiązane. Odmiennie nieco urzędzenia pokazują się w Walii, w Irlandyi i w Szkocyi, pochodzące z odmiennéj organizacji plemiennéj w tych księstwach.

Ta odmienna organizacja plemienna spowodowała także odmienny rozdział pól, odmiennie prawo spadkowe i odmiennie formy życia gminnego, czego następstwa jeszcze dzisiaj widzieć można w zupełnie odmiennych urządzeniach własności ziemskiej. Na podstawie tych rezultatów badań swoich, dowodzi Seebohm, że podobny stan rzeczy uformował się już także był na stałym lądzie między ludami germańskimi, że te stosunki przekształciły się pod wpływem panowania rzymskiego w nowe urządzenia własności ziemskiej i to w formie, w jakiej nam obraz willi frankońskiej („villa“) przedstawia własność dominialną. Przedewszystkiem miała ułatwić tę przemianę, potrzeba zagospodarowania dóbr cesarskich (dóbr narodowych) po dokonanych zaborach tak obszernych przestrzeni z ludnością starodawną, miejscową. Wśród tych warunków wytworzyła się w sposób bardzo łatwy i zupełnie naturalny własność dominialna, folwarczna z wielkimi jej skutkami, ujawniającymi się głównie w pańszczyźnie i rozmaitych robocznach, przywiązanych do ziemi, z której korzystały klasy robocze. Meitzen nie podziela we wszystkich szczegółach zapatrywania się Seebohma na stosunki ludności rolniczej w Niemczech, twierdząc, że równie w Niemczech jak i w Skandynawii w epoce Karolowingów stosunki ludności roboczej, chłopskiej co do jej zależności od własności dominialnej nie były tak uciążliwe jak w Anglii, objaśniając ten niekorzystny stan rzeczy, przez sam fakt gwałtownych zdobyczy i militarnej niemal polityki kolonizacyjnej w Anglii. Bądź co bądź, spotykamy się tu w dziejach rozwoju stosunków agrarnych mianowicie w Anglii w tej epoce z tym faktem, że wspólność wioskowa Brytanii wschodniej, jest wynikiem uporządkowanego już do pewnego stopnia gospodarstwa, uporządkowanej roboty rolnej, której ramiona sięgają epoki bardzo starej; bo poprzedzającej panowanie Rzymian. Dowody autora, odkrywającego już w epoce panowania rzymskiego organizacją owych „open fields“ nie tylko w Brytanii, ale i u Celtów, mogą niezadawalniać metody badań historycznych, bo w czasach tak odległych, występują podobne do siebie stosunki na wszystkich niwach, na których pierwszy raz rozpoczyna pług lub socha robotę swoje.

Dzieło Seebohma daje nam dokładny obraz właściwości gospodarstwa na owych osławionych latifundjach rzymskich w Brytanii i Gallii, które opierało się w części na pracy niewolników, w części zaś na robocie osadników czyli kolonistów. Obraz ten dowodzi, że rozsiedlenie kolonistów niemieckich na tych rozległych obszarach było już za panowania rzymskiego bardzo znaczne, tak, że ta ogromna masa ludności niemieckiej—owi glebae adscripti, mogli podczas zaboru niemieckiego w epoce gminoruchów pozostać w dawnych swoich, w niczem niezmienionych warunkach. Tworzyli oni już zaaklimatyzowany wielki stój niemiecki w formującej się świeżo organizacji społecznej, narodowej. Na tej drodze postępuje tedy od wieków exterminacyjna robota plemion germańskich ¹⁾.

1) Dombrowski dr. prof. „Studien zur Geschichte der Landauftheilung

Nie mniejszą wartość przedstawia dzieło Seebohma dla dokładnego poznania stosunków rolniczych plemion celtyckich w Walii i Irlandyi, które nawet po studyach Ferd. Waltera („Altes Wales“) następczają wiele kwestyi wątpliwych. Przy rozbiorze stosunków irlandzkich opiera się autor także na planie pól, który unocznia nam do pewnego stopnia owe 55,20 „townships“, na które dzieliła się Irlandya. Oprócz tego daje nam planik sytuacyjny 4-ech „quarters“, z których się składała każda całość wioskowa „townships“;—opisuje na podstawie źródeł irlandzkich owe 4 do 6-ciu domostw, stanowiących taki „quarters“, i prowadzi nas, aż do najstarszego ogniska „Klanu“, które zdaje się stanowić rdzeń, jądro owych kółek i kół szerszych. Był to szeroki dach słomiany, spoczywający na 6-ciu słupach drewnianych, nieociosanych, których wierzchołki związane gałęziami, podtrzymywały belkę podłużną (siodło). Ściany wyplatano wierzbiną, lub chrustem. W rozkładzie swoim przypomina takie ogniisko „klanu“ kościół z trzema nawami. Środek stanowił wspólną, ogólną izbę; w nawach zaś bocznych mieściły się poza owemi trzema słupami z każdej strony po 2 odziały dla 4-eh rodzin z pościelą („gamels“). W środku było miejsce na ognisko domowe. Wśród takich warunków żyły „klany“. Członkowie klanu otrzymywali swoje udziały rolne tylko dożywotnio; najstarszy ojciec czyli głowa klanu miała prawo żądać od członków klanu rozmaitych posług, obok czego ciążył na nich obowiązek wspólnych robót na łanie ojca klanu oraz na wspólnych polach gminy i to, zdaje się, podług tak zwanego systemu „run-ridge“ przy órce na zmianę.

Ten pierwotny sposób chodzenia koło roli udokładnili Rzymianie, przeprowadzając go na drogę wspólnęj uprawy gruntów w porządku gospodarstwa trzypolowego. Z tego wyprowadza uczony autor wniosek, że widoczny jest ciągły, nieprzeprawny łańcuch utrwalania się własności ziemskiej od najdawniejszych czasów przez całą epokę celtycką, rzymską, anglo-saksońską i normandzką. Wnioski Seebohma wywracają tedy dotychczasowe twierdzenia, które użyły, że dopiero w epoce anglo-saksońskiej, zaprowadzono w Anglii rozdział pól na osobne osady gospodarskie, naśladując podobne urządzenia w m a r c h i a c h niemieckich, bo uczeni zwyciężkięj Germanii nie przypuszczają, żeby mogły być nie niemieckie pierwiastki jakiegokolwiek kultury. Uczony angielski nie uprzedza się co do nieomyślności osiągniętych przez siebie wniosków; ale przedstawia je jak najszerszój dyskusyi historyków i uczonych ekonomistów, którzy może jeszcze więcej odkryją faktów i znamion charakterystycznych w rozwoju stosunków agrarnych w Anglii. Jeżeli dalsze badania potwierdzą wywody uczonego autora, to wypadłoby przyznać, że rozwój organiczny wszelkich stosunków prawnych każdój osiadłości rolniczej jest od 12-tu wie-

ków postępowaniem powolnym, ale nieprzerwanym—postępowaniem do coraz swobodniejszych stosunków, zgodnie z ideą krzwiącą się wolności, że postęp ten wyszedł wszędzie z pierwotnego stanu zależności i poddaństwa, a nawet niewoli. Fakt ten dowodzi wreszcie jak ważnym momentem w postępie cywilizacji i kultury jest zabezpieczenie własności osobistej, w przeciwstawieniu do stosunków wspólności gminnej lub wioskowej, która dla niektórych ideologów nie przestała jeszcze obiecywać rajy szczęśliwości ludowej. Dzieło Seebohma zawiera bogaty materiał naukowy dla wszystkich teoretycznych opiekunów ludu; ale oni wolą uszczęśliwiać lud według swoich teorii abstrakcyjnych, oderwanych, z dobrem społecznym niezgodnych, według teorii, na które już od lat kilkunastu patrzymy.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Rzut oka na stosunki polityczne w Europie. — Pokój zbrojny: gonitwa za równowagą sił militarych i politycznych. — Ruch umysłowy: I. Odczyty w sali ratuszowej na dochód Osad rolnych: a) K. dr. Zagórski: „Oko i malarstwo;” b) Winc. Rapacki: „Trzy doby naszej sceny;” c) Jul. Adolf Świącicki: „O teatrze hiszpańskim;” d) Kucharzewski: „Słynni garncarze.” — II. Odczyty w sali Muzeum rolnictwa i przemysłu na dochód kasy imienia Mianowskiego (dok. seryi 1-szej): a) P. Dziewulski: „O ciepłe i światło elektrycznym;” b) Stanisław Kramsztyk: „Magnetyzm, elektromagnetyzm i telegrafia;” c) J. dr. Jędrzejewicz: „Elektryczność atmosferyczna;” d) P. Dziewulski: „O indukcji i elektromotorach;” e) H. dr. Dobrzycki: „Elektryczność zwierzęca.” — Pomysłny rozwój Towarzystwa zachęty sztuk pięknych w Królestwie Polskiem. — Wystawa zabytków starożytności i sztuki w hotelu europejskim na dochód Towarzystwa dobroczynności. — Ruch na polu naukowym: a) Konkurs uniwersytetu warszawskiego o medal na temat z filologii słowiańskiej: „Szkoła ukraińska w poezji polskiej XIX wieku;” b) Czynności Akademii w Krakowie: 1) Posiedzenie nadzwyczajne komisji historii sztuki dnia 10 lutego; 2) Komisji archeologicznej d. 24 lutego; 3) Komisji fizyograficznej d. 25 lutego; 4) Komisji historii sztuki d. 3 marca. — Z ruchu muzycznego. — Z ekonomiki: W sprawie handlu cukrem; Ogólno zebranie członków warszawskiego oddziału Towarzystwa popierania przemysłu i handlu; Kwestya udziału żydów w cechach; Towarzystwo chrześcijańskie pomocy wzajemnej subjektów handlowych i przemysłowych.

Mimo sztucznych wielostronnych manifestacji pokojowych zaciemnia horyzont polityczny tyle chmur złowrogich, ciężarnych grozami wojennemi, że kronika z kończącego się miesiąca nie może pochwycić jaśniejszych promieni światła, któreby zdolne były wskazać najbliższy kierunek, w jakim się rozwijać mogą stosunki życia publicznego w Europie. Przed wyborami do parlamentu rzeszy niemieckiej, ks. Bismarck równie jak i marszałek hr. Moltke prześcigali się w zaręczeniach, że zawotowanie septennatu stanowi najważniejszy wa-

runek utrzymania pokoju w Europie, który czy to przez Francją, wypierającą się takiej pokusy rycerskiej, czy przez Rosją, czy też przez tajemnicze jakieś potęgi miał być poważnie zagrożony. Gdy jednak marzenia tych dwóch najwybitniejszych, bałwochwalczych czcicieli szabli spełnione zostały, gdy naród niemiecki, napomniany przez papieża i objaśniony wszechstronnie przez władze administracyjne, wysłał w znacznej większości pożądaných mameluków do Berlina, gdy septennat został rządowi zawotowany, nie rozjaśnił się firmament nieba niemieckiego. Dawna nieufność, dawna podejrzliwość, dawne insynuacje zamachów niespodziewanych, odwetów militarnych, antagonizmów rasowych—poczęły podnosić znowu swój język syczący, aż do chwili uroczystości dziewięćdziesięcioletniej rocznicy urodzin cesarza Wilhelma, uświetnionej atencją poważnej liczby książąt, a nawet i głów koronowanych. Uroczystość pomieniona, poprzedzona odnowieniem kończącego się przymierza między Niemcami, Austro-Węgrami i Włochami, miała znowu być tą spodziewaną przystanią, do której powinny bezpiecznie zawinąć nadzieje narodów europejskich, pragnących pokoju dla zdrowszego nieco postępu i rozwoju swoich prac i przedsięwzięć produkcyjnych. Lecz i ten horoskop zdaje się zawodzić, bo zaledwo rozjechał się ów iluminowany „kongres pokoju” z Berlina, owładnięta znowu szczególniej świat finansowy gorsza jeszcze nieufność, usprawiedliwiona różnemi alarmującymi pogłoskami, tak, że przychodzimy do tego smutnego wniosku, że osiągnięto do tej chwili pokój; ale pokój zbrojny, podczas którego nie złożono wydoskonalonej i pomnożonej broni morderczej do arsenatów, do „Zeughausów” lub choćby do koszar; ale ustawiono ją tylko w kozły na odwachu, aby za pierwszą pobudką można jak najspieszniej za nią pochwycić.

Prasa rosyjska dowodziła głośno i z zadowoleniem, że Rosja faktycznie wyszła z krępujących ją sojuszowych związków, że zajęła stanowisko zupełnie swobodne, wyczekujące, że stała się przez to nie tyle rozjemcą dyplomatycznym ile superarbitrem politycznym wśród uganiających się za tą lub ową koalicją pierwszorzędných państw europejskich. I rzeczywiście: Jowiszowy ten spokój gabinetu cesarskiego nie przestawał imponować całej Europie.

Wybuch rokoszu sylistryjsko-ruszcuckiego, niemniej poskromienie go przez krwawe rozprawienie się z przywódcami jego, zwróciło znowu większą uwagę na Wschód, nieco w ostatnim czasie zapomniany; gdy „wędrująca” polityka Rzeczypospolitej francuzkiej nie potrafiła wzbudzić zaufania do manifestujących się wszędzie aspiracyi pokojowych ani z tamtej, ani z tej strony Wogezów.

Komunikat rządu cesarskiego, ogłoszony w „Prawit. Wiestn.” z dnia 8 marca, przypomina wojowniczej anty-niemieckiej prasie ro-

syjskiej dawniejsze deklaracje gabinetu petersburskiego co do przyjaznych, niczém nie zamąconych stosunków niemiecko-rosyjskich, oczyszczając Niemcy od podejrzliwości, z jaką się niektóre dzienniki odzywały z powodu doraźnych skutków spisku sylistryjsko-ruszczyckiego.

Po odnowieniu przymierza między państwami Europy środkowej donoszą poważne organa prasy europejskiej, że w miesiącu marcu dobiega także swojego kresu sojusz trzech cesarzów: rosyjskiego, austriackiego i niemieckiego, oraz, że nadeszła także pora udeterminowania ścisłego aliansu Austro-Węgier z Niemcami. Ważą się tedy losy całego dotychczasowego ugrupowania mocarstw europejskich, od czego zależy najbliższa przyszłość narodów. Z wielu faktycznych danych płynąć zdaje się ten wniosek, że w obec groźnych w ogóle stosunków wewnętrznych, w obec krytycznego położenia ekonomicznego na polu przemysłu i handlu, w obec szalonych zamiarów, a nawet niepowściągliwych wybryków elementarnych mas narodowych, nie przyjdzie jeszcze w tej chwili do żadnych zmian radykalnych,— że zatrzyma się jeszcze wszystko na pochyłej równi ku reakcyi, szukającej nowych kierunków i sposobów uszczęśliwiania narodów, przy hasłach starych i nieco zszarzałych.

Ks. Bismarck, nie chcąc turbować milczenia marszałka Moltke'go, spoczywającego bezpiecznie na szerokim żelaznym łożu seppennatu, nie szczędził sił i wymowy swojej w celu zestrychowania i ujednostajnienia pragnień, przekonań i usiłowań wszystkich synów Germanii. Dla ugruntowania pokoju wewnętrznego szuka na wszystkich drogach pokoju z papieżem, ponieważ tego pragnie 8 milionów katolików. Nie przywiązuje jednak do tego pokoju większego znaczenia aniżeli do któregośkolwiek traktatu politycznego. Skoro zawierający się dziś pokój z Kościołem katolickim (nb. jeszcze w wysokim stopniu przez państwo skrępowany) okaże się w przyszłości niedogodnym, to można go będzie bez skrupułu porzucić i wróciwszy do tak zwanych „praw Majowych“, wpuszczone tymczasem w granice państwa zakony wypędzić. Tymczasem chodzi o to, aby stanął pokój między papieżem a cesarzem, bo przez to obezwładnione zostaną te żywioły, które są nieprzyjazne jedności i potędze Niemiec. „Dla utrwalenia jedności całego narodu, uczy ks. Bismarck Izbę panów sejmu pruskiego, potrzebujemy pokoju wewnątrz, a to ze względu na niebezpieczeństwa, na które w niedalekim czasie wystawieni będziemy.“ Podobna konkluzya nie może budzić zaufania do obietnic pokojowych.

Wśród tych różnorodnych aspiracji interesów politycznych wystąpił dosyć pokaźnie na pierwszy plan wpływ P a p i e ż a, spodziewającego się ze strony Niemiec pożytecznego pośrednictwa między Watykanem a Kwirynałem, z czego i dla państwa Włoskiego poważne spłynąć mogły korzyści. Tymczasem chciałyby różne stronnictwa

i różne nawet narody, żeby papież był wytrwałym adwokatem tylko ich odrębnych interesów politycznych i narodowych; lecz to jest niepodobieństwem, bo misya papieża w sprawach świeckich polega głównie na adwokaturze pokoju w granicach interesów Kościoła rzymsko-katolickiego, powszechnego.

Gabinet terażniejszy włoski, podtrzymywany głównie przez względy polityki zagranicznej, nie może znaleźć w kraju dosyć bezpiecznego gruntu i szuka ratunku w transakcyi nawet z żywiołami, które mu jednolitą siłę nie przyspożą.

Gabinet torysowski w Anglii, zatrudniony bezskuteczną swoją „koercyjną“ polityką w Irlandyi, w ostatniej chwili nie oddziaływał silnie na sprawy stałego ładu, a i Fraucya urzędowa, przezorniejsza od swoich publicystów i znakomitości naukowych, potrafiła panować nad temperamentem swoim, tak, że prócz niektórych manifestacyi koalicyjnych unikała wszystkiego, coby Niemcy drażnić mogło.

Widocznie tedy znajduje się Europa w stadium przygotowywania równowagi sił swoich politycznych i militarych. Nie można wskazać wyraźnego celu, dla którego się tyle pracy i tyle kosztu podejmuje; ale zdaje się temu wszystkiemu przewodniczyć pewne nieokreślone ściślej przeczucie zbliżającej się chwili, w której te siły zmierzyć się będą musiały czy to między sobą, czy też zgrupowane w pewne osobne koła potęg militarych z socjalizmem i nihilizmem. Pytania tego nie rozstrzygnie dzisiaj żaden mąż stanu: jest to ciekawa zagadka dla dowcipnych publicystów.

W przeglądzie faktów, jakie się na polu pracy umysłowej w bieżącym miesiącu ujawniły, mamy do zaznaczenia odczyty w sali ratuszowej na dochód „Osad rolnych,“ oraz dokończenie pierwszej seryi odczytów z nauk przyrodzonych w sali Muzeum rolnictwa i przemysłu na dochód kasy imienia Mianowskiego.

Na dochód Osad rolnych i przytułków rzemieślniczych dnia 7-go marca mówił pierwszy dr. Karol Zagórski „O oku i malarstwie.“ P. Z. skreślił na wstępie ogólny zarys budowy oka oraz przedstawił słuchaczom prawidła, podług których kreślą się w oku naszym obrazy przedmiotów, na jakie patrzymy i które tą drogą dochodzą do świadomości naszej. Następnie określił, jakich praw trzymać się musi rysunek i malarstwo, ażeby tworzone przez sztukę dzieła czyniły wrażenie analogiczne z przedmiotami rzeczywiście istniejącymi w naturze, to jest, żeby przedmioty narysowane lub namalowane na płaszczyźnie oddziaływały na nasze zmysły w sposób, dający pojęcie o ich brylowatości i rozmieszczeniu w przestrzeni. Mówił więc najprzód o rysunku linearnym, następnie o perspektywicznym, w końcu o kolorycie, to jest o kombinowaniu się harmonii barw w obrazach. W różnych miej-

scach odczytu mówca powoływał się na traktat Michała Anioła, znany u nas z przekładu W. Gersona, na „Estetykę barw“ prof. Struvego, na rozprawę Szokalskiego, wreszcie na poglądy estetyczne Kremera i Libelta.

Zasłużony artysta p. Wincenty Rapacki mówił o „Trzech dobach naszej sceny,“ przedstawiając trzy osobistości reżyserów, którzy na losy naszej sceny mniej lub więcej wpływali, mianowicie o Kudliczu, Jasińskim i Chęcińskim. W gładkich i pięknie wypowiedzianych słowach przedstawił p. R. obraz tych trzech artystów, zaznaczając koleje, jakie przechodziła nasza „szkoła dramatyczna.“

P. Jul. Adolf Świącicki przedstawił w 2-ch odczytach rzecz dobrze pomyślaną, naukowo i gruntownie wypracowaną i pięknym językiem wypowiedzianą „O teatrze hiszpańskim,“ którą czytelnicy Bibl. z korzyścią odczytają w najbliższym zeszycie Bibl. Warsz., dla tego na niniejszej wzmiance o niej porzestać możemy.

P. Kucharzewski mówiąc „O słynnych garncarzach“ przedstawił w sposób odpowiedni historią garncarstwa od samego zawiązku tej sztuki w starożytności, w wiekach średnich, w czasach nowszych i najnowszych we wszystkich krajach, a najszczególniej przedstawił koleje sztuki garncarskiej w Polsce, poczynając od w. XV-go, gdzie spotykamy już cech garncarski w Ilży, w Korcu, wreszcie za Stanisława Augusta w Belwederze. Jasny i przystępny wykład przeplatany wielu szczegółami był wielce pouczającym.

W dniu 23 lutego p. Dziewulski miał czwarty z kolei wykład w Muzeum na dochód kasy imienia Mianowskiego: „o ciepłe i światło elektrycznym.“ Elektryczność w postaci prądu przebiega po metalicznych drutach i jest zdolną w pewnej odległości od źródła wykonać pracę. Źródłem elektryczności, jak o tém już poprzednio wzmiankowano, jest chemiczny proces zachodzący w elementach stosu. W ogniwie Volty każdy gram cynku, rozpuszczając się w kwasie siarczanym, wytwarza 1600 jednostek ciepła, to jest taką ilość, jaka jest potrzebna do ogrzania 1600 grammów wody o jeden stopień C. Lecz przy tém rozpuszczaniu wydziela się wodór, a ta sprawa zużywa 1050 ciepłostek, pozostaje więc wolnych 550 ciepłostek. W ogniwie Daniell'a uwalnia się 710 a w ogniwie Bunsen'a 1300 ciepłostek, które mogą wykonać odpowiednią pracę. Najściślejsze poszukiwania pokazały, że jeden gramm węgla, przy swém paleniu, wytwarza 7050 ciepłostek, to jest prawie 13 razy tyle, niż go wydziela gramm cynku zużyty w ogniwie Volty; że zaś cynk kosztuje 20 razy drożej niż węgiel, wypadła przeto koszt wyprodukowania wolnej jednostki ciepła w ogniwie Volty 260 razy drożej niż za pomocą węgla. Zważywszy wszakże, że dzisiejsze maszyny parowe zużywają skutecznie nie więcej niż 8 procent ciepła, którego im się dostarcza, zważywszy, że przenoszenie

pracy maszyny parowej na znaczną odległość jest niepodobnem, i że bardzo znaczny procent siły wytworzonej działaniem prądu elektrycznego faktycznie użytym być może, wynika, że prąd elektryczny mimo wysokich cen swego wyprodukowania, może być użytym do przenoszenia pracy na znaczną odległość i zamianę tej pracy na ciepło, światło, ruch lub rozkład chemiczny.

Jeszcze w 1822 r. Seebeck zauważył, że ogrzewając miejsce zetknięcia dwóch sztabek metalowych, których wolne końce połączone są drutem, powstaje prąd elektryczny biegnący po owym drucie. W celu powiększenia działania takich par termoelektrycznych, poczęto je łączyć z sobą w bardzo znacznej liczbie, a metalami, które się najodpowiedniejszymi pod tym względem okazały są: bizmut i antymon lub neyżilber i żelazo. Usiłowania lat ostatnich były skierowane do tego, aby na zasadzie termoprądów wybudować przyrządy praktyczne i dostarczające tanio elektryczności. Takimi są ogniwa Noe'go i Clamond'a; pierwsze służą do celów naukowych, drugie do technicznych. Ogniwa Clamond'a składają się z płyt żelaznych i aliażu antymono-cynkowego osadzonych w ścianach pieca w ten sposób, że spojenia parzyste zwrócone są do wnętrza pieca a nieparzyste wychodzą na zewnątrz i kończą się blachami miedzianymi, aby szybciej stygły. Gdy w podobnym piecu znajduje się 6000 ogniw i spala w nim około 20 funtów koksu na godzinę, to oprócz ogrzewania przestrzeni, wytwarzamy prąd elektryczny zdolny wydawać światło w dwóch lampach z siłą 300 świec w każdej. Wynik ten dla celów praktycznych jest za kosztowny, lecz rozwiązuje zadanie przemiany ciepła bezpośrednio na prąd elektryczny.

Na odwrót możemy prądem elektrycznym wytworzyć ciepło, które potęgując się w pewnych warunkach, daje światło. Aby zaś dać pojęcie o prawach rozchodzenia się prądu, p. Dziewulski w doskonałe wybranych przykładach z ruchu cieczy, uzmysłowanych bądź to za pomocą uprzednio przygotowanych rysunków, bądź też bezpośrednio doświadczeniem, objaśnił, co to są napięcia elektryczne, potencyały, ich różnice i prawo Ohm'a uczące, że „natężenie prądu jest ilorazem z różnicy potencyałów i oporu.“ Tu prelegent wykazał wielką doniosłość tego prawa, które stanowi epokę (r. 1827) w rozwoju tej gałęzi wiedzy ludzkiej. Prąd elektryczny, według prawa Ohm'a, jest pracą, którą możemy po dobrych przewodnikach przenosić na znaczne przestrzenie, dać tej pracy wielkość odpowiednią do zadania jakie ma spełniać, dobierając dwie wielkości, od których natężenie prądu zależy.

Przechodząc szereg rozumowań p. Dziewulski sformułował pojęcie ogólne, że fizyka jest nauką traktującą o różnych formach jednej i tej samej ilości energii, złożonej w przyrodzie (Helmholtz 1847). Pojęcie to wszakże podniósł do dzisiejszego znaczenia genialny Thomson. Prelegent, jak gdyby dzieląc nasze zapatrywanie o niedostateczności objaśnień na odczycie drugim, dał szereg objaśnień o przyjętych obecnie jednostkach miar, a więc mówił o dynach, ergach w sposób możliwie popularny a jednak wybornie rzecz objaśniający. Potem nadmic-

nił o jednostkach wielokrotnych jak Volta równa 100 milionów erg; Ohm równy 1000 milionów jednostek oporu (a za taką jednostkę przyjmuje się opór, jaki przedstawia słupek rtęci 106 centymetrów długi o przecięciu 1 milimetr kwadratowy przy temperaturze 0° C.).

Ponieważ prąd elektryczny jest pracą, którą przesyłać można na znaczną odległość od źródła, i to pod formą dowolną a więc można go zniewolić do rozżarzania metali trudno topliwych lub węgla do tego stopnia, aby silnie świeciły i oto mamy lampy elektryczne. Tu prelegent opisał kilka typowych lamp zarówno o łuku Voltaicznym jak i żarowych, wspominał o świecach Jabłoczkowa, które już dziś do historii nauki należą a popierał swe objaśnienia odpowiedniami doświadczeniami. Cały wykład p. Dziewulskiego był nadzwyczaj starannie opracowany, zawierał w sobie takie bogactwo materiału, że śmiało na dwa posiedzenia mógł być rozłożonym; niektóre podane zeń szczegóły zawdzięczamy osobistej czynności prelegenta, mnóstwo faktów i wywodów zniewoleni byliśmy pominąć z krzywdą dla sprawozdania; lecz z konieczności ograniczenia się w rozmiarze. Tylko dosłowne powtórzenie całego wykładu mogłoby dać miarę o wielkości potencyału dobrej woli i wiedzy prelegenta, który z zapasem nie małej energii wstępuje zawsze na katedrę i przemienia pracę swęj myśli na zwiększanie wiedzy ogółu.

Przedmiotem piątego odczytu był magnetyzm, „elektromagnetyzm i telegrafia“ a prelegentem znany autor i tłumacz p. Stanisław Kramsztyk.

W wielu miejscowościach globu znajduje się ruda żelazna, mająca własność przyciągania drobnych cząstek żelaza; zowią ją naturalnym magnezem. Odkrycie jej i nazwa pochodzą według Pliniusza od imienia pasterza Magnes, który nie mógł wejść na górę Ida, został bowiem przytrzymany przez jej grunt, gdyż miał obuwie nabite żelaznami ćwiekami, a w pokładach góry znajdowała się właśnie wyżej rzeczona magnetyczna ruda. Według Arystotelesa, nazwa magnezu pochodzi od miejscowości Magnezja, położonej na północnym wschodzie od Smyrny żkąd kamień magnetyczny wydobywano.

W żadnej z tych miejscowości nie napotykamy rudy magnetycznej, oba więc podania są błędne, a pierwsze z nich nie wytrzymuje najlżejszej nawet krytyki. Tymczasem wiadomo, że Chińczycy od niepamiętnych czasów korzystali z własności igły magnesowej, która swobodnie zawieszona w płaszczyźnie poziomej, kieruje się stale jednym końcem ku biegunowi północnemu ziemi. Sztaby lub pręty żelazne a zwłaszcza stalowe, przez zetknięcie się z magnezem naturalnym, a jeszcze lepiej przez pocieranie, stają się magnesami, przyczem stal zachowuje nadaną jej własność, gdy miękkie żelazo traci ją niezwłocznie po oddaleniu magnezu naturalnego. Po okazaniu głównych własności magnezu postawiono wniosek, że i ziemia musi być magnezem, że więc powinna prętom żelaznym, znajdującym się w położeniu pionowym,

nadawać własności magnetyczne, co téż doświadczeniem zostało potwierdzone.

W 1820 r. Oersted, profesor w Kopenhadze, dokonał odkrycia, które wykazało ścisły związek między elektrycznością i magnetyzmem. Na związku tym Amper i Faraday oparli nową gałąź fizyki, elektromagnetyzmu. Odkrycie Oersted'a polegało na tém, że igła magnesowa, po nad którą przebiega po drucie prąd elektryczny, zbacza ze swego położenia i przyjmuje kierunek tém więcej prostopadły do kierunku strumienia, im ten jest silniejszy. Na zasadzie tego odkrycia Schweigger zbudował przyrząd zwany galwanometrem, a służący do wykazania obecności, kierunku i siły strumienia.

W rok po odkryciu Oersted'a zauważył Arago, że w chwili przepuszczania prądu elektrycznego przez spiralnie skręcony drut metaliczny, okalający sztabkę żelazną, ta staje się magnesem; zauważył nadto, że i sam drut spiralnie skręcony, a który zowią solenoidem, w chwili przebiegania po nim prądu przybiera również własności magnesu, objawia dwa bieguny, a sam solenoid, jeśli jest swobodnie zawieszony, ustawia się podobnie jak igielka magnesowa. Na podstawie tych spostrzeżeń Ampère utworzył teorią magnetyzmu, według której około każdej cząsteczki ciała magnetycznego krążą strumienie elektryczne kołowe. Jeżeli strumienie te krążą w różnych kierunkach, to wzajemnie się znoszą a tém samém dane ciało żadnych objawów magnetycznych nie przedstawia. Gdy zaś te strumienie dążą wszystkie w jednym kierunku i równolegle od siebie, ciało nabywa własności magnesu. Według teorii Ampère'a na około kuli ziemskiej biegą bezustannie strumienie elektryczne od wschodu na zachód prostopadle do południka, a powstają w skutek różnicy temperatury różnych części globu pod wpływem słońca, są więc strumieniami termoelektrycznymi. Na podstawie spostrzeżeń Oersted'a i Ampère'a wsparła się nowoczesna telegrafia i sygnalizowanie. Już wprawdzie w 1811 r. Soemmering obmyślił telegraf o wielu drutach, który możnaby nazwać elektrochemicznym, a w 1837 Wheatstone w Londynie zbudował również wielodrutowy telegraf, którego zasada polegała na wpływie prądów na igielki magnesowe, dopiero wszakże zastosowanie elektromagnesów popchnęło telegrafię na praktyczną drogę i wydało zdumiewające rezultaty. W 1844 r. amerykańnin Morse zaprowadził pierwszy elektromagnetyczny telegraf między Waszyngtonem i Baltimore. Depesza wysłana telegrafem Morse'a odbija się na pasku papieru na stacyi przyjmującej, alfabet zaś składa się z kropek i kresek najrozmaiciiej skombinowanych, np. — a; — .. b; ... c — .. d i t. d. Zebrani na wykładzie mogli się naocznie przekonać o sposobie przesłania depesz według systemu Morse'a, jak również o sposobie sygnalizowania na stacyach dróg żelaznych lub o urządzeniu dzwonek elektrycznych.

System Morse'a był ulepszany w kolei czasu a wreszcie Caselli wpadł na pomysł przesłania autografów za pomocą prądu elektrycznego, wynalazek który w szczególnych wypadkach ma doniosłe znacze-

nie. Wyobraźmy sobie bowiem, że przy pomocy takiego telegrafu możemy przesłać podobiznę pisma, rysunku, a co najważniejsza w wielu razach podpisu. Zebrani na odczytanie mieli objaśniony system Caselli'ego za pomocą szematycznych rysunków; w Warszawie bowiem nie ma podobno modelu tego telegrafu, który zresztą mało gdzie został w praktyce wprowadzony (czytaliśmy niegdyś o istnieniu podobnego telegrafu między Moskwą i Petersburgiem). Depeszę pisze się na cynowej blaszce specjalnie przygotowanym atramentem, a podobizna jej otrzymuje się na papierze napojonym cyankiem żółtym, który pod wpływem prądu rozkłada się i pozostawia niebieskie znaki najdokładniej odpowiadające literom depeszy pisaną na cynowej blaszce. Oto jest zasada systemu Caselli'ego, w szczegóły wdawać się nie podobna.

Wykład p. Kramsztyka ilustrowany licznymi doświadczeniami zdradzał nieobycie się prelegenta z szerszym kołem słuchaczy, przez co wiele dobrych chęci przepadło bez należytego skutku.

Elektryczność atmosferyczna. Taki temat do wykładu wybrał znany lekarz i astronom z Płóńska dr. J. Jędrzejewicz, i przeprowadził go w obec licznie zebranej publiczności w dniu 2 marca r. b.

Groza zjawisk atmosferycznych i straszne ich skutki musiały po części wpływać już na przedhistorycznych ludzi. W obec tej grozy czuli się oni bezsilnymi, objawy jej odnosili do bezpośredniej działalności bóstw. Liczne upływały wieki w historii rodu ludzkiego, wiele pojęć zatarło się, zmieniło, skartłowaciało, lecz wyobrażenia o gniewie Bożym i karze gromem przetrwało do dni naszych u milionów ludzi. Badania naukowe wdzierają się w tajemnice przyrody, tłómaczą zjawiska, dają środki zabezpieczenia się przeciw szkodliwym ich skutkom, a chociaż w przedmiocie atmosferycznych zjawisk nie dotarły do krańców poznania, nie mniej przeto wyjaśniły wiele cudów i wskazały sposoby uniknięcia strasznych wypadków. Dokąd doszło badanie, kto i jakie położył zasługi i czego jeszcze spodziewać się mamy prawo, oto treść wykładu szanownego doktora.

Znakomity badacz B. Franklin w Filadelfii w 1752 r. wpadł na myśl, że piorun i iskra elektryczna są identycznymi zjawiskami, a za pomocą zwykłego latawca sprawdził swe przypuszczenie. Fakt powyższy nasunął mu myśl zbudowania w 1755 r. przyrzędu, zwanego konduktorem, a przeznaczonemu do ochrony budynków od uderzenia piorunu. Filadelfia, nawiedzana bardzo często piorunowemi burzami, zyskała w wynalazku Franklina dzielną obronę. Półtora wieku ubiega od tej chwili a nie mamy dzielniejszego obrońcy przeciw uderzeniom piorunów nad prosty metaliczny pręt, łączący się za pomocą dobrych przewodników z ziemią a ustawiony na szczycie budynku, który ochroni przed piorunami pragniemy.

Aby badania nad stanem elektrycznym atmosfery systematycznie przeprowadzać, obmyślono liczne przyrządy, z pośród których prelegent objaśnił elektrometry Pelletier'a i Palmieri'ego, a wspomniał

o profesorze Richmanie, który przez nieostrożne obejście się ze zbudowanym przez się przyrządem w Petersburgu, został ugodzony w człoście piorunową iskrą w r. 1753. Z szeregu dokonanych badań okazało się, że powietrze zawsze jest naelektryzowane dodatnio w górnych swych warstwach, że napięcie elektryczne bardzo małe podczas pogody, wzrasta w czasie zjawiającej się mgły, rosy, chmur, że wielkość napięcia jest nader zmienną i zależną od pory roku i godziny dnia. Lecz skutkiem czego napięcie to do kolosalnych dochodzi wielkości pozostaje dotąd pytaniem, które w części tylko odpowiedź znalazło. Parowanie wody i jej skraplanie się w górnych warstwach jest niezawodnie jedną z najgłówniejszych przyczyn powstawania elektryczności. Tarcie o powietrze, jakiego doznają krople wody przy spadaniu, a co ważniejsza o suchy lód, unoszący się pod formą igieł w warstwach powietrza 3—4 tysięcy metrów nad ziemią, jest według Sohneke'go niemniej poważnem źródłem elektryczności. Według Lamontea powietrze globu jest zawsze naelektryzowaną ujemnie, a naturalna elektryczność pary wodnej rozkłada się pod tym wpływem na dodatnią, spływającą ku ziemi i ujemną, która pozostaje w parze. Gdy zaś ta ostatnia skrapla się, następuje nadzwyczajne zmniejszenie objętości a przez to napięcie elektryczne gwałtownie i szybko wzrasta. Wszystkie te teorie nie zadawalniają badaczy, a tymczasem z doświadczenia wiadomo, że istnieje jakiś i to ścisły związek między pojawieniem się gradu i silnem napięciem elektrycznem. Powstawanie gradu nie jest dotąd należycie wyjaśnione zwłaszcza wtedy, gdy kulki gradowe dochodzą do wielkości gołębiego jajka a ważą po 240 gramów, jak to obserwowano podczas strasznej burzy 13 lipca 1788 r., która spustoszyła znaczną przestrzeń Francji i Niderlandów. Pamiętamy dotąd burzę w Warszawie, podczas której 26 maja 1857 r. spadały kulki gradowe półtutowej wagi a pokryły tu i owdzie ziemię trzy calową warstwą. W ostatnich czasach powstawanie wielkich kul gradowych objaśniają w ten sposób, że w górnych warstwach atmosfery znajdują się kropelki płynnej wody pomimo, że temperatura ich jest niższą od zera, dopiero wstrząśnienie sprowadza jednorazowe ich krzepnięcie i osadzanie na spadających już kulkach lodu nowych warstw wody w przebiegu przez niżej leżące mgły i chmury. Tu prelegent zwrócił uwagę na ochronny wpływ lasów iglastych przeciw gradobiciom i poparł twierdzenie swe faktami historycznymi. Była też mowa o różnych formach błyskawic i piorunów, których obrazy rzucone w przeczroczu ilustrowały wykład prelegenta.

Wreszcie objaśnił p. Jędrzejewicz powstawanie zorzy północnej, zjawiska jednego z najwspanialszych na globie, chociaż widzialnego w całym swym majestacie tylko w okolicach podbiegunowych. Wspomniał też, że w Warszawie widziano ostatni raz zorzę północną 2 lutego 1872 r. Według dzisiejszych pojęć objawy zorzy są spokojnemi wyładowaniami się elektryczności dodatniej powietrza z ujemną ziemi, przy zmniejszonem ciśnieniu atmosferycznem. Zjawisko podobne

odbywa się na małej skale w rurkach Geisler'a, w których przebiegają iskry elektryczne przez znacznie rozrzedzone gazy. Na wielką skalę urządził niedawno temu sztuczną zorzę północną uczony Lemström w Finlandyi. Cały wykład dra Jędrzejewicza odznaczał się swobodą i artyzmem; powaga i elokwencya wskazywały uczonego, a staranność w wykładzie ceniącego publiczność prelegenta.

Promotor tegorocznych wykładów w Muzeum przemysłu, p. Eugeniusz Dziewulski, przyjął w nich bardzo czynny udział, bo oto w d. 5-ym marca zajął poraz trzeci katedrę i wypowiedział rzecz o „indukcji i elektromotorach.“

Powoławszy się na wnioski poprzedniego wykładu, że „wszystkie zjawiska we wszechświecie należy uważać za szczególne formy, pod jakimi ujawnia się energia, elektryczność zaś jest jedną z takich form,“ prelegent zaznaczył, że pierwszorzędni fizycy w ostatnich czasach twierdzą, jakoby elektryczność nie była ani materią, ani energią, a pomimo to jest czemś, mającém jedną wspólną z niemi cechę, a mianowicie: „nie może być stworzoną ani zniszczoną.“ To coś, według Clausius'a, jest wszechświatowym eterem, tym samym, którego ruch drgający sprawia zjawiska ciepła i światła, którego inny jakiś ruch daje zjawiska elektrycznymi zwane. Elektryczności nie możemy stworzyć ani zniszczyć, natomiast możemy nagromadzać ją w jedném miejscu, ogałając w inném. To nowe rozmieszczenie elektryczności, otrzymane kosztem pracy muskularnej w zwykłych maszynach elektrycznych, lub kosztem ciepła w ogniwach voltaicznych i termoelektrycznych, jest bądź co bądź energią potencjalną, lecz nie zwyczajną, ale elektryczną. Zachodzi przeto pytanie, czy energia elektryczna, nagromadzona w jedném miejscu, może wywołać objawy elektryczne w inném, sąsiedniém. Na odczycie poprzednim było wykazaném, że elektryczność statyczna może być wzbudzoną przez statyczną, a zjawisko takie zowie się w nauce indukcyą, wykazaném było również, że prądy elektryczne działają na siebie z odległości, wywołując przyciąganie lub odpychanie, stosownie do wzajemnego kierunku, w jakim dążą; jako wniosek przeto wypływa „gdy w jednym przewodniku metalowym przebiega prąd, a drugi zostanie ku pierwszemu zbliżony lub oddalony, wówczas w tym drugim powinien się objawić prąd, czyli powinno powstać zjawisko indukcji. Wniosek ten jednak tak prosty z pozoru nie łatwym był do pochwycenia i sformułowania. To téż wymknął on się nawet tak znakomitemu badaczowi, jakim był Ampère, który, mimo licznych usiłowań, nie zdołał pochwycić go należycie a wynikło to ztąd, że dokonywał obserwacji na fałszywej drodze:—idea zachowania energii nie miała jeszcze wówczas dzisiejszego znaczenia. Odkrycie strumieni wzbudzonych dostało się w udziale Faraday'owi w r. 1831. Aby powtórzyć doświadczenie Faraday'a używa się przyrządu złożonego z dwóch cylindrów, obejmujących się i okrażonych każdy zwojem drutu. Na wewnętrznym nawija się drut gruby, po którym

przepuszcza się chwilowo strumień i przerywa go na przemian, na zewnętrznym zaś jest drut cienki, połączony z galwanometrem. Otóż w chwili puszczenia strumienia spostrzegamy odchylenie igły w jedną stronę, a w chwili przerywania w stronę przeciwną. Zamiast walca wewnętrznego można użyć sztaby miękkiego żelaza, a wtedy, przy zbliżeniu magnesu do tej sztaby, zauważamy chwilowe odchylenie się igły w galwanometrze; podobne zjawisko nastąpi podczas oddalania magnesu. To właśnie pojawianie się prądu elektrycznego na zwojach zewnętrznego walca otrzymało nazwę indukcji galwanicznej. Po tem, co odnośnie do zjawisk indukcji uczynili Ampère i Faraday, wypadało pochwycić zależność między prądem zwykłym i indukcyjnym; dokonał tego Lentz, wypowiadając prawo następujące: „Jeżeli obwód metalowy zamknięty zbliża się do strumienia galwanicznego, wówczas w obwodzie powstaje strumień, usiłujący obwody oddalić od siebie; gdy zaś obwód oddala się od strumienia w takim razie strumień wzbudzony usiłuje obwody przybliżyć.“

Z tego zasadniczego prawa wynikają inne a mianowicie: natężenie strumieni wzbudzonych jest proporcjonalne 1) do natężenia strumienia wzbudzającego 2) do jego obwódek, 3) do obwodu, na którym go wzbudzamy. Wykazanie doniosłości i praktycznego użytku prądów wzbudzonych przypadło Runkorfowi, który w 1851 zbudował przyrząd, za pomocą którego przy kilku elementach stosu, można wywołać strumienie wzbudzone o wielkiem natężeniu. Prelegent opisał cewkę Runkorfa i okazał jak potężne jest jej działanie, wykonał przytem piękne doświadczenie z rurkami Geislera, które zawsze do czarujących zaliczonóm być może.

W drugiej części wykładu p. Dziewulski objaśnił zasadę budowy elektromotorów, poprzedziwszy te objaśnienia innemi a mianowicie o liniach sił, a jakkolwiek dokonał tego zadania zwięźle i umiejętnie, nie podobna go streszczać, bo był to szereg konsenkwentnych wniosków, ściśle z sobą zespolonych tak, że nic opuścić z nich nie można, całości zaś podawać niepodobna. Prelegent wspominał pobieżnie o pierwszych maszynach magneto-elektrycznych Pixi i Clarke'a, obszerniej o przyrządzie Abakanowicza, i zatrzymał się nad szczegółowym opisem cewy indukcyjnej Siemens'a i drobiazgowo objaśnił na szematycznej cewie powstawanie prądów przerywanych, opisał też pomysłową cewę indukcyjną Pacinotti'ego, w której na pierścieniu z miękkiego żelaza są nawinięte zwoje izolowanego drutu; na nich, to wzbudzają się prądy elektryczne, przy obracaniu się pierścienia w polu magnetycznym. Wynalezienie udoskonalonych dynamo-maszyn Gramme'a i Siemens'a stanowi epokę w kwestyi przenoszenia pracy za pomocą prądów elektrycznych a chociaż to przenoszenie pracy na odległość może mieć, jak dotąd, praktyczne znaczenie tylko tam, gdzie praca ta jest nagromadzoną darmo np. przy wodospadach lub górskich rzekach, to jednak rezultaty, jakie osiągnięto, można już dziś nazwać zadawalniającemi. Tu prelegent opisał rezultaty doświadczeń

Despretz'a, eksperymentowane przez tegoż na wystawie Monachijskiej w 1882 oraz rezultaty prób tegoż uczzonego, osiągnięte w roku zeszłym w Paryżu a wykonane wielkim nakładem Rotszylda. W zakończeniu prelegent zaznaczył, że umysł ludzki, idąc drogą postępu na polu badań nad elektrycznością, zakreślił koło, i wrócił do punktu wyjścia, wzbogacony w prawdzie cennymi nabytkami, lecz przekonany zarazem, że nie zawsze właściwą obierał drogę. Czy owo koło, zakreślone w badaniu zjawisk elektrycznych, są słowa prelegenta, jest takiem, jakie zataczają żorawie przed wybraniem kierunku odległej drogi, nie można tego w tej chwili przesądzać. Przyszłość da na to odpowiedź, jeśli zjawi się geniusz, który naukę na nowe popchnie tory. Starannie opracowany wykład w ogólnym zarysie i w składowych częściach, wypowiedziany był z zapamiętaniem; ktoś nazwie go zbyt długim i za bogatym w treść, za subtelnym w niektórych wywodach, lecz niepodobna tu oznaczać skali, a za taki jakim był, należy prelegentowi wyrazić równie gorące słowa pochwały, jak były gorącemi chęci, któremi służył publiczności.

Elektryczność zwierzęca. Ostatni z pierwszej seryi wykładów o elektryczności wypowiedział 9 marca dr. H. Dobrzycki. Wiadomo, że Galvani, profesor anatomii w Padwie, w 1790 r. spostrzegł gwałtowne kurczenie się kończyn żaby świeżo zabitej i obdartej ze skóry, w chwili, gdy dotknijemy się drutem metalowym do jej mięśni udowych a drutem z innego metalu do nerwów, przycze'm wolne końce drutów zetknijemy z sobą. Drganie takie wywołać można i u zwierząt ciepło-krwistych z tą różnicą, że gdy u żaby zjawiają się jeszcze w pół godziny po śmierci, to trupy zwierząt wyższej organizacji tracą tę wrażliwość już w kilkanaście minut. Galvani przypisywał te drgania i kurcze osobnemu płynowi, znajdującemu się w nerwach zwierząt. Skoro zaś nerw połączymy z odpowiednim mięśniem za pomocą metalowego przewodnika, płyn przebiega z nerwu do mięśnia i wywołuje skurcz tego ostatniego, a następnie z mięśnia wraca do nerwu. Przypuszczalny płyn, ze względu na podobieństwo w działaniu na mięśnie do elektryczności, nazwano płynem galwanicznym, albo elektrycznością galwaniczną.

Współczesny Galwaniemu profesor fizyki w Padwie, Aleksander Volta ¹⁾, zauważył, że przy dotykaniu części zwierzęcych drutami z jednego metalu skurcze występują rzadko i są słabe, gdy zaś użyjemy dwóch różnych metalów, skurcze objawiają się zawsze i są silne. Okoliczność ta skłoniła Voltę do upatrywania przyczyny objawów w zetknięciu metalów i postawienia tak zwaną teorię zetknięcia. Długa i poważną była szermierka obu badaczy, każdy trwał przy swoim poglądzie i starał się go usprawiedliwić i nie dziwnego, bo jeden pa-

¹⁾ Sprawdzając doświadczenia swego kolegi.

trzył na objawy okiem fizyologa a drugi—fyzyka, nie domyślali się zaś, że obaj stali przy źródle prawdy.

Dziś po rozległych studyach Mateuci'ego, Nobili'ego, Du Bois-Reymonda, nie ulega wątpliwości, że prądy elektryczne przebiegają po całym układzie nerwowym i mięśniowym wszystkich istot żyjących. Zebraui na wykładzie widzieli wpływ prądu ciągłego (galwanicznego) przerywanego (farodycznego) na świeżo zabitego królika. Prąd ciągły wywoływał drgania,—przerywany zaś natychmiastowe stężenie wszystkich mięśni (tężec).

Niektóre ryby posiadają specjalne przyrządy do wytwarzania elektryczności o znaczném napięciu, a takimi są: drętwa (torpedo), dręt wik (gymnotus), sum (silurus). Prelegent objaśnił na rysunku dużych wymiarów przyrząd elektryczny u ryby Raja Torpedo, która jest w stanie zadać cios śmiertelny nawet większemu od siebie przeciwnikowi. Badania Walsh'a, Matteuci'ego i innych wykazały, że wytwarzana przez drętwę elektryczność ma wszystkie cechy voltaicznej a więc jest z nią identyczną. Zważywszy, że skurcze w udach żaby można wywołać bez udziału metalów, wprost przez dotknięcie mięśnia żaby nerwem, że Du Bois-Raymond wykazał obecność strumienia podczas kurczenia się rąk zanurzonych w roztwór soli, że Bunsen ułożył z mięśni żaby dość silnie działający stos, że wreszcie istnieją ryby elektryczne, przyjąć należy, że ciało zwierzęce jest samo źródłem elektryczności, która zapewne ważny przyjmuje udział w sprawach życiowych. Jakkolwiek elektryczność ta w swém działaniu od voltaicznej się nie różni, ze względu wszakże na pochodzenie nazwano ją elektrycznością zwierzęcą. Zjawisko kurczenia się mięśni pod wpływem prądu, można wywołać i na żyjącem zwierzęciu a to dotykając się jednym elektrodem mięśnia a drugim miejsca, którego w pobliżu znajduje się nerw należący do tegoż mięśnia. Wpływ prądu na nerwy ruchu jest najwidoczniejszy, objawia on się wszakże i na nerwach czucia. I tak: podczas przepuszczania prądu przez skronie doznajemy wrażenia światła, przez uszy dźwięku, stawiając jeden elektrod na karku, drugi na języku, doznajemy uczucia metalicznego smaku, drażniąc prądem nerw węchowy, uczuwamy ostry, jakby amoniakalny zapach. Elektryczność więc działa jako czynnik, który wprowadza nasze nerwy w stan czynny, a nawet zmusza do tego stanu w razie ich upośledzenia, porażenia. Wynika ztąd możność przywrócenia nerwowi lub mięśniowi jego funkcji za pomocą odpowiednio zastosowanego prądu elektrycznego a więc możność leczenia. Aby dać wyobrażenie w jaki sposób elektryczność stosowaną być może przy leczeniu, prelegent zaznajomił słuchaczy z układem nerwowym, objaśniając słowa na odpowiednio przygotowanych rycinach. Mówił najprzód o mózgu, rdzeniu przedłużonym i nerwach obwodowych czyli o układzie mózgo-rdzeniowym, a następnie o układzie współczulnym, czyli sympatycznym, którego działanie przewodniczy czynnościom niepodległym naszej wo-

li, jak: odżywianie, wydzielanie, roślenie. Oba te układy łączą się z sobą za pomocą licznych włókien, muszą więc wzajemnie oddziaływać na siebie. Prelegent przeszedł następnie do opisu najważniejszych zbroceń, jakie wydzarżają się w sferze nerwowej, to jest mówił o najważniejszych chorobach nerwowych. Potrącił o zbroczenia w sferze ruchu, czucia, zmysłów, umysłu a wreszcie w sferze czynności odżywiania. Mówił przeto o nadruchoomości i bezwładzie czyli paralizu, o nadczułości i bezczułości, wspominał o chorobie Basedowa, objawiającej się przyspieszonym biciem serca, narostem gruczołu tarczowego na szyi i wysadzeniem gałek ocznych na zewnątrz. Wspominał wreszcie o zaniku rdzenia i o ogólnym osłabieniu nerwów (neurasthemia), zbyt często niestety objawiającym się w naszych czasach. Z kolei szanowny doktor mówił o leczeniu chorób nerwowych, które dopiero od zastosowania do nich elektryczności naprawdę leczyć zaczęto. Leczenie to obejmuje oddzielną gałąź wiedzy lekarskiej, zwaną elektroterapią. Zastosowanie elektryczności w chirurgii jest nieocenione w następstwach; galwanokaustyka wyrugowała stosowanie rozpalonego żelaza, a w wielu razach użycie skalpela. Zastosowanie światła elektrycznego umożliwiło dokładne badanie jam ciała, jak krtani, ucha, nosa a nawet żołądka. Doktor Dobrzycki opisał i objaśnił na rysunku przyrząd Mikulicza, zwany gastroskopem, służący do oświetlania wnętrza żołądka a po części i sąsiednich organów. Nadmieniał też o przyrządzie, służącym do odszukiwania kul w ranach postrzałowych, zwanym sondą elektryczną. Przed niedawnym czasem spożytkowano też wynalazek telefonu i mikrofonu do celów lekarskich. Mamy tedy przyrządy: audiometr, służący do oceniania ostrości słuchu; sphymfon, za pomocą którego można licznemu audytorium dać słyszeć tony czyjegoś serca, lub szmer w naczyńiach krwionośnych. W zakończeniu wielce pouczającego wykładu dr. Dobrzycki zaznaczył, że chociaż zdobycze na polu elektrotechniki zdumiewają swą śmiałością, to sztuka zastosowania elektryczności do leczenia zbroceń chorobowych, choć nie pokażne jeszcze, to jednak ważne już zajmuje stanowisko. Prawda, że fizyka przerosła tu fizyologię i to niepospolicie, lecz wynikło to raz z natury przedmiotu, a powtórę z matematycznych podstaw, na których pierwsza się opiera. „Gdy fizyolog bada krążenie krwi lub zmiany w odżywianiu organizmu, śmiało się oprzeć może na fizyce i chemii, lecz gdy mu przyjdzie tłumaczyć zjawiska w dziedzinie nerwów, gdy pragnie zbadać, jakim sposobem wrażenia ze świata zewnętrznego, za pośrednictwem zmysłów do nas dochodzące, w sferze naszej świadomości na pojęcia się przetwarzają, fizyolog gorzkiego doznaje zawodu, czuje, że stanął u granicznego słupa, jaki się wznosi między materją a myślą.“ Czy kiedy uda mu się tę granicę przekroczyć, to zagadka dla przyszłych badaczów, za to, co dotychczas uczynili, należy im się wielka wdzięczność, zważywszy, że już 40 lat temu, a więc o wiele wcześniej niż się zjawili zdobycze elektrotechniki wyszło dzieło o zastosowaniu elektryczności do leczenia, oparte na licznych badaniach; tytuł jego:

„De l'électrisation localisée a autor Duchenne de Boulogne. Dążąc po drodze wskazanej przez tego autora, lekarze ocalili tysiące ludzi od cierpienia, a chociaż inie jego znanem jest niewielkiej liczbie ludzi, tém niemniej godnem jest stanąć obok najgłośniejszych. Wykład d-ra Dobrzyckiego należy policzyć do najzupełniej udatnych, wygłoszony swobodnie, dostępne, zawierał nader bogaty materyał do rozważania, zwłaszcza wśród nas, posiadających szczupłe wiadomości z anatomii, fizyologii, a tém bardziej z elektroterapii. Poświęciliśmy wykładowi doktora nieco więcj miejsca ze względu na to, że przedmiot przezeń poruszony mógł i powinien być zainteresować wszystkich. Za łaskawie udzielone nam notatki składamy szanownemu doktorowi podziękowanie, a zarazem wynurzamy prośbę, aby przy mogącej się wydarzyć okoliczności, zechciał znów zająć publiczną katedrę, bo umiejętnie sieje z niej ziarna wiedzy na niwę słuchaczów.

Ośm przeto wykładów, według z góry ułożonego programu, odbyło się ściśle w oznaczonych dniach i godzinach; małe uwagi, jakie nastręczyli nam prelegenci, podaliśmy w odpowiednich miejscach, tu zaś zaznaczamy, że niektórzy z nich zbyt wiele naraz wyłożyły pragnęli, przez co wykład trwał po półtoręj i więcj godzin. Nie możemy pochwalić tego zapału, choćby ze względu na to, że są wśród publiczności tacy, którzy ściśle muszą rachować się z czasem. Co do prasy, ta skwapliwie wysyłała sprawozdawców i to po więkšej części specyjalistów, tak, że sprawozdania w pismach codziennych, a zwłaszcza w tygodniowych były bardzo dobre. Nie obyło się wprawdzie bez ważnych błędów w pismach codziennych, zwłaszcza z trzech pierwszych wykładów, natomiast nie możemy pojąć, dlaczego sprawozdawcy, bez względu na talent w wykładzie, oceniali wszystkie w superlatywach. Za dokonanie obywatelskiego czynu należy się im wszystkim jednakie uznanie, to prawda; lecz nazwać kogoś wymownym wtedy, gdy myśli ołowiem mu płyną, zakrawa na żart, na który prelegent nie zasłużył. Talent wykładu publicznego nie idzie w parze z umiejętnością wykładającego, dar słowa—to zdolność przyrodzona, a rzadko nabyta; brak talentu wykładu i daru wymowy nie przynoszą ujmy uczoneму. Publiczność zbierała się bardzo licznie na ten pierwszy szereg wykładów, była to publiczność wyborowa, a widniały wśród niej zarówno postacie znanych u nas zaszczytnie mężów, jak chętnych wiedzy dam, zarówno starców jak młodzieży. Spokojnie pozwałała ona padażywać może swęj cierpliwości i czasu, z godnością opuszczała salę po wykładzie, darząc nieraz prelegentów grzmotem oklasków, które jak dotąd są jedynym dla niej sposobem wyrażenia podzięki i zadowolenia.

B. P.

Instytucya Towarzystwa zachęty sztuk pięknych rozwija się bardzo pomyślnie pod zabiegliwym kierownictwem swego vice-prezesa p. Lucyana Wrotnowskiego, wspieranego skutecznie przez wszystkich

członków komitetu. Ze sprawozdania komitetu widzimy, że i w roku ubiegłym wzrosła liczba stałych członków Towarzystwa, powiększył się dochód z wystawy, a zatem i obrót funduszków. Towarzystwo w roku ubiegłym liczyło członków rzeczywistych i zwyczajnych, którzy wnieśli za ten rok należną składkę 4,596 osób, więcej w porównaniu z rokiem poprzednim o 292 osób. Wystawę zwiedziło 113,979 osób, więcej o 52,219 niż w 1885 roku. Dochody Towarzystwa uczyniły ogółem 42,254 rub. 11 kop., więcej 6,873 rub. 81 kop. niżeli w 1885 r. Na wystawę Towarzystwa przyjęto 378 dzieł sztuki. Z wybitniejszych utworów współczesnej sztuki umieszczone były na wystawie: Michała Munkaczego: „Chrystus przed Piłatem“ i Jana Matejki: „Wjazd Joanny d'Arc.“ Nadto urządzone były czasowe wystawy sztuki ornamentacyjnej i reprodukcyjnej, oraz doroczna wystawa konkursowa w działach malarstwa i rzeźby. Do rozlosowania między członków Towarzystwa nabył komitet z wystawy 95 dzieł sztuki za sumę 13,166 rub., więcej w porównaniu z rokiem poprzednim o 11 dzieł za 21,176 rub. Sprzedano z wystawy osobom prywatnym 58 dzieł za 6,503 rub. Wreszcie komitet zakupił do zbiorów Towarzystwa dwa dzieła za 115 rub. Tak więc w ciągu roku ubiegłego nabyto w Towarzystwie 115 dzieł sztuki za 19,784 rub. Nagród pieniężnych, przyznanych na wystawie ornamentacyjnej i reprodukcyjnej, wypłacono 493 rub. 33 kop. Na stypendyum z zapisów udzielono 767 rub. 50 kop., a podupadłym lub chorobą złożonym artystom zasiłków bezwrotnych z funduszu d-ra Katarzyńskiego 450 rub. Ogółem wypłacono artystom w Towarzystwie w ciągu roku ubiegłego 21,494 rub. 83 kop. Obrót funduszu pomocniczego czyli pożyczkowego dla artystów, umieszczających swoje prace na wystawie, wyniósł 2,301 rub. Sprawa budowy własnego domu Towarzystwa była przedmiotem ciągłych starań i zabiegów; obecnie fundusz na to wynosi 38,800 rub., więcej niż w 1885 roku o 2,000 rubli, i znajduje się w depezycie Towarzystwa kredytowego m. Warszawy.

W salonach „Hotelu europejskiego“ urządzone na dochód Towarzystwa dobroczynności za staraniem vice-prezesa J. hr. Krasińskiego wystawę zabytków starożytności i sztuki, jakie się w kraju naszym jeszcze znajdują. Wystawa ta budzi nie tylko powszechny interes dla ciekawych; ale nie pozbawiona jest i pewnej korzyści naukowej. Z tego powodu podamy niebawem szczegółowsze o niej sprawozdanie, dla tego poprzestajemy w tej chwili tylko na tej kronikarskiej wzmiance o jej powodzeniu ku uciechu ubogich i ku chwale dobroczynności warszawskiej.

Na polu naukowym są do zaznaczenia fakta następujące:

Wydział filologiczno-historyczny uniwersytetu warszawskiego, ogłosił temat na medal z filologii słowiańskiej p. t. „Szkoła ukraińska w poezji polskiej XIX w. oraz główni i drugorzędni jej przed-

stawiciele: B. Zaleski, S. Goszczyński, A. Malczeski, T. Zborowski, M. Gosławski, T. Olizarowski, A. Groza.“ Temat winien być w ten sposób rozwinięty: krytycznie rozpatrzyć powstanie tej szkoły, wykazać jej znaczenie i wpływ, zwrócić uwagę na ruch literacki w pierwszej ćwierci bieżącego stulecia, określić jej stosunek do innych kierunków literackich, poddać rozbiorowi krytycznemu utwory wzmiankowanych poetów i skreślić charakterystykę każdego z nich. Najlepsza rozprawa na temat powyższy nagrodzoną zostanie medalem złotym. Do tematu dołączono wskazówki, z jakich źródeł piszący czerpać mają.

Dnia 10 lutego r. b. odbyło się w Akademii umiejętności w Krakowie nadzwyczajne posiedzenie komisji historii sztuki, na którym przewodniczący prof. Wł. Łuszczkiewicz, wprowadzając w życie uchwałę poprzedniego posiedzenia, zwrócił uwagę obecnych na listowne zapytanie p. Juliana Kułaczkowskiego, czy wiadome są nazwiska rzeźbiarzy pomników Zygmunta I i Zygmunta Augusta w katedrze, oraz niedawno zniesionego sarkofagu Iwona Odrowąża u OO Dominikanów w Krakowie, tudzież ktoby mógł być rzeźbiarzem, używającym wykutego na pomnikach Sieniawskich w Brzeżanach monogramu, który przedstawia dwie litery *H*, a między nimi cyrkiel, kąt, linię i przy drugim *H* u góry małe *o*, u dołu zaś małe *a*. Poczem natychmiast przystąpiono do właściwego przedmiotu zebrania t. j. do rozbioru prac przygotowawczych do zamierzonej restauracji katedry na Wawelu. Prof. Odrzywolski, mając sobie przez komitet restauracyjny, pod przewodnictwem Najprzew. ks. biskupa krakowskiego stojący, powierzono zadanie przygotowania podstawy do przyszłych projektów odnowy Katedry na Wawelu, i w tym celu od kilku miesięcy zajęty robieniem szczegółowych zdjęć, pomiarów i badań technicznych i artystycznych, przedstawił zgromadzonym rezultaty, do jakich dotychczas doszedł, w dłuższym odczycie. Główne tych wyników punkta są: 1) Że najdawniejsza część budowy, to jest krypta św. Leonarda (groby królewskie), okazuje dwie różne epoki budowania, mianowicie w części, ciągnącej się w stronę kaplicy św. Stanisława, może pochodzić z wieku XI, podczas gdy dwie ostatnie kolumny od zachodu i absydę pod dzisiejszym wejściem głównym do katedry, już z powodu samej odmienniej techniki kamieniarskiej, należy odnieść do nieco późniejszego czasu. Absyda, której grubość muru odnaleziono w okienku pod schodami, musiała niegdyś stać wolno odkryta. Plan krypty zaś, w epoce gotyckiej i barokowej przybudowaniami zepsuty, już w założeniu swem okazuje się bardzo nieregularnym i pokrzywionym. 2) Oprócz tego podziemia, odnaleziono ślady najstarszych części budowli w nawie bocznej południowej i przyległych kaplicach Szafranców, pod wieżą srebrnych dzwonów i Wazów. Wątek muru należy do najdawniejszej techniki. Z pod tynku wyszły na jaw reszty drzwi kamiennych stylu romańskiego. 3) Jako najstarsza część gotyckiej budowy przedstawia się presbyteryum w dolnych swoich warstwach muru, wraz

z obejściem pierwotnie niższém, dopiero od czasów biskupa Łubieńskiego podwyższoném i zakrystyą wikaryuszowską, zapewne kaplicą. Reszta kaplic otaczających presbyteryum zapewne późniejszy ma początek. 4) Dzisiejsza zakrystya wikaryuszowska była niegdyś krótszą i od wschodu wielobokiem zakończoną; symetrycznie z nią dzisiejsza kaplica Młodzianków dziś o kwadratowym planie i kopułą nakryta, była podłużną i podobnym od wschodu zakończoną wielobokiem. Zarówno te zakończenia jak dawniejszy poligon kaplicy Gamrata i ściany pierwotnej kaplicy Cyborium, wynikły z użytkowania do ich planu szkarp ukośnych pierwiastkowego obejścia presbyteryum. Widoczne tam jeszcze są ich reszty o wątku muru z kamienia, w nierówne prostokąty grubo ciosanego, odkryte pod tynkiem zarówno w kaplicach jak i przyległych im częściach obejścia. 5) Górne części presbyteryum są gotyki późniejszej i rozwiniętej. Wysokie okna, dziś puste otwory, dawniej komunikujące się na zewnątrz, wypełniał maswerk czyli laskowanie kamienne. Podobnie zniszczony maswerk ślepych framug dał się nawet z pozostałych śladów rekonstruować. Pod dzisiejszym dachem pozostał widzialny na strychu dawny szczyt facyaty wschodniej, niemniej fryz i gzyms gotycki kamienny, bardzo pięknie ornamentowany i ślady galeryi kamiennój, koronującej prezbyteryum. Pomiędzy tą galeryą a cofniętym po za nią niegdyś dachem obiegała zachowana jeszcze, wykuta w kamieniu rytna. 6) Skarbiec musiał pierwotnie być dwupiętrowy i niesklepiony, cienkie też jego mury ciosowe dla zniesienia ciężaru sklepienia potem zgrubione cegłą zostały od zewnątrz. 7) Zagadkę przedstawia plau wieży zegarowój, obok której odkryto reszty matěj dawněj kapliczki Młodzianków, fundacyi Hinczy z Rogowa, później zastąpionėj pomnikiem Potkańskiego. Odczyt swój objaśnił p. Odrzywolski licznemi rysunkami i tablicami, z których największe zajęcie obecnych obudziło nigdy dotychczas nie próbowane zestawienie planu podziemi z planem kościoła, prowadzące do bardzo ciekawych wniosków. W nader ożywionėj nad przedstawionym materiałem dyskusyi, wzięli udział szczególnie pp. Łuszczkiewicz, ks. Polkowski, Sadowski, ks. Skrochowski, a pan Marian Sokółkowski przypominał w streszczeniu hipotezę swoje, historycznemi badaniami prof. Wojciechowskiego popartą i z okazji studyów nad kościołami romańskimi w ostatnim zeszycie Sprawozdań kom. hist. sztuki ogłoszoną, że krypta wawelska jest śladem pierwotnego ustroju kapituły, złożonėj w połowie z księży świeckich, a w połowie z Benedyktynów, i że zakonnicy ci zapewne z macierzy swěj belgijskiej (Leodyum) przynieśli cześć tamtejszego patrona św. Leonarda do Polski i do katedry krakowskiej, będącej pod głównem wezwaniem, jak się zdaje, św. Salvatora. Pierwsza katedra miała zapewne dwa chóry; już po rozpoczęciu budowy nowszej zmienił się styl i zmieniły potrzeby. W miejscu zamierzonego zachodniego chóru dano główne wejście, i tylko do krypty już zbudowanėj przywiązano tytuł świętego, który miał być zostać patronem połowy kościoła.

Dnia 24 lutego r. b. odbyło się posiedzenie komisji archeologicznej Akademii umiejętności, które zagaik przewodniczący p. Łepkowski, wspomnieniem o ś. p. Żebrawskim, Kirkorze i Zawiszy. Ks I. Polkowski czytał obszerną rzecz o spadku po ks. prymasie Gamracie i o losach tej pozostałości; studyum to przedstawiało bogaty materiał do historii złotnictwa, a niemniej przydało wiele szczegółów do wiadomości o pomniku Gamrata w katedrze krakowskiej, rzeźbionym przez Jana Maryę Padovano. Następnie wysłuchano relacji z wykopaliska w Bogoryi i w Bąkowie dolnem, w Łowieckiem, dokonanego przez p. Dowgirdę, wreszcie zajmowano się sprawą dalszego wydawnictwa „Zabytków,” redagowanych przez p. G. Ossowskiego, których obecnie jest w druku zeszyt 4. Rozprawy ks. Polkowskiego i p. Dowgirdy polecono zarządowi Akademii do wydania.

Dnia 25 lutego odbyło się w Krakowie posiedzenie naukowe komisji fizyograficznej Akad. umiejęt. pod przewodnictwem prof. dr. Rostafińskiego. P. M. Raciborski przedstawił okazy rośliny wschodniogaliczyjskiej, opisaną w r. 1874 przez dr. Rehmana p. n. „*Thalictrum uncinatum*“ a uznaną później przez p. Błockiego za gatunek wschodniosybirski *Th. petaloideum* L. Na przedstawionych do porównania okazach tej ostatniej rośliny wykazał p. Raciborski różnice, zachodzące pomiędzy wymienionemi gatunkami tak znaczne, że zapatrywanie p. Błockiego za mylnie uznać trzeba. W dyskusyi, która się przy tej sposobności rozwinęła, zabierali głos: prof. dr. Rostafiński, p. K. Jelski, p. Raciborski, prof. dr. Wierzejski i p. Walter. Dr. Jaworowski podał wiadomość o nienormalnie długim rozwoju kijanki żabięj (*Rana esculenta*), znalezionej w sierpniu 1885 i trzymanej w domu do czerwca 1886 r. Opóźnienie rozwoju, przed którego ukończeniem kijanka zginęła, przypisał dr. Jaworowski niedostatkowi żywności i przedstawił sprzeczność, zachodzącą pomiędzy dotychczasowemi zapatrywaniami a tem jego spostrzeżeniem, które dowodzi, że rozwój nie tylko od żywienia zależy, i przypuszczająco pozwala, że nowo powstające narzędzia rozwijać się mogą kosztem innych równocześnie marniejących. Zabierali głos w tym przedmiocie prócz prelegenta, prof. dr. Wierzejski, prof. Kulczyński, p. Bieniasz, prof. dr. Rostafiński, p. Raciborski. W dyskusyi wykazywano przedewszystkiem, że brak żywności, przypuszczany przez dr. Jaworowskiego, nie jest dostatecznie udowodniony. Prof. dr. Wierzejski mówił o znaczeniu podwójnych statoblastów u mszywiolów (*Bryozoa*); dyskusya nad tym przemiotem odłożono do następnego posiedzenia.—Na posiedzeniu administracyjnem 22 lutego wydział Akademii zatwierdził przez komisya historyi sztuki zaproponowanych panów: ks. Skrochowskiego, Juliana Kołaczkowskiego, inżyniera we Lwowie, hr. Konstantego Przeździeckiego, Leonarda Lepszego, Henryka Bukowskiego w Stokholmie, Jana Bołozza Antoniewicza w Monachium i Juliana Trawińskiego, urzędnika w ministerstwie sztuk pięknych w Paryżu, na członków komisji historyi sztuk pięknych w Polsce.

Dnia 3 marca odbyło się posiedzenie komisji historii sztuki, na którym przewodniczący p. Łuszczkiewicz odczytał list p. Juliana Kołaczkowskiego ze Lwowa z wiadomością, że przedstawienie na kamieniu litograficznym, nabytym niedawno w Wrocławiu dla Muzeum narodowego, jest niczem innym, jak reprodukcją bardzo rzadkiej, a wspomnianej u Rastawieckiego ryciny Tomasza Makowskiego z obrazu Dolabelli: „Stanisław Żółkiewski, hetman, przedstawia jeńców Stanoin na sejmie r. 1611.“ Makowski ten, według Bandtkiego, miał drukarnią w Nieświeżu w początku XVII w. Następnie sekretarz, Stanisław Tomkowicz, streszczał komunikaty, złożone przez hr. Konstantego Przezdzieckiego, między którymi jeden zawierał spis rysunków i rękopisów, pozostałych jeszcze po ś. p. Podczaszyńskim, nadesłany przez rodzinę, wraz z opinią p. W. Gersona, podnoszącą ważność i doniosłość zbioru pieczęci (częścią tłoków oryginalnych, częścią w odciskach), który liczy 8,000 sztuk uporządkowanych i cenionym jest na 3,000 rs. Przewodniczący ubolewając nad tem, że stan funduszu Akademii nie pozwala myśleć o nabyciu tych zbiorów, stwierdza, że wśród rękopisów brak najważniejszego, bo rozprawy Podczaszyńskiego o kapitularnu Jędrzejowskiego, dziś już zburzonego klasztoru, z którego uratowana jedna romańska kolumna, ma niebawem dostać się do zbiorów krakowskich. Wielkie zajęcie obudziły udzielone dalej wypisy z nowszych publikacji archiwalnych belgijskich, mianowicie listu królewicza polskiego Władysława z roku 1626 do gubernatorki Flandryi, arcyksiężny Klary Eugenii, a dotyczący Heuryka van Peene, architekta flamandzkiego, sprowadzonego do Polski przez Jerzego ks. Zbarazkiego, oraz listu Zygmunta III, do arcyksięcia Albrechta, wielkorządcy Niderlandów, w sprawie Wilhelma Marten, architekta z Elbląga, wysłanego w r. 1619 przez króla do Niderlandów po marmury na budowę zamku, zdaje się, warszawskiego. Późem pan L. Lepszy odczytał rozprawkę swą o niepublikowanym dotąd pacyfikału roboty gotyckiej, częściowo emaliowanej, z herbami Oleśnickiego, znajdującym się w Sandomierzu. Uwagi te, zestawione na podstawie notat p. Łuszczkiewicza i niedokładnego rysunku, świeżo nadesłanego, wywołały dyskusję, w której p. Sokołowski przypomniał bardzo pokrewny pacyfikał Piusa II, znajdujący się w berlińskim „Gewerbe-Museum.“ Na propozycję obecnych p. Lepszy zobowiązał się zredagować w postaci formularza wskazówkę do badania wyrobów złotniczych, któraby przy inwentaryzacji posłużyć mogła. Dalej p. Łuszczkiewicz czytał pracę swoją o zabytkach budownictwa w Jarostawiu a szczególnie o kamienicach prywatnych, które lepić, niż domy miast innych zachowały swoje pierwotną cechę epoki XVI i XVII wieku. Bogate ich facyaty, mimo pewnego barbarzyństwa, znamionującego fantazją robotników, nie mających pojęcia o warunkach kompozycji architektonicznej, o porządkach i stylu, nie są pozbawione malowniczości, a układ wewnętrzny, urządzenie dziedzińców i ganków, oraz zewnętrzna attyka, rzucają światło na zasadę budowlaną domów

krakowskich z tejże epoki, już tylko w utamkach dziś śledzić się dająca. Odczyt ten objaśnił prelegent szkicami na miejscu robionemi. Po wybraniu komitetu, złożonego z pp. Sokołowskiego, ks. Skrochowskiego i St. Tomkowicza, w celu przygotowania szczegółowego projektu spisania wedle wniosku p. Sokołowskiego inwentarza zabytków artystycznych Krakowa, obecni obejrzeni świeżo nadeszłe do zbiorów Akademii wydawnictwa, mianowicie nadesłaną przez Instytut Stauropigii we Lwowie wspaniałą księgę pamiątkową ruską na 200-ną rocznicę założenia bractwa Stauropigii, zawierającą piękne, nadzwyczaj szczegółowe zdjęcia architektoniczne cerkwi wołoskiej, wykonane przez p. Stanisława Zubrzyckiego,—niemniej nadesłane przez węgierską Akademię umiejętności w Budapeszcie publikacje archeologiczne tejże akademii, pod redakcją znanego w świecie naukowym p. Hampla.

Nowością na naszej ubogiej scenie teatralnej była opera „Noe“ pośmiertny utwór Halewego, dopełniony i przeinstrumentowany przez jego zięcia Bizeta; zdaje nam się jednak, że pomimo atrakcyi, jaką ma zwykle każda nowość, pomimo wielkich kosztów, jakie dyrekcya poniosła na świetną wystawę, opera ta nie będzie się cieszyć długiem powodzeniem, a to ze względu, iż muzyka miejscami tylko budzi wyższy interes znawców (septet w akcie I-ym, bruidisi Eturiela, muzyka baletowa),—libretto zaś, najmniejszego interesu obudzić niezdolne, razi niekonsekwencyą i naciągnięciem. Chwalebnie jest co prawda cenić najdrobniejszą spuściznę po znamienitych twórcach, lubować się każdym okruczem, na który padła iskierka ich talentu, ale miwoli, w obec strat materyalnych, jakie pociągają za sobą tego rodzaju piękne porwy, zastanawiamy się, czy nie należałoby pomyśleć dłużej nad wyborem scenicznych nowości, które miałyby zapewnioną długotrwałą istność, a których przecie znalazłoby się niemało; bodajby np. zamiast „Noego“ doczekał się u nas premiery „Konrad Wallenrod“,—odrobinę więcej zbliżony do nas epoką. *Pia desideria!*

Za to, czego nie daje opera, skąpiąc artystycznych uniesień, tego dostarczają symfoniczne koncerty dyrekcji, zawsze przez grono prawdziwych miłośników muzyki uczęszczane i oklaskiwane. Na jednym z nich, Zarzycki wykonał piękny koncert Ant. Rubinsteina z orkiestrą, a solo: Nocturne Chopina, Etudę i Valse oubliée Liszta, oraz własnej kompozycyi serenadę i wdzięcznego mazurka; na drugim dał się słyszeć Sarassate. Z dzieł orkiestralnych wykonano: wspaniałą „Toccatę“ Bacha, która w instrumentacji (Essera) zatraciła wprawdzie swój typ właściwy, lecz zawsze interesuje, świadcząc jak to umieli pisać starzy mistrze,—oraz „Le Rouet d'Omphale“ Saint-Saens'a, prawdziwie misterne przedziwo pod względem lekkości i barwy instrumentacyjnej, i ten to przymiot głównie, a więc forma zewnętrzna wykwiintna i pełna dowcipu, stanowi wartość kompozycyi i powab. Towarzystwo muzyczne, umiając zawsze łączyć utile z dulci, daje koncerty świetne pod względem rezultatów kasowych, co zaś do strony muzycznej, musi ono

przedewszystkiem dbać o zapewnienie miłej i nienudzącej rozrywki publice, przeto dzieł poważnych, szerokiego pokroju, produkuje stosunkowo nie wiele, a przecież nie chwilowa rozrywka, lecz właśnie obznajmianie z tego rodzaju dziełami winno być pierwszym celem Towarzystwa muz.

Karol Dawydow, znakomity wiolonczellista (były dyrektor Konserwatorium Petersburskiego), kilkakrotnie temi czasy dostarczył nam rozkosznych, artystycznych wrażeń. Występ jego w teatrze wielkim, ze współdziałaniem orkiestry teatralnej, i panny Szlezygier, składał się z utworów Chopina i Schuberta, oraz z dwóch własnych kompozycji: solowej „Am Springbrunnen“ i koncertu D dur na wiolonczellę z orkiestrą. Jako wirtuoz, zdaje się, że Dawydow wydobył z wiolonczelli wszelkie możliwe efekta; mamy nawet odwagę wyrzec, iż technika wysoko rozwinięta, lubująca się w pokonywaniu trudności, szkodzi wiolonczelli, jako instrumentowi podatniejszemu do szerokiej kantileny, niżeli do palcowej gimnastyki i szybkiego tempa; oddając zatem hołd biegłości wirtuoza, lubowaliśmy się nadewszystko w cudnym, potężnym brzmieniu jego tonu i w głębokim śpiewie.

Muzyka pokojowa, urządzana staraniem dyrektora Zarzyckiego, ma już sobie trwale zapewnione grono słuchaczy, albowiem doborem dzieł i wykonawców wybredny nawet gust zadawalnia. Jednym z najpiękniejszych był koncert ze współdziałaniem Sarassatego, któremu świetnie dotrzymywali towarzystwa Barcewicz, Frieman i Goebelt w kwartecie Beethovena, — Zarzycki w „Rondeau brillant“ Schuberta, oraz Zarzycki i Goebelt w Trio Schuman'a.

Pozostaje nam zanotować jeszcze ruch tutejszy wydawniczy, któremu zawdzięczamy puszczęnie w świat kilku dzieł krajowych kompozytorów, mianowicie sześć pieśni Eugeniusza Pankiewicza: „Dwa Sonety“, „Huczyna woda“, „Tyś jak kwiatek“, „O zmroku“, „Uśnij dziecie.“ Wszystkie te utwory cechuje staranne opracowanie, pomysły szlachetne. Trzy pieśni Piotra Maszyńskiego: „Romans wschodni“, „Pieśń Majumy“, „Piosnka Dudziarza“ odznaczają się również stylem wyborynym, a nadto wdziękiem oryginalnej bardzo melodyi. Do nauki początków muzyki, przybyła jako dzielny podręcznik szkoła fortepianowa, na tle dawniej szkoły Nowakowskiego, przerobiona i wzbogacona przez prof. Sztröbla i Igu. Krzyżanowskiego; obok systematyczności w doborze ćwiczeń i sztuk, zaleca to dzieło wyborne palcowanie.

Przemysłowi cukrowemu, przebywającemu obecnie okres przesilenia, podano nowy środek ratunku. Mówimy o świeżo wprowadzonych ulgach w spłacie akcyzy, przypadającej skarbowi państwa od cukru, wyrobionego w roku 1886/7, i o zwrocie premij wywozowych, udzielanych przez rząd w roku 1885 i 1886. Mianowicie dozwolono wnosić należności rzeczzone w towarze, to jest w rafinadzie i mączce krystalicznej, przy czém skarb przyjmuje pierwszą w cenie rs. 3 kop. 70, drugą zaś w cenie rs. 3 kop. 20 za pud. Fabrykanci prze-

chową cukier, przyjęty przez skarb na rachunek akcyzy, w składach własnych bezpłatnie, i również bezpłatnie obowiązani są dostawić produkt na najbliższą stacją kolejową, w razie zażądania ze strony skarbu. Nagromadzony w ten sposób zapas cukru rząd zamierza sprzedać w kraju lub za granicą, do sprzedaży jednak na rynkach wewnętrznych przystąpi nie prędzej, aż cena mączki podniesie się w Kijowie do rs. 4 za pud. Gdyby do dnia 13 października cena mączki w Kijowie nie dosięgła tej wysokości, w takim razie skarb ma prawo sprzedać cukier za granicą po cenach tamże praktykowanych. Z kwot, otrzymanych za cukier bądź w kraju, bądź po za jego granicami, rząd przedewszystkiem potrąci akcyzę za rok 1886/7 oraz tę część premij wywozowych, której spłata przypadała na ten sam okres czasu, zysk zaś pozostały po za tój, odpisze od należności, jaką winni mu są cukrownicy tytułem zwrotu premij wywozowych dawniejszych. Gdyby uskuteczniiona przez skarb sprzedaż cukru przyniosła stratę, w takim razie będzie ona rozłożoną na wszystkie cukrownie, ze spłatą w ciągu lat czterech, poczynając od roku 1887. Wreszcie przemysłowcy, którzy część akcyzy wniosą w towarze, drugą zaś część zadeklarują do wypłaty w gotówce, korzystać mają z pewnej ulgi wyjątkowej, polegającej na zwłoce spłaty tej ostatniej części akcyzy.

W ten sposób skarb z jednej strony, przez wycofanie chwilowe z obrotu nadmiaru cukru, ma nadzieję wpłynąć na podniesienie ceny jego targowej, z drugiej zaś, w razie gdyby cena rzeczona przekroczyła pewną normę, skarb, rzuciwszy na rynki część lub całość posiadanego przez siebie zapasu, miałby możność zmodyfikowania jej według swego życzenia.

Wątpliwem jest jednak, aby środek ten znalazł szersze zastosowanie w praktyce. Przedewszystkiem fabrykant mniejszy, uboższy, dawno już pozbył się produktu, wyrobionego w roku 1886/7; przemysłowiec zaś zasobny w kapitał, będzie wolął zapłacić akcyzę gotówką i doczekać chwili podniesienia się cen cukru w skutek operacji mającej się dokonać przez skarb, ażeby wówczas sprzedać posiadany jeszcze zapas z kampanii roku 1886/7 na własny rachunek. Wreszcie chociażby przewidywania nasze się nie ziściły, to w każdym razie środek, zastosowany obecnie przez skarb, daje jedynie pomoc doraźną i z natury swój nie może mieć wpływu bezpośredniego na rzeczywiste i trwałe polepszenie stosunków. Narady, jakie w tym przedmiocie odbywały się w Kijowie i przed niedawnym czasem w Warszawie, w ten właśnie sposób zapatrywały się na położenie obecne. W skutek tego powstał projekt umowy dobrowolnej pomiędzy przemysłowcami cukrowymi, mocą której każda z fabryk byłaby obowiązana wywozić każdorocznie za granicę czwartą część swęj produkcji dopóty, dopóki cena cukru w Kijowie nie dojdzie do rs. 4 kop. 50 za pud. Cukrownicy nasi przystąpili już do konwencji rzeczonęj, która ostatecznie ma być określoną i zawartą przez komisją specjalną, zebrać się mającą w Kijowie. Kontrolę nad wywozem sprawować ma syndykat, utworzony z łona cukrowników.

Niezależnie od tego cukrownicy tutejsi podjęli staranie około zapewnienia sobie kredytu w banku państwa na zasadach, odpowiadających potrzebom przemysłu cukrowego. Przy istniejących w tutejszych kantorach banku przepisach co do skupu weksli, oraz w obec nader niskiej normy dla pożyczek, udzielanych przez też kantory pod zastaw cukru gotowego, kredyt rzeczony jest obecnie dla cukrowników niedostępny. Proszą zatem o otwarcie im kredytu z zabezpieczeniem hipotecznym, oraz o podwyższenie normy pożyczek pod zastaw cukru do dwóch trzecich przynajmniej jego wartości. W obec niezbyt świetnych rezultatów, jakie osiągnęły tutejsze kantory banku państwa w pierwszym roku swjej działalności, przypuszczać należy, że w sferach odnośnych projekty cukrowników, zdążające do rozszerzenia operacyj bankowych, powinnyby znaleźć poparcie.

Przesilenie w przemyśle naszym cukrowym zwróciło na siebie uwagę uczonych ekonomistów zagranicznych. W jednym z ostatnich zeszytów czasopisma paryzkiego „Journal des économistes,” znany i zasłużony na polu ekonomicznym p. G. de Molinari, zwolennik swobody handlu i niczém nie krępowanej konkurencji w przemyśle, poświęcił kryzysowi cukrowemu w państwie rosyjskiem, artykuł obszerny i wyczerpujący.

W ubiegłym miesiącu marcu odbyło się zgromadzenie ogólne członków Oddziału Warszawskiego Towarzystwa popierania przemysłu i handlu. Z powodu ważności i obszerności kwestyj poddanych pod rozpatrzenie zgromadzenia, posiedzenie przeciągnęło się dni kilka. Przebieg i szczegóły rozpraw znane są już czytelnikom ze sprawozdań, podawanych przez gazety codzienne, nie będziemy ich przeto powtarzali, zaznaczymy tylko na tém miejscu poważny charakter obrad rzeczonych. Mimo iż na porządku dziennym były sprawy, które żywo poruszały zebranych i wywołać mogły dyskusyą nad miarę gorącą, mimo iż były nawet głosy, które w zapale walki zaczęły już zbaczać w stronę uwag i docinków osobistych, jednak, dzięki umiejętnemu kierowaniu obradami i taktowi prezydującego, posiedzenie odbyło się z powagą, licującą z ważnością kwestyi, a sprawy same zyskały na oświetleniu ich z różnych, nieraz wręcz sobie przeciwnych punktów widzenia.

Rozglądając się w szczegółach działalności towarzystwa w ubiegłym roku sprawozdawczym, widzimy, że większość kwestyi, jakimi zajmował się Oddział warszawski, nie przeszła jeszcze stadium opracowywania. Główna téż zasługa Towarzystwa polega — zdaniem naszym — dotychczas nie tyle na sformułowaniu żądań i przeprowadzeniu pewnych reform w zakresie właściwym, tém więcej że to ostatnie nie od Towarzystwa zawisło, ile na badaniu sumienném i roztrząsaniu wszechstronném nastęrczających się kwestyi, na dążeniu do trzeźwej oceny położenia ekonomicznego, przy obecnych bytu naszego warunkach. Dość wspomnieć niektóre z prac przez Towarzystwo podjętych, jako to: zbadanie warunków bytu i rozwoju rolnictwa krajowego, nad

czem pracuje delegacya przemysłowo-rolna, zbieranie danych, mogących wyjaśnić stan i warunki rozwoju przemysłu drobnego wśród ludu, opracowanie projektu organizacji rzemiosł celem podniesienia ich z chwilowego upadku, wreszcie postawione wnioski w sprawie handlu ze Wschodem, oraz zamierzone a rozpoczęte już zbieranie danych geograficznych, etnograficznych i handlowych, celem zorientowania się w widokach i warunkach zbytu naszych wyrobów na odległych targowiskach Rosyi europejskiej i azjatyckiej. Każda z tych prac obejmuje horyzonty szerokie, postawienie każdej z nich na gruncie właściwym i możliwie dokładne wyświetlenie stanu rzeczy, może być z jednej strony rękomią zdrowego rozwoju ekonomicznego na przyszłość, z drugiej zaś wskazówką dla wszystkich, zamierzających pracować w handlu lub przemyśle z korzyścią dla siebie a pożytkiem dla ogółu.

Powoli pod wpływem badań sumiennych, społeczeństwo nasze dojść może do świadomości położenia swego ekonomicznego i wytknięcia racjonalnego kierunku działania na tém polu. Celem szybszego zorientowania się i wyjścia z pewnego zamętu pojęć ekonomicznych w naszym społeczeństwie, pożądanem jest urzeczywistnienie projektu, przedstawionego Towarzystwu jeszcze w roku zeszłym. Mówimy o wniosku p. Władysława Kusza, dotyczącym utworzenia w łonie Towarzystwa popierania przemysłu i handlu, tak nazwanej przez wnioskodawcę „sekcji ekonomicznej.“ Sekcja ta nie zajmowałaby się żadną z gałęzi działalności ekonomicznej w szczególności, nie miałaby na widoku celów praktycznych, lecz, śledząc ciągle za postępem wiedzy, pracowałaby około podniesienia wykształcenia ekonomicznego w kraju, około rozkrzewienia wiadomości naukowych i popularyzowania zdrowych pojęć ekonomicznych. Środkiem byłyby tu „odpowiednie wydawnictwa, odczyty, konkursy, zbieranie i umiejętne grupowanie materiału statystycznego,“ a wreszcie dyskusya, która, będąc prowadzoną w gronie ludzi, zajmujących się specjalnie naukami społecznymi, mogłaby nieraz rzucić światło na tę lub ową stronę życia praktycznego, przyczynić się do ocenienia téj lub owéj kwestyi na podstawie ogólnych praw ekonomicznych, przystosowanych do specjalnych warunków istnienia i rozwoju polskiego gospodarstwa narodowego. Sekcja taka w łonie Towarzystwa popierania przemysłu i handlu byłaby wyrazem nauki ekonomicznej, która zgodnie ze słusznym zapatrywaniem się projektodawcy — grać winna względem niego rolę pochodni, oświecającej pole działania i zabezpieczającej od błędów, mogących narazić na stratę bezużyteczną sił niewłaściwie użytych. Sekcja rzeczona zastąpiłaby choć w części nieistniejące u nas stowarzyszenia uczonych specjalistów, zajmujące się teorią gospodarstwa społecznego, rozpatrujące z punktu widzenia nauki kwestye, jakie nastęrcza bieg życia praktycznego.

Wreszcie, z powodu zgromadzenia ogólnego członków Towarzystwa popierania przemysłu i handlu, ze smutkiem zanotować musimy obojętność ogółu naszego na sprawy społeczne. Zazwyczaj

w okresie opracowywania danej kwestyi, osoby i kółka bezpośrednio nawet zainteresowane, pozostają głuchemi na nawoływania i prośby o zakomunikowanie poglądów swych i opinii; dopiero w chwili ostatniej, gdy już sprawa zdaje się być wyczerpaną, powstaje opozycja, która, rzucając nowe światło na przedmiot, obraca wniwecz całą mozolną nieraz pracę poprzednią. Mamy tu na myśli sprawę Ustawy rzemieślniczej. Prace, podjęte w tym ważnym przedmiocie przez Towarzystwo, przyniosły w swoim czasie szczerą stosunkowo ilość odpowiedzi na postawione pytania. Na podstawie tych odpowiedzi delegacya właściwa oparła swe prace. Dopiero gdy projekt ustawy, ostatecznie już opracowany, po rozesłaniu go osobom i grupom interesowanym do opinii, po przedyskutowaniu i poprawieniu go w gronie ściślejszém, przyszedł pod rozpatrzenie ostateczne zgromadzenia ogólnego, wówczas znalazła się opozycja, która wystąpiła przeciwko zasadniczemu podstawom projektu i spowodowała jego upadek, w skutek czego prace odnośne muszą być rozpoczęte na nowo. Zapewne—lepsze to od wprowadzania rzeczy nie odpowiadającej warunkom bytu i potrzebom warstwy właściwej, bez wątpienia *mieux vaut tard que jamais*, lecz w ten sposób, w skutek obojętności ogółu, pewna suma pracy rzetelnej poszła na marne, a pilna sprawa organizacyi właściwej rzemioł znowu odłożoną została na czas nieograniczony i prawdopodobnie nie prędko doczeka się załatwienia.

Kwestya udziału żydów w cechach. Kwestya dopuszczenia rzemieślników-żydów do cechów rzemieślniczych, żywo w ostatnich czasach zajmowała umysł. Jakeśmy już o tém wspomnieli w Kronice z miesiąca marca (str. 472), rzemieślnicy-żydzi, korzystając z prawa patentowego, pozwalającego zajmować się rzemiosłem każdemu kto opłacił konsens, odłączyli się zupełnie od wspólności rzemieślników-chrześcian. Delegacya z łona Towarzystwa popierania przemysłu i handlu, badając przyczyny upadku rzemioł w kraju naszym, doszła do przekonania, że właśnie owi majstrowie konsensowi, przez robotę fuszerską, psują opinią przemysłu naszego na targowiskach odleglejszych, u siebie zaś w domu powodują obniżenie się poziomu wykształcenia fachowego i sumiennosci rzemieślniczej. Wskutek tego delegacya rzezona, opierając się na zdaniu większości z nadesłanych na kwestyonaryusz odpowiedzi, wprowadziła do ustawy projektowanej paragraf, mocą którego żydzi zostali obowiązani do wpisania się do cechów. Postanowienie to jednak wywołało burzę. Delegacya otrzymała od zgromadzeń rzemieślniczych liczne odezwy, żądające niedopuszczania żydów do cechów. Wskutek tego, przy ostatecznej rewizyi ustawy przed poddaniem jej pod rozpatrzenie zgromadzenia ogólnego członków Towarzystwa popierania przemysłu i handlu, delegacya, po żywej dyskusyi, wprowadziła do tekstu ustawy niektóre poprawki, mające na celu ograniczenie żydów w zarządzie cechowym i zabezpieczenie rzemieślników-chrześcian przed zalewem i zawładnięciem rzemioł

przez masę rzemieślników starozakonnych liczną, fanatyczną a solidarną. Poprawki te jednak burzy nie zażegnały, protesty, nieraz nawet brzmiałe namiętnie, powtórzyły się w krótkim przeciągu czasu na posiedzeniach delegacyi i sekcyi właściwej, a nawet i na zgromadzeniu ogólnem i spowodowały wreszcie upadek ustawy projektowanej.

W tém położeniu rzeczy stoimy dziś znowu wobec pytania, które zadać sobie musi każdy, kto okiem nieobojętnem patrzy w przyszłość: jak zorganizować siły, pracujące w przemyśle naszym rzemieślniczym? Ponieważ żydów pozbyć się nie można, ponieważ nadto nie można i nie trzeba zabraniać im zajmowania się rzemiosłem, zatem co zrobić, aby konkurencya, oparta na fuszerce, nie dyskredytowała przemysłu naszego nazewnątrz i nie prowadziła do rozkładu rzemiosł naszych wewnątrz? Jak postawić względem siebie dwa pracujące w téj samej gałęzi, a wrogo dla siebie usposobione żywioły: chrześcijański i żydowski?

Dalecy jesteśmy od wyznawania zasad modnego dziś anty-semityzmu, nie podzielamy zapatrywania, które całą winę zmateryalizowania społeczeństw europejskich składa na element żydowski, które przypisuje tę plagę zżyczeniu tych społeczeństw. Zdaniem naszym, każdy organizm, czy to indywidualny, czy społeczny, ma w sobie pierwiastki idealne i bardziej poziome. Spozrzegacz bezstronny przyznać musi, że semici, jak każdy szczep inny, mają swoje strony ujemne i dodatnie. Sądźmy, że oświeceni starozakonni nawet nie potrafili zaprzeczyć istnienia w społeczeństwie żydowskiem: tendencyi do zarobku łatwego, a nie rachującego się z elementarnymi zasadami moralności, do tak zwanego trywialnie—szachrajstwa, do arogancyi wobec słabszego a podtęj uniżoności i bałwochwalstwa względem siły, do mierzenia wreszcie wszystkiego na pieniądź i tylko na pieniądź; lecz z drugiej strony, żydzi mają zalety, których my zwłaszcza uczyćbyśmy się od nich powinni, jako to: wytrwałość w dążeniu do wytkniętego celu, umiejętność rozpoczynania od małego, wreszcie solidarność i gotowość do pomagania sobie wzajemnie. Znajdujemy dalej, że poglądy krańcowe, oparte więcej na uprzedzeniu i wstręcie plemiennym, niż na wyrozumowaniu spokojnem a bezstronnem, pogłębiają tylko przepaść, dzielącą dwie warstwy społeczne i nie przynoszą pożytku sprawie ogólnej. Patrząc jednak trzeźwo na stosunki nasze społeczne, uznać musimy, że waśń wewnętrzna trwa w najlepsze, że przeto zetknięcie się bezpośrednio ze sobą dwóch warstw nieprzyjaznych, żywiących żal i nieufność wzajemną, a nie stojących wysoko w oświacie i bynajmniej do tolerancyi nie usposobionych, jest i niepożądanem i niebezpiecznym.

Zdaniem naszym, delegacya, szukając środka zaradzenia złemu, powstrzymującemu rozwój rzemiosł naszych, pobiła w tém, że nie uwzględniła dostatecznie pojęć warstwy, dla której pracowała, że chciała przeprowadzić idee szlachetne i obywatelskie, nie bacząc na to, iż grunt bynajmniej do urzeczywistnienia ich się nie nadawał, że wreszcie traktowała cechy jako instytucją czysto ekonomiczną. Cech

w oczach rzemieślnika naszego nie stracił charakteru bractwa religijnego i sądzimy, że charakteru tego odejmować mu nie trzeba, przechowanie bowiem uczuć religijnych w ogóle łączy się z najżywotniejszymi interesami naszego społeczeństwa, zabezpiecza je od grasujących gdzieindziej zachcianek i prądów socjalistycznych. Tolerancya zaś w rzeczach wiary i znoszenie spokojne cudzych przekonań odmiennych, jest owocem wykształcenia umysłowego wyższego i poczucia moralnego subtelniejszego, niż posiadać je może rzemieślnik; stawianie więc rzemieślnika-chrześcianina w położeniu drażliwym, wymagającym bezwąt্পienia wysokiej bezstronności, w obec żywiołu starozakonnego, fanatycznego, ciemnego, nienawiścią i wyzyskiem odplacającego za pogardę, i to w łonie instytucji cechowej, w której tenże rzemieślnik-chrześcianin przywykł był widzieć centrum życia wewnętrznego i opinii publicznej swego fachu, może jedynie zaostrzyć i zaognić jątrzące się już i bez tego niechęci społeczne, Idee sprawiedliwości, spokoju i zgody zazwyczaj od warstw wykształceńszych przenikają powoli do mniej oświeconych. U nas mniej niż gdzieindziej żywioł starozakonny, na wyższych nawet szczeblach drabiny społecznej, wsiąkł i zespolił się z żywiołem miejscowym. Chcieć odwrócić porządek rzeczy naturalny, żądać, aby to, co nie przyobleкло się jeszcze w ciało i Bóg wie kiedy stanie się rzeczywistością w górnych społeczeństwa naszego sferach, zakiełkowało i rozwinęło się u dołu, — jest ideologią, szlachetną może, lecz nie praktyczną. Zgadząmy się w zupełności ze zdaniem, rzuconem przez jednego z członków sekcji IV-jej Towarzystwa popierania przemysłu i handlu w toku rozpraw nad ustawą rzemieślniczą: że pożycie wspólne rzemieślników-chrześcian z kolegami ich żydami możliwem jest dopiero po osiągnięciu wyższego stopnia uspołecznienia tych ostatnich. Zapewne — termin tego uspołecznienia nie rychły, przewidzieć go i określić niepodobna, lecz to pewna, że na zbliżenie się tej chwili pożądanej nikt tak wpłynąć nie może i nikt też większego nie ma obowiązku, jak inteligencya żydowska.

Jeżeli jednak organizacya sił pracujących w przemyśle rzemieślniczym, podjęta przez Towarzystwo popierania przemysłu i handlu na gruncie cechu, spełzła na niczém, to poza cechem jest ona bezwarunkowo i możliwa i pożądana, bez oczekiwania nawet na uspołecznienie żydów. Nie twierdzimy bynajmniej, aby cech dzisiejszy był instytucją doskonałą, — owszem, znajdujemy, iż ma on wiele stron ujemnych, iż pod wielu względami nie odpowiada poglądom i wymaganiom nowszym; zreformować go jednak można jedynie z uwzględnieniem pojęć religijno-towarzyskich jego uczestników. Ponieważ jednak niezależnie od tego, brak odpowiedniej kontroli podkopuje rozwój ekonomiczny naszych rzemioł, należy zatem przedewszystkiem, nie tykając życia wewnętrznego rzemieślników-chrześcian, reprezentowanego przez cech, przeprowadzić reformę w stosunkach ekonomicznych rzemioł, w życiu publicznem. Pozostawiając przeto na boku cechy, należałoby

utworzyć jakąś instytucją nową, której zadaniem byłoby czuwać nad wykształceniem fachowem wszystkich rzemieślników bez różnicy wyznania, egzaminować kandydatów, życzących sobie zająć się rzemiosłem, zbierać pewien fundusz wspólny na cel pomocy wzajemnej i rozszerzania zakresu umiejętności fachowej, administrować tym funduszem, a wreszcie zapewnić swym uczestnikom wymiar szybki sprawiedliwości w zakresie właściwym. Instytucja ta obejmowałaby mogła wszystkie bez wyjątku rzemiosła,—byłoby to coś w rodzaju gminy, proponowanej przez p. Władysława Rudnickiego w „Pogadankach o rozwoju klasy rzemieślniczej w Królestwie Polskiem,“ ze zmianami wszakże w jego projekcie, dotyczącemi przedewszystkiem stosunku przemysłu wielkiego do średniego. Nie wchodząc na teraz w rozbiór szczegółowy pomienionego projektu, na co zresztą ramy pobieżnej wzmianki kronikarskiej byłyby zaszczupłe, nadmienimy tylko, że i tu przy opracowaniu podstaw bytu i działalności instytucji nowej, mającej mieć charakter czysto ekonomiczny,—należałoby uwzględnić należycie różnice i właściwości szczepowe oraz różne podstawy etyczne społeczeństwa chrześcijańskiego i starozakonnego. Nie można zapominać, że waśń domowa nie ma się ku końcowi, że różnice szczepowe i niechęć wzajemna w warstwach mniej oświeconych odbijają się jaskrawiej, niż tam, gdzie wyższy stopień ogłady zaciera nieco kontrasty i miarkuje zapędy; że żyd zawsze będzie ciągnął do żyda, a chrześcijanin téż łaskawszemu będzie spoglądał okiem na interes chrześcijanina; że żyd nie pozbedzie się tak prędko wrodzonej niemal tendencji do fuszarki, zarówno jak i chrześcijanin nie przestanie tak prędko lekceważyć i pomijać swym współfachowcem żydem; że jeżeli rzemieślnicy-chrześcijanie nie mają ochoty widzieć wśród siebie rzemieślnika-żyda, to ten ostatni może więcej jeszcze nie życzy sobie zetknięcia się z chrześcijaninem i obawia się poddać kontroli, choćby nawet mieszanjej, swoje wykształcenie fachowe i wątpliwą co najmniej sumienność w robocie. Ustawa rzemieślnicza, stojąc na gruncie rzeczywistości i uwzględniając postulata nauki o tyle, o ile one w społeczeństwie danem mogą znaleźć zastosowanie, będzie dziełem we wszechmiar pożytecznym. Dodajmy jednak: ustawa może wiele, lecz gdyby nawet była pomyślaną najlepiej i najkonsekwentniej przeprowadzoną, nie załatwi ona trudności, z rosterki żywiołów społecznych pochodzących. Na łagodzenie powolne niechęci wpłynąć może jedynie praktyka, współdziałanie sfer inteligentnych, chrześcijańskich i żydowskich, na dobrej woli zobopólnej oparte. Rzemiosła nasze upadają, grozi im pochłonięcie przez przemysł wielki, przez kapitalistyczną formę produkcji; wobec tego sfery inteligentne, rozumiejące, że dobrobyt danego społeczeństwa opiera się w wysokim stopniu na rozwoju właściwym i na zadowoleniu klasy niższej najliczniejszej, stanowiącej rdzeń narodu, nie powinny zapominać, że *duobus litigantibus tertius gaudet*.

Mamy przed sobą sprawozdanie roczne instytucji, która działa-

jąc bez rozgłosu i obwoływań, rozwija się w zakresie swoim zdrowo i pomyślnie. Mówimy o Towarzystwie chrześcijańskiem pomocy wzajemnej subjektów handlowych i przemysłowych. Towarzystwo to jest spadkobiercą zgromadzenia subjektów handlowych, powstałego, na mocy uchwały przedstawicieli stanu kupieckiego, jeszcze w roku 1829. Zgromadzenie funkcjonowało przez długi szereg lat, podług programu zakreślonego, przy jego założeniu. Z biegiem jednak czasu, w miarę jak Warszawa stawała się coraz ważniejszym punktem handlowym, gdy liczba osób pracujących w handlu i przemyśle coraz bardziej się zwiększała i gdy wreszcie w obec zmienionych warunków bytu, zmieniły się też wymagania i potrzeby ludzkie, zjednoczeni subjecki handlowi doszli do przekonania, że dawna ustawa nie wystarcza, że celem podążenia za rozwojem stosunków, należy odpowiednio rozszerzyć zakres działalności Towarzystwa. W skutek tego Delegacya, reprezentująca Towarzystwo, wypracowała nową ustawę i rozpoczęła starania około zatwierdzenia jej w drodze właściwej. Przez długi czas jednak, bo przez lat 20, zachody jej pozostały bez skutku; dopiero dwa lata temu, dzięki zabiegom urzędu starszych zgromadzenia, uzyskano nareszcie zatwierdzenie Ustawy.

Tak odnowione Towarzystwo Chrześcijańskie wzajemnej pomocy subjektów handlowych i przemysłowych, rozpoczęło nowy okres swego istnienia. Liczy ono obecnie 666 członków; sądząc jednak ze znacznego zwiększenia się ich ilości, w roku sprawozdawczym, wróżyć mu można rozwój szybki i pomyślny na przyszłość. Mianowicie nowych członków przybyło w roku 1886-ym — 235. Kapitał zapasowy Towarzystwa wynosi rs. 3800 k. 50. Jako sukcesya po byłym zgromadzeniu subjektów, pozostała suma rs. 7300, złożona w urzędzie starszych zgromadzenia kupców i rs. 1800, umieszczone w zarządzie szpitala ewangelickiego. Te dwie ostatnie sumy, stanowią wszakże przedmiot sporu, dotychczas jeszcze nie roztrzygniętego.

Towarzystwo zakreśliło sobie program szeroki; działając na podstawie solidarności koleżeńskiej, stara się ono przyjść w pomoc uczestnikom swym pod względem materialnym, zaspakając potrzeby ich umysłowe, a wreszcie stanowiąc ognisko życia towarzyskiego. Dzieli się zaś na kilka wydziałów, z których każdy ma sobie poruczone funkcyje odrębne. Wydział wyborczy odbył w ciągu roku sprawozdawczego jedenaście posiedzeń i opracował regulamin wyborczy. Wydział pożyczkowy i zapomogowy udzielił w roku 1886 pożyczek na sumę rs. 680 kop. 60, zapomóg na różne potrzeby rs. 362, wreszcie wypłacił na koszt leczenia stowarzyszonych rs. 887 kop. 45. Towarzystwo pragnie zaszczepić w swych uczestnikach chęć oszczędzania; w tym celu załatwia za stowarzyszonych wszelkie interesy z kasami oszczędności i pośredniczy w składaniu i odbiorze pieniędzy. Z procentów od pewnych opłat, jakie wnoszą stowarzyszeni, formuje się fundusz osobny, noszący miano funduszu humanitarnego. Z pieniędzy tych mają być udzielane zasiłki na kształcenie dzieci, stypendya człon-

kom, pragnącym kształcić się wyżej w zawodzie kupieckim, forsusy na zakładanie interesów na własną rękę, wreszcie premie dla członków, którzy się odznaczyli oszczędnością.

Biblioteka Towarzystwa składa się z 173 tomów. Niewielki to zasób, lecz wzięwszy pod uwagę krótki czas istnienia Towarzystwa w odnowionym składzie, oraz dobre chęci uczestniczących, tuszyć można, że z czasem zbiór ten się powiększy.

Wydział zebrań towarzyskich krzątał się gorliwie około powierzonych sobie czynności. Staraniem jego urządzono w lecie kilka wieczek zamiejskich, w zimie zaś odbywały się odczyty, wieczory muzykalno-deklamacyjne, a nawet zabawy tańcujące. Towarzystwo pamiętało widocznie, że najlepszym środkiem zjednoczenia i zsolidaryzowania ludzi stojących na jednym mniej więcej poziomie umysłowym, jest poznanie się bliższe na polu życia towarzyskiego, że nadto warunkiem zachowania odpowiedniej energii i świeżości umysłu, jest podział właściwy czasu pomiędzy pracę, odpoczynek i zabawę. Wreszcie z uznaniem zaznaczyć możemy działalność Wydziału rekomendacyjnego, za którego pośrednictwem kilkudziesięciu subjektów znalazło zajęcie w różnych instytucjach handlowych i interesach. Wydział, zanim zajmie się pewnym indywiduum, zbiera wprzód skrzętnie wiadomości o jego uzdolnieniu i moralności od osób wiarogodnych, które znać mogą bliżej poszukującego pracy; manipulacja w tym celu praktykowana, zapewnia sekret osobie wydającej opinią.

Młoda zatém, a raczej odmłodzona instytucja, rozwija się pomyślnie i nie jest bynajmniej za śmiałą wyrażona przez nią nadzieja, że z czasem będzie mogła przynieść w zakresie właściwym pomoc prawdziwą, a nieocenioną, bo bratnią i serdeczną podaną rękę.

WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE.

W Krakowie wyszedł pierwszy zeszyt nadzwyczaj obiecującego wydawnictwa Muzeum książąt Czartoryskich, zawierający początek katalogu rękopisów téj nieocenionéj skarbnicy pomników i dokumentów historycznych. Katalog pomieniony ukazał się pod tyt. „Catalogus codicum manuscriptorum Musei principum Czartoryski Cracoviensis, edidit Dr. Josephus Korzeniowski, Cracoviae 1887, fasciculus I,“ str. 96. Po katalogach rękop. bibl. Jagiellońskiej p. Wiśtockiego, Ossolińskich (jeszcze nieskończony) p. Kętrzyńskiego, kapituły katedralnéj krakowskéj ks. Polkowskiego, Raczyńskich, p. Sosnowskiego i Kurtzmanna jest to wydawnictwo bardzo pożądane. Zeszyt ten zawiera opis 390-iu kodeksów rękopiśmiennych, bo jakkolwiek na karcie tytułowój mowa jest o 438-iu, wykazanych w inwentarzu Muzeum, to przy 48 napisano tylko, że brakują albo że się nie znajdują w Krakowie tylko w Kórniku. Przyczyną tak znacznego ubytku skarbów historycznych téj wartości, jest głównie wędrowka tułacza, jaką te zbiory z właścicielami swymi przechodziły: może niektóre znajdują się jeszcze u tych, co je na zachowanie przyjęli. Początek tego pierwszego zeszytu katalogu obejmuje opis 217 b. tak nazwanych Tek Naruszewicza. P. Korzeniowski opowiada we wstępie, w języku łacińskim napisanym, początek i całą genezę tego nieoszacowanego zbioru materiału historycznego, zgromadzonego z inicjatywy króla dla biskupa historyka. P. Korzeniowski wskazał podług swego uznania tytuły niektórych pomników, jakie się mieszczą w tekach pojedynczych. W obec trudności i znacznego nakładu przy zregestrowaniu szczegółowego wszystkich tek, pojmujemy trudności, dla których p. K. poprzestał tylko na takich skromnych wskazówkach, lecz one badaczom naszych dziejów, wielkiego pożytku przynieść nie mogą. Dla badań szczególnych potrzeba koniecznie dokładnego indeksu szczegółowego i to w formie rejestru chronologicznego. Nie wątpimy, że p. K., idąc za przykładem autorów katalogu rękop. biblioteki Jagiellońskiej (Wiśtockiego) i Ossolińskich (Kętrzyńskiego), pomyśli w końcu także o dokładnym skorowidzu alfabetycznym; ale dla „Tek Naruszewicza“ przydat-

by się już w tym I-ym zeszyście dokładny regestr chronologiczny, wskazujący tytuły z najtreściwszą osnową każdego dokumentu, bo bez tego ułatwienia pozostanie materyał tak szacowny bez spodziewanego użytku. W dotychczasowych naszych wydawnictwach marnuje się w ten sposób bardzo dużo czasu i nakładu na bezładne gromadzenie materyału historycznego, którego piszący dzieje jednym rzutem oka objąć nie może, i nawet nie wie, czy ten lub ów dokument, który mu się nieznanym wydaje, nie był już w jakim zbiorze, pamiętników, „przyczynków“, „bibliotek pisarzy polskich“, „spominków“ i t. p. drukowany lub nie.

Po woluminach „Tek Naruszewicza“ opisał p. K. 10 woluminów dokumentów familijnych Sieniawskich i ks. Cz., dalej 3 woluminy metryki litewskiej; 4 woluminy spraw krzyżackich, 5 woluminów dokumentów historycznych do dziejów Jagiellonów, 10 woluminów z archiwum Warmińskiego z autografami Kromera, Hozyusza, Dantyszka i i. Dalej 40 woluminów, „Acta Tomiciana“, do których także regestr chronologiczny byłby potrzebny; dalej 5 woluminów akt Inflanckich i kurlandzkich; dokumenty do rokосу Zebrzydowskiego obejmują 7 woluminów; akta podkanclerskie Zadzika i inne do panowania Zygmunta III obejmują woluminów 31. Od № 375 aż do 438 wypisane są wolumina, zawierające dokumenta do panowania Władysława IV, Jana Kazimierza, Michała Wiśniowieckiego i Jana Sobieskiego.— Tymczasem, w oczekiwaniu tak pożądanego rejestru chronologicznego, nie możemy odmówić naszego uznania sumiennęj pracy P. Korzeniowskiego, a samemu Muzeum wdzięczności za rozpoczęcie tak cennego wydawnictwa.

Zasłużony wielce i znany ze studyów swoich na polu literatury genealogicznej, badacz przeszłości naszej, Adam Boniecki, którego rozbiory i sprawozdania z dzieł heraldycznych i genealogicznych drukowane w Bibliotece Warsz., zwracały zawsze pilniejszą uwagę na siebie, wydał w miesiącu marcu r. b. wielkie dzieło nie małej wartości historycznej pod tyt. „Poczet rodów w wielkiem Księstwie Litewskim w XV i XVI wieku,“ ułożył i wydał Adam Boniecki, Warsz. 1887 r., w drukarni J. Bergera, fol.— Tekst sam obejmuje str. 425. Przedmowa str. V. Wstęp str. VII—XV. W końcu spis dygnitarzy i urzędników duchownych i świeckich str. XLIX.—Wiadomo, że akta znane pod nazwą „Metryki litewskiej“ są zbiorem najciekawszych dokumentów, odnoszących się do rodzin w W. ks. osiadłych, dokumentów, wyświeclających wiele kwestyi stacyjno-ekonomicznych. P. Boniecki, posiadając summaryusz kilkudziesięciu najdawniejszych ksiąg Metryki litewskiej, przygotował jego wydanie z równoczesnem udokładnieniem i wyjaśnieniem wielu kwestyi spornych za pomocą ogłoszonej dotychczas najnowszej literatury heraldycznej i genealogicznej, która jest sz. autorowi jak najdokładniej znana. Uzbrojony w tak obfity rynek sztunek naukowy, naszkicował sz. autor we wstępie obraz ustroju w.

ks. litewskiego w wieku XV i XVI w sposób, według którego czytelnik z łatwością zrozumie zamieszczone w tekście szczegółowe wiadomości o kniazjach, panach i bojarach w w. ks. litewskiem w w. XV i XVI. Zadaniem rozbioru specjalnego byłoby skontrolowanie o ile summaryusz, będący podstawą dzieła P. Bonieckiego, zgodnym jest z samymi dokumentami w Metryce, oraz przekonać się, czy ogólne pisma heraldyków materiału summaryuszów nie rozszerzają jeszcze, przy zbadaniu autentyczności powołanych źródeł.

We Lwowie wyszła książka p. t. „Wiara i niewiara”, w stosunku do szczęścia osobistego. Napisał ks. Z. Szczęsny, Lwów 1886, str. 360, która powinna znaleźć licznych czytelników nie tylko dla swojej pięknej, dobrze pomyślanej, i znakomicie przedstawionej treści, ale i pięknego języka. Autor, którego czytelnik z łatwością odgadnie, opierając się na przykładzie szkodliwych wpływów, jakie na młode umysły wywierają przeróżne teorie materialistyczne, rozбира z poważnym spokojem błędne opinie pojęć dzisiejszych prądów racjonalistycznych i sceptycznych, które są przyczyną zguby młodzieży.

Ważną nader kwestyą rozбира Teofil Merunowicz w broszurze, którą wydał we Lwowie p. t.: „Sprawy włościańskie w sejmie.” Uwagi i wnioski T. Merunowicza posła gmin wiejskich, Lwów 1887, w której mówi: o reformie gminy, o sprawie kas pożyczkowych, o kwestyi propinacyi, o banku włościańskim, o kulturze krajowej, o komasacyi gruntów, o rozdrabnianiu gruntów włościańskich, o budowie szkół i rozwinieciu ich w kierunku praktycznym, rolniczym i przemysłowym, o projekcie nauki ćwiczeń żołnierskich w szkołach, o sądach pokojowych, o włączęgostwie, o ustawie budownictwa wiejskiego, o cenach i produkcyi soli. Autor wybrał kwestye najważniejsze i najczęściej szczęśliwie je rozwęguje.

W dalszym ciągu „Biblioteki najcenniejszych utworów literatury europejskiej” wydawanej nakładem S. Lewentala, wydawcy „Kłósów” w Warszawie, wyszła książka pod tyt. „Wybór pism wierszem i prozą Jakóba Leopardiego” w przekładzie Edwarda Porębowicza, poprzedzona gruntownym wstępem tłumacza o życiu i o dziełach tego głośnego poety i pessimisty włoskiego.

Nakładem Gebethnera i Wolffa, wyszły w osobnej książce listy, w których p. Antoni Zaleski opisał w felietonie „Słowa” swoją wycieczkę na wschód, p. t. „Z wycieczki na wschód notatki dziennikarza.” Warsz. 1887, str. 513. Bukareszt, Ruszczuk, Warna, Konstantynopol. Relacya sz. autora, nie rozszczęga pretensyi do głębokich studyów, przedstawia w sposób wdzięczny ważniejsze spostrzeżenia i zjawiska, które się łączą z tytułami powyżej wzmiankowanemi. Okolicz-

ność ta, że autor nie poprzestawał na własnej obserwacji; ale korzystał w szerokim stopniu z pism innych autorów, opisujących stosunki na półwyspie Bałkańskim (np. Laveley), raczój za zaletę a nie za wadębyśmy poczytali. Sądzimy, że książce nie powinno być trudno zjednać sobie szerokie koło czytelników.

Na polu historyi edukacji publicznej pojawiło się w literaturze francuzkiej dzieło, objaśniające w sposób gruntowny, stan nauki i metody szkolnej w wieku XVIII, które dla dokładnego zrozumienia różnych prądów edukacyjnych i w naszym kraju nie jest bez doniosłego znaczenia. Mówimy o dziele p. t. „*Les études classiques avant la Révolution*, par M. l'abbé Sicard, Paris 1886. Ks. Sicard, rozebrawszy w dziele niniejszém plan i sposób nauczania przedmiotów szkolnych w epoce przedrewolucyjnej w kollegiach uniwersyteckich, jezuickich oraz innych szkołach, zastanawia się nad metodą, według której uczono łaciny i grecczyny, historyi, filozofii, nauk ścisłych. Dalej ocenia przeróżne żądania reformy, jakięj się przed rewolucją domagano na tém polu równie co do zakresu programatów szkolnych jak i co do metody samego wykładu. Widzimy tedy, że książka ks. Sicard roz-biera kwestye, które jeszcze dzisiaj mają swoje aktualne znaczenie i budzą interes jaknajżywotniejszy. Oprócz téj książki zawdzięczamy ks. Sicard iune dzieło, dawniej już ogłoszone pod tyt. „*L'éducation avant la revolution*, które razem z najnowszem jego studyum, przedstawia dokładny, szczegółowy obraz położenia szkół francuzkich w wieku XVIII. Okoliczność ta, że doktryny, teorye i poglądy ówczesnych pedagogów francuzkich wywierały przeważny wpływ na reorganizację edukacji publicznej i w naszym kraju, nadaje dziełom ks. Sicard tém większe dla nas znaczenie.

Wpływ, jaki wywarli na kierunek i na rozwój oświaty europejskiej, encyklopedyści francuzcy był tak powszechny, że znakomitsi pisarze zajmowali się opisem ich życia i rozbiorem ich dzieł powszechnego znaczenia. Nie brak tedy biografii Voltaire'a, J. J. Rousseau, Diderota, Beaumarchais'go,—tylko Melchior Grimm nie mógł się aż do dni naszych doczekać biografu swego. Dopiero w ostatnim czasie wyszło dzieło p. tyt. Melchior Grimm, par M. Edward Scherer, Paris 1886, które stanowi bardzo ważny przyczynek do historyi oświaty wieku XVIII.

U Hachette'a w Paryżu wyszło dzieło pod tyt. *L'année scientifique et industrielle ou exposé annuel des travaux scientifiques, des inventions et des principales applications de la science à l'industrie et aux arts, qui ont attiré l'attention publique en France et à l'étranger* Par Louis Figuier. Accompagné d'une nécrologie scientifique. Trentième année (1886).

W Grazu wyszło w drugim wydaniu, znacznie rozszerzonym, dzieło znane badaczom pierwotnych dziejów słowiańszczyzny, napisane przez prof. G. Krek'a pod tyt. *Einleitung in die slavische Literaturgeschichte*. Graz 1887. Bez znajomości rezultatów badań prof. Kreka na polu etnografii, mytologii, archeologii, geografii i lingwistyki ogółu narodów słowiańskich w ich epoce przedhistorycznej—nie można dziś pisać dziejów żadnego z narodów słowiańskich w ich indywidualnym rozwoju.

N e k r o l o g i a.

— † W pierwszych dniach marca r. b., zmarł w Paryżu ś. p. dr. **Antoni Kościakiewicz**, znany zaszczytnie na polu piśmiennictwa lekarskiego. Urodzony dnia 23-go maja r. 1809-go w Białej, chodził do szkół tamże, potem w Lublinie. Studya lekarskie odbywał w Warszawie. Służył w 16-tym pułku liniowym, gdzie pozyskał krzyż „Virtuti militari”. W Montpellier otrzymał stopień d-ra med. roku 1836-go. W r. 1840 osiadł w Prowancyi, gdzie dotąd praktykował. W r. 1870-ym jako sztabs-lekarz w. fr. położył zasługi na polu walki. Pracami swemi zjednał sobie uznanie powszechne. Ważniejsze z nich są: „Mémoire pratique sur affections typhoides (1842), Mémoire sur la pleuro-pneumonie (1862), etc.” Pisał także poza medycyną: „Souvenirs”, Lugdun (1858), są to wspomnienia z czasów szkolnych. „Notes sur Cracovie” (1873) obejmują dzieje fakultetu medycznego w temże mieście. Majątek cały zapisał zakładom naukowym krakowskim. Część jego pamięci!

— † W połowie marca r. b. umarł we Włocławku, gub. Warszawskiej, **Ś. p. Adam Chałupczyński**, doktor medycyny i zasłużony filantrop, człowiek wysokiej zacności i miłości kraju. Ś. p. Adam urodził się w Piotrkowie 30 lipca 1822 r. Ciężkie chwile w życiu utwierdziły go tylko w poczuciu obowiązków obywatelskich, które dla niego zawsze na pierwszym stały planie. Ś. p. Adam, pracował na polu literatury naukowej. Wydał bowiem dzieło p. t. „Pomysły do dziejów wiedzy świata,” Warszawa 1860 r. Kilka słów o pokątném leczeniu 1867.—O niektórych błędach w teoryi Darwina. Przed niejakim zaś czasem ukazała się książka jego p. t. „Gawędy ekonomiczno-społeczne.” Włocławek 1885 r. Dla mieszkańców Włocławka i okolicy, śmierć Chałupczyńskiego, praktycznego i sumiennego lekarza, ciężką stanowi stratę. Cześć jego pamięci!

— † Dnia 16 marca r. b. zmarł w Warszawie **Ś. p. Emanuel Kania**, znany powszechnie artysta muzyki, kompozytor i pedagog, w 60-ym roku życia. Urodzony we wsi Uszyce, na Szląsku, kształcił się w zawodzie muzycznym najpierw pod kierunkiem swego ojca, a następnie we Wrocławiu i Berlinie. Zyskawszy rozgłos jako wyborny pianista, przybył Kania około roku 1853-go do Warszawy i tu już do

końca życia pozostał. W rządzie muzyków ówczesnych zajął też wkrótce bardzo poczesne miejsce, jako nauczyciel i kompozytor drobnych utworów, z pomiędzy których wiele ślicznych pieśni do dziś dnia zachowało swoją popularność, jak np. „Dwie róże,” „Cóż komu do tego,” „Moja pieśzcotka,” „Marzenie” i t. p. Niemniej cennymi są niektóre jego drobniejsze utwory na fortepian: polonezy, mazurki i t. p., a z większych muzyka do komedyo-opery Gregorowicza „Werbel domowy.” Zmuszony do twardej pracy na chleb powszedni, coraz mniej pracował jako kompozytor. Natomiast jako krytyk muzyczny wyrobił sobie w ostatnich czasach bardzo poważne imię. Cześć pamięci zacnego obywatela!

— † Dnia 25 marca zmarł w Warszawie **Ś. p. Jan Heurich**, w 53 roku życia, sumienny technik i architekt, uprawiający prawie wyłącznie styl włoskiego renesansu, którego był niepospolitym znawcą. Podług jego projektów wzniesiono wiele pięknych budowli w naszym kraju. Jako pomocnik ś. p. Henryka Marconiego, należał do budowy kościoła w Willanowie. Szczególniej ceniony był jako utalentowany rysownik. Literatura nasza techniczna wiele prac mu zawdzięcza, a pomiędzy niemi na szczególną wzmiankę zasługują wyborne przewodniki dla stolarzy i cieśli. Był on członkiem redakcyi „Przeglądu Technicznego,” kollegium gminy ewangelicko-augsburskiej, a ostatnio należał do sędziów sądu konkursowego na kościół katolicki na Pradze. Cześć jego pamięci!

SPROSTOWANIE OMYŁEK
w artykule „Z dziejów Dobr. publ. Warszawy,”
dostrzeżonych już po ukończeniu druku.

Na str. 41 w wierszu 9 od dołu zamiast r. 1886 winno być 1885.

„ 42 „ 13 od góry winno być: „Utrzymywał zaś ich średnio tylko 3,837“ zamiast mylnej cyfry 3,635. W wierszu 19 od góry brak nawiasu z objaśnieniem: „Liczba 3,837 jest średnią ogółu 46,275 podrzutków zapisanych, z którego zmarło 16,764, oddano na mamki wiejskie 21,779, rodzinom i na naukę rzemiosł 6,774“

Na str. 56 w wierszu 11 od dołu i następnym winno być:

b) podrzutków na wsiach 90,293 zamiast 127,369

c) „ w zakładzie 40,913 „ 3,837

Na str. 57 w wierszu 9 od góry zamiast liczby 3,655 winno być: „3,837 średnio, czyli na rok po 240 przecięciowo, gdy jeszcze w r. 1858/9 było średnio 250.“
